

Frantisek Behounek

Komando pułkownika Brenta
Wydanie II
Z języka czeskiego przełożyła
Jadwiga Bułakowska

Wydawnictwo „Śląsk” Katowice 1969

DO CZYTELNIKÓW

Opisane tu wydarzenia nie są bynajmniej zmyślane. Miały one istotnie miejsce pod koniec czwartego roku wojny, jednakże — jak większość podobnych niezwykłych akcji — zachowane były w tajemnicy. Dopiero dnia pierwszego sierpnia 1946 roku australijski minister spraw wojskowych Forde podał te fakty do wiadomości w parlamencie.

Garstka dzielnych żołnierzy, prawdziwych partyzantów Oceanu Spokojnego, dla wykonania tajnego zadania przedarła się dobrych kilka tysięcy mil poza linię Ironu. Ludzie ci akcję przeprowadzali w znacznie trudniejszych warunkach, niż ich walczący na lądzie towarzysze. Musieli płynąć tysiące mil po morzach, gdzie wszechwładnym panem był wróg. Nigdzie — z jednym tylko wyjątkiem — nie mogli liczyć na życzliwą, ofiarną pomoc pozostającej pod okupacją i współdziałającej z partyzantami ludności cywilnej. Musieli wreszcie walczyć nie tylko z ludźmi, ale i z wrogimi siłami przyrody, wobec których człowiek najczęściej jest bezradny.

I

ROZKAZ DLA DICKA STANTONA

Przez uchylone drzwi niskiego, drewnianego baraku zajrzała do izby głowa starego, kulawego sierżanta O'Ready.

- Szeregowiec Dick Stanton! — zawołał sierżant surowo.
- Jestem! — Dick sprężył się poderwał się na baczność.
- Do komendanta!

W chwilę później Dick stał przy stole, za którym siedział szpakowaty major Greenwood, komendant obozu szkoleniowego wojskowej służby wywiadowczej, Secret Service. Pograżony w studiowaniu jakichś papierów major podniósł głowę, szare oczy na sekundę

przywarły do zgrabnej sylwetki młodego chłopca, którego jasna, otwarta twarz daremnie starała się ukryć wyraz ciekawości i podniecenia. Uśmiechnąwszy się nieznacznie major sięgnął do szufladki metalowej szafy kartoteki, zajmującej całą ścianę izby. Grzebał w niej chwilę, potem wydobył sztywną, prostokątną, drobno zapisaną kartkę. Widocznie treść jej znał dobrze, bo spojrzawszy pobieżnie znów przeniósł wzrok na Dicka.

— Dick Stanton, wiek niespełna lat osiemnaście, syn rybaka z Wyndham w Zatoce Królewskiej, obywatel australijski, kawaler? — rzucał szybko pytania.

— Tak jest, panie majorze.

— W obozie szkoleniowym czternaście miesięcy, z tego sześć w Kargoorlie, osiem zaś tutaj, w Fort Stuart? — pytał dalej major.

Dick w odpowiedzi skinął głową.

— Zgłaszaliście się już dwukrotnie do akcji specjalnych, ze względu jednak na niedokończone szkolenie nie przyjęto was, tak? — ciągnął major.

— Tak jest, panie majorze.

Komendant obozu rozsiadł się wygodnie w fotelu i badawczo patrzył na Dicka. Zmieszany chłopak zaczerwienił się po uszy. Po twarzy majora przemknął nieznaczny uśmiech. Oficer pochyliwszy się nad stołem otworzył szufladę i wydobył z niej zwykłą, żółtoszarą kopertę. Wzrok Dicka przywarł do niej z zaciekawieniem: nie była zaadresowana... W momencie gdy major obracał ją w rękę, młody żołnierz zauważył, że nie była także zapieczętowana.

Tymczasem major jakby się namyślał. Spojrzał raz jeszcze na stojącego przed nim na baczność chłopaka. Zgrabna sylwetka, na wpół jeszcze dziecięca twarz, szare, jarzące się żądzą przygody oczy... Iluż takich chłopców już odeszło w ciągu tych czterech lat wojny, a ilu z nich wróciło?... — przemknęło mu nagle przez myśl. Spuścił oczy i chrząknął.

— Weźcie to! — rzekł wyciągając przez stół rękę z kopertą. — Tajny rozkaz dla was. Pojedziecie jutro z kolumną ciężarówek do Portu Darwina. Rzecz oczywista: w ubraniu cywilnym. Nie dojedziecie jednak do Portu Darwina, wysiądziecie przy ostatniej stacji benzynowej przed miastem. Tam otworzycie kopertę: znajdziecie w niej dalsze rozkazy. — Zaczekajcie! — zatrzymał Dicka widząc, że ten oddawszy ukłon wojskowy zmierza do wyjścia, ogromnie przejęty kryjącym się w zwyczajnej, zaklejonej kopercie tajnym rozkazem.

Chłopak zastygł natychmiast w przepisowej postawie.

— Czy wiadomo wam, że członkowie wojskowej Secret Service wykonują swe zadania nie w mundurze że więc nie chroni ich konwencja międzynarodowa, tak jak innych, Mundurowanych żołnierzy? — pytał z powagą major.

Dick spojrzał nań zaskoczony.

— Oczywiście, panie majorze. Tak przecież brzmi trzeci paragraf regulaminu służbowego Secret Service Zdumienie wywołane pytaniem majora było tak wielkie, że znalazło odbicie w jego tonie.

Major podniósł się i z uśmiechem podał mu rękę.

— No, wracajcie więc zdrowo i z honorem!

Jeszcze Dick nie zdążył zamknąć drzwi, a już major pogrążył się w lekturze, którą przerwało mu wejście młodego żołnierza.

II

CHRZEST OGNIOWY

Nim jeszcze słońce wyjrzało spoza niskich wzgórz, na których zboczach rozsiadły się drewniane baraki obozu szkoleniowego, Dick już wybierał się w drogę. Przez chwilę żał mu było, że nie może pożegnać się ze śpiącymi jeszcze kolegami, lecz regulamin obozu był

bardzo surowy: wyjeżdżającym na akcje specjalne nie wolno było żegnać się z nikim. Przepadali tajemniczo jak cienie — wyznaczone im zadania były ściśle tajne.

Wyszedłszy w ranny świt Dick otrząsnął się z chłodu. Ubrany był tylko w lekką kurtkę i krótkie szorty, a sierpniowy dzień przed wschodem słońca był dość chłodny. Raz jeszcze sprawdził, czy ma w kieszeniach wszystko, co przygotował wieczorem, przede wszystkim płaski, nabity pistolet automatyczny; zarzucił zawiniątko z płaszczem nieprzemakalnym na plecy i szybko poszedł do szosy.

Po paru krokach dostrzegł szereg ciężarówek — za chwilę już meldował się u dowódcy. Starszy wiekiem, zaspany porucznik policji australijskiej z powagą odczytał zwięzły dokument kancelarii obozu, domagający się przydzielenia Dickowi miejsca w transporcie aż dożądanego punktu, potem nie spojrzawszy nawet na chłopca rzucił obojętnie:

— Wóz numer trzy, miejsce obok szofera!

Odszukawszy mocno wyładowany, przykryty nieprzemakalną płachtą samochód, Dick zręcznie wdrapał się po małych stopniach na wysokie siedzenie. Zastał tu już trzech mężczyzn, ale miejsca było dosyć; kierowca siedział w oddzielnej małej kabinie, odgradzonej celuloidowymi oknami.

— Dzień dobry, chłopcy! — Dick uprzejmie przywitał siedzących, wsuwając płaszcz pod ławkę.

Z drugiego końca ławki odpowiedziało mu jakieś głuchoe mruknięcie. Natomiast bezpośredni sąsiad okazał się bardziej rozmowny.

— Proszę, jeszcze jeden pasażer! — zagadał. — A dokąd to, młody człowieku?

Dick nastroszył się instynktownie. Wszczępiana w obozie podstawowa zasada mówiła: „Z ludźmi rozmawiać jak najmniej, w żadnym wypadku nie mówić na temat własnego zadania.”

— W górę, na północ — odparł lakonicznie.

— Hm, jakiś młody szpak, jeszcze go gadać nie nauczyli, co Willy? — wybuchnął śmiechem tamten zwracając się do sąsiada z prawej strony, jak się później okazało rezerwowego szofera.

Dick już był zły, ale wyniesione z obozu mocne poczucie dyscypliny raz jeszcze odniosło zwycięstwo. Zaciśnął zęby i bez słowa spojrział na sąsiada — jakiegoś chudego, żylastego drągala w zwyczajnym ubraniu podróżnym. Z pooranej zmarszczkami twarzy nie podobna było odcyfrować wieku.

Tamten rzucił mu ironiczne spojrzenie spod przymkniętych powiek i odwrócił się do sąsiada:

— Willy, co to za melina? Czego my tu tak długo sterczymy?

— Nie umiesz czytać? Przecież to rezerwowy magazyn, prawda młodzieńcze? — odparł kierowca nachylając się do przodu i zaglądając Dickowi w oczy.

Skinął w odpowiedzi głową. „Rezerwowy magazyn materiału wojennego” — tak brzmiała kryptonimowa nazwa obozu szkoleniowego. Przez chwilę wydawało mu się, że w oczach wstrętnego sąsiada przyczał się cień jakiejś nieufności. Niechęć wzrosła w nim jeszcze. Postanowił mieć się na baczności i nie odzywać się wcale.

Po chwili kolumna ruszyła. Auta trzymały się biegnącej poprzez cały ład australijski linii telegraficznej, od Zatoki Spencera na wybrzeżu południowym, aż po Zatokę van Diemena na północy.

Tam gdzieś właśnie był cel podróży Dicka.

Wyglądanie przez okna szybko mu się znudziło — teren przeważnie piaszczysty, ubogi w zielen, krajobraz nieciekawy. Z rzadka tylko rysowały się ledwie widoczne pagórki. Osad ludzkich ani śladu. Mijali od czasu do czasu strażnice wojskowe, umieszczone tu dopiero podczas wojny dla ochrony linii telegraficznej i biegnącej równoległe na północ trasy kolejowej. Małe, niskie, kryte falistą blachą baraki stały na zupełnym pustkowiu. Nawet wodę trzeba było przywozić. Ciężkie karabiny maszynowe miały służyć do obrony przed atakami

z powietrza, ale — jak Dick wywnioskował z rozmowy sąsiadów — naloty japońskie zdarzały się teraz bardzo rzadko.

Przed paru miesiącami Amerykanie rozpoczęli generalną ofensywę na Wyspach Salomona, a Japończycy mieli lotnictwo niezbyt liczne.

Dopiero trzeciego dnia podróży, gdy zbliżali się już do Pine Creek, zaatakowała jadącą kolumnę niewielka eskadra bombowców japońskich średniej wielkości. Auta szły traktem przez typowy australijski busz — step pokryty trawą i z rzadka rozrzuconymi krzakami. Wśród tych właśnie krzaków załoga kolumny samochodowej natychmiast szukała schronienia.

Dick po raz pierwszy widział nieprzyjaciela w akcji.

Leżąc pod niskimi krzakami z zapartym tchem obserwował krążące nisko nad ziemią samoloty.

— To już drugi garnitur... Pierwszy zostawili na zachodnim Pacyfiku — zauważył szyderczo leżący obok Dicka szofer Willy.

Dick sądząc, że mówi o nieprzyjacielskich pilotach, zdziwił się bardzo. Jego zdaniem Japończycy latali znakomicie. Podziwiał śmiało korkociągi i ostre, karkołomne skrety, za którymi pilot podrywał maszynę znad samej ziemi. Strzelców tylko musieli mieć marnych: na długi szereg stojących wozów rzucono tuzin lub dwa bomb małego kalibru, wszystkie jednak padły dość daleko od celu.

Japończycy rozpoczęli ogień z broni pokładowej. Wstrętny dryblas, którego zaczepki tak bardzo irytowały Dicka, mruknął zadowolony:

— No, jajka już się im skończyły! To dobrze!

Willy zaśmiał się krótko. Dick coraz bardziej był zdezorientowany: nie widział najmniejszego powodu do wesołości — grad kul siekł chłodnicę wozów.

— Bo my wieziemy trinitrotoluol, młodzieńcze — wyjaśniał dryblas, widząc zdumioną minę Dicka.

Chłopcu mróz przebiegł po krzyżu. Trinitrotoluol... Najstraszliwszy materiał wybuchowy! Przez całą drogę mieli go przynajmniej dziesięć ton za plecami, a ten wstrętny dryblas cały czas fajki z zębów nie wyjmował, jakby wieźli owoce! I teraz także leżał sobie spokojnie o niecałe sto jardów od śmiercionośnego ładunku, pod ogniem maszyn japońskich!...

— Wystarczy jedno takie jajeczko w samochód, a pojedziemy do nieba jak Eliasza na wozie ognistym — drwił dalej dryblas jakby czytając w myślach przerażonego Dicka.

— Patrz no, Harry, co ten drań tam wyrabia! — przerwał podniecony szofer.

Uniósłszy się na kolana patrzył ponad krzakami obserwując pościgowiec japoński. Jedna z maszyn, odłączywszy się od eskadry, zawróciła nad kępę krzaków, wśród których ukryła się część załogi kolumny wraz z dowódcą.

Dryblas, zwany Harrym, szybkim ruchem ręki ściągnął Dicka w dół i przygwoździł do ziemi — rozgorączkowany chłopak, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zerwał się na nogi.

— Leżeć spokojnie i oddychać głęboko, młodzieńcze! — pouczał drwiąco.

Dick odpowiedział mu spojrzeniem pełnym wściekłości. Lecz nieregularne strzały karabinowe — tak różne od szybkiego poszczekiwanie japońskich karabinów maszynowych — zwróciły jego uwagę na krzaki, nad którymi krążył pościgowiec japoński zasypujący ukrytych tam żołnierzy gradem pocisków. Dick w bezsilnej rozpaczyc zaciskał pięści i rozglądając się po niebie wypatrywał nadlatujących samolotów ze znakami Sprzymierzonych. Niestety — absolutnymi panami nieba byli Japończycy. Ani jeden australijski czy amerykański samolot nie zjawiał się, by przeszkodzić im w ataku.

— Tu już decyduje los. Równie dobrze mógł sobie wybrać nasze krzaki, a wtedy z kolei my mielibyśmy się z pyszna — filozofował spokojnie Harry.

Dick oburzony kryjącym się w tych słowach ogromnym egoizmem odwrócił się od niego z pogardą. Dryblas w odpowiedzi wybuchnął śmiechem:

— Zanim ogolisz się trzy razy, zdążysz się do wszystkiego przyzwyczaić... Liczę przy tym, że wystarczy, gdy będziesz się golił raz na tydzień — szydził znowu Harry.

Już miał odciąć się ostro, gdy słowa szofera rozładowały napięcie i zmusiły do skupienia uwagi:

— Żółte gady odlatują!...

Istotnie: pościgowiec przerwał morderczy ogień na zupełnie bezbronnych ludzi. Cała eskadra japońska odlatywała.

Gwizdek dowódcy wzywał załogę do gaszenia pożaru: z długiego rzędu wozów strzelały płomienie. Jeden z pierwszych skoczył dryblas Harry; Dick nie mógł opanować uczucia podziwu, gdy tamten śmiało wspiął się na wóz, spod którego brezentowej płachty buchał dym. Harry nie zważając na pełzające po drzwiczkach wozu płomienie, wydobył spod siedzenia szofera gaśnicę. Natychmiast długi, biały strumień piany runął na czerwone języki. Przyczaiły się na chwilę, ale wnet ukazały się znowu. Nadbiegł szofer sąsiedniego wozu z drugą gaśnicą. Wspólnymi siłami udało im się w ostatniej chwili opanować pożar.

Ugaszono już i inne wozy. Przy pobieżnym przeglądzie kolumny stwierdzono, że tylko dwa wozy skutkiem uszkodzenia motorów nie nadają się do dalszej drogi. Ładunku ich nie można było przenieść na inne wozy, ponieważ jeden samochód potrzebny był dla ośmiu rannych, w tym trzech ciężko. Rozkaz dowódcy brzmiał: ładunek wozów złożyć pod krzaki, załadować na wóz rannych. Pracowali ponad dwie godziny. Potem czekał ich jeszcze smutny obowiązek: pogrzeb pięciu ofiar nikczemnego ataku pościgowca japońskiego na ukrytą w krzakach załogę.

Dick pierwszy raz w życiu brał udział w pogrzebie wojskowym. Gdy ranny dowódca w paru prostych słowach żegnał zabitych, mocno zaciskał zęby usiłując opanować ogarniające go wzruszenie. W sercu jego budziły się nieznane dotąd uczucia: głęboka nienawiść do zdradzieckiego wroga i namiętna żądza odwetu.

III

NOCNA PRZYGODA

Wśród zabitych i rannych było kilku szoferów, teraz miejsca ich z rozkazu dowódcy zajęli rezerwowi kierowcy. Mieli prowadzić transport do miejsca przeznaczenia, na szczęście już niedaleko. Wóz numer trzy, którym jechał Dick, nie ucierpiał przy nalocie, zabrano tylko szofera Willego.

Dalsza część drogi przebiegała w zupełnym milczeniu. Przy kierownicy siedział stary, ponury i małowówny Irlandczyk, Dick zaś tak uparcie odpychał wszelkie próby ze strony Harrego nawiązania rozmowy, że dryblas zrezygnował wreszcie z bezcelowych wysiłków i w milczeniu palił fajkę. Teraz Dick zaczął się zastanawiać: co ten człowiek właściwie robi w transporcie? Nie był kierowcą, ubranie jego niczym nie zdradzało wojskowego. Wreszcie doszedłszy do przekonania, że to pewnie jakiś cywil zatrudniony w wydziale zaopatrzenia, przestał się nim zajmować.

Długa czterodniowa podróż dobiegała końca. Przez cały czas auta pędziły dniem i nocą na północ, zatrzymując się tylko dla uzupełnienia paliwa lub zmiany opon.

Zbliżali się do celu; Dick coraz częściej wychylał głowę przez otwarte boczne okienko wypatrując stacji benzynowej, przy której miał otworzyć zaklejoną kopertę z tajnym rozkazem.

Dryblas Harry, widząc jego wzrastający niepokój, znów zaczął go drwić:

— Kogo to tak nieustannie wyglądacie? Umówiliście ie tu gdzie może, w tym australijskim buszu, na randkę z ładną dziewczyną?

Chłopak w odpowiedzi zmierzył go złym spojrzeniem, nie dał się jednak sprowokować do odpowiedzi.

Wreszcie z kłębow kurzu wynurzyły się niskie baraki stacji benzynowej. Wielka, czarna dwunastka na białej tablicy widniała z daleka. Dick z ulgą stwierdził, że znalazł się na pierwszym etapie swej męczącej podróży. Teraz tylko gdzieś na uboczu otworzyć kopertę i przeczytać rozkaz... Z ostentacyjną obojętnością zeskoczył na ziemię i zaczął się przeciągać. Tymczasem Harry wraz z szoferem łączyli długim węzem samochód ze stacją benzynową. Harry nie mógł się pohamować i przechodząc rzucił uszczypliwe pytanie:

— Hej, młody człowieku, bardzo wam się spieszy? Pozwolicie nam uzupełnić zapas benzyny w wozie?...

Dick odwrócił się bez słowa i powoli ruszył za niskie budynki, w których mieściły się koszary posterunku wojskowego. Minął dwóch mężczyzn biegnących z wiadrem do zbiornika po wodę dla rannych, skręcił za wyschnięte cierniste krzaki, które niby żywopłotem otaczały cysternę z wodą. Mocno pochylony przystanął za płotem i rozejrzał się dokoła. Żołnierze z wiadrem odeszli właśnie — jak daleko mógł sięgnąć okiem, nigdzie nie było żywej duszy. Uszczęśliwiony, że wreszcie jest sam, wyciągnął kopertę i — ledwie panując nad wzruszeniem otworzył. Wewnątrz była kartka zapisanego papieru. Szybko zaczął czytać:

„Przy stacji benzynowej nr 12 zaczekacie dnia 26 sierpnia aż do zmroku. Dowódcy transportu zameldujecie, że udajecie się w pewnej sprawie do osady Timer, leżącej od Portu Darwina dziesięć mil w kierunku południowo-zachodnim. O zmierzchu pójdziecie rzeczywiście w tym kierunku, lecz nie do osady. Doszedłszy po trzech godzinach marszu do łańcucha białych pagórków, skręcicie w lewo i wzdłuż pagórków pójdziecie na zachód. Minąwszy dwa biegnące prostopadle do waszej drogi wąwozy, wejdziecie w trzeci. Tam zatrzyma was straż, będzie pytała o hasło. Brzmi ono: Port Darwin. Reszty dowiecie się na miejscu. W wypadku gdybyście do posterunku nr 12 w określonym terminie nie dotarli, tym samym transportem dojedziecie do Portu Darwina i tam zameldujecie się u sprzedawcy herbaty G. G. Richardsona przy Queen Elisabeth Street 29. Instrukcji nauczyć się na pamięć, rozkaz wraz z kopertą zniszczyć. Starać się, by zarówno przy tym, jak i przy wchodzeniu do wąwozu nikt was nie widział”.

Dick przeczytał dziwny rozkaz po raz drugi i trzeci i nauczywszy się go na pamięć, zabrał się do wykonania ostatniego punktu. Dokoła było zupełnie pusto, tylko od strony odległego o sto kroków posterunku słychać było głosy ludzkie i łoskot zapuszczanych motorów kolumny. Już czas... Trzeba jeszcze odmeldować się u dowódcy transportu... Skręciwszy kartkę wraz z kopertą w małą kulkę zapalił ją, potem rozdeptał starannie kupkę popiołu na ziemi. W tym właśnie momencie tuż za jego plecami odezwał się głos Harrego. Typowy dla Anglika z wysp, śpiewny, miękki akcent, jakim mówił Harry, od początku budził niechęć w Dicku, teraz jednak podzielał nań jak czerwona płachta na byka.

— Zimno wam, młodzieńcze, że palicie ogień? — zakpił beczelnie dryblas.

Podniósł na niego twarz tak zmienioną przez złość, że zapalając fajkę ręka Harrego opadła nagle i dryblas machinalnie cofnął się o krok przed groźnym przeciwnikiem. Ale ten sam kpiący uśmiezek znowu pojawił się na ustach.

— Sądząc z wyrazu twarzy to chyba raczej gorąco... — Dodał już łagodniej. — Szukam was, dowódca o was pytał. Ruszamy.

— Nie jadę dalej — warknął Dick.

— Ho ho, a to ci nowina! Jaka szkoda, stracę tak miłego towarzysza podróży — śmiejąc się ubolewał Harry.

Dick opanował mordercze instynkty i zawrócił na posterunek. Odmeldował się u dowódcy kolumny, który pożegnał go niedbałym gestem. Przechodząc obok wozu numer trzy, skąd dryblas Harry przesyłał mu ręką pozdrowienia, nawet okiem nie rzucił w tę stronę. Potem zawiadomił dowódcę posterunku, że wieczorem o chłodzie ma zamiar wyruszyć do Timeru.

Zaproszenie na kolację, którą właśnie wydawano, przyjął z wdzięcznością. Przy stole mówił niewiele — nocne spotkanie w odległym wąwozie pochłaniało jego myśli bez reszty, podsuwało rozmaite romantyczne wizje.

Po kolacji przysiadł się do grupki żołnierzy, wypoczywających w cieniu niskiego budynku koszar; gdy na niebie zjawiły się pierwsze gwiazdy, pożegnał serdecznie żołnierzy i ruszył w drogę.

Był to zwykły szlak przez australijski busz, wyznaczony koleinami wyciśniętymi w ziemi przez mocno wyładowane ciężarówki, ale w chłodnym, nocnym powietrzu Dickowi szło się dobrze. Uszczęśliwiony, iż po czterodniowym trzęsieniu się w aucie ma znowu okazję do solidnej przechadzki, tak przyspieszył kroku, że niskie pasmo wzgórz z jasnego piaskowca zjawiło się przed nim o dobre pół godziny wcześniej, niż było podane w rozkazie. Skręcił w lewo — dosłownie tak, jak brzmiał rozkaz — i szedł dalej już nieco wolniej, by nie przegapić któregoś z bocznych wąwozów. W bladym świetle małego sierpa księżyca nie widać było nigdzie ani śladu człowieka. Tylko monotony koncert świerszczy mącił ciszę nocy. Teraz już marsz nie był taki łatwy: przeszkadzała gęsta trawa, brak było także wyjeżdżonej przez wozy drogi.

Po kwadransie minął wąskie wejście do pierwszego wąwozu, po dalszych piętnastu minutach dotarł do drugiego. Zmobilizował całą uwagę: najbliższy wąwóz to już będzie ten z rozkazu. Jeszcze dla pewności obejrzał się, chcąc sprawdzić, czy istotnie minął już wejście do drugiego wąwozu, gdy nagle... Wydało mu się, że od jasnej skałki oderwał się jakiś cień. Przystanął. Wbijając wzrok w chybotliwe cienie na blado oświetlonym przez księżyc gruncie nasłuchiwał uważnie. Nic tylko muzyka świerszczy. Nie uspokoił się jednak — przecież w tak gęstej trawie kroków na pewno nie będzie słycać!

Co tu począć? Zastanawiał się chwilę — rozkaz był wyraźny: starać się, by w drodze na nocne spotkanie nikt go nie widział. Rozglądał się wokoło badając, jak przedstawia się kwestia dalszej drogi. Sto kroków przed nim bieleły wielkie głazy obrosnięte dokoła niskimi krzakami. Nie zastanawiając się dłużej ruszył śmiało naprzód; szedł niby to swobodnie, nie oglądając się za siebie. Dopiero mijając pierwszy głaz rzucił w tył szybkie, ukradkowe spojrzenie — sytuacja w terenie potwierdziła jego przypuszczenia. Jeśli istotnie śledzi go ktoś ukryty przy wejściu do drugiego wąwozu, to z chwilą gdy Dick skręci za głaz, tamten już go straci z oczu...

Jeszcze parę kroków — ostrożnie rozgarnął gałęzie i wszedł między krzaki. Kłudy nieznośnie. Szybko zaczął wycinać najbliższe, najbardziej dokuczliwe. Oczyszcziwszy w ten sposób małą polankę położył się na ziemi.

Wydobył pistolet, odbezpieczył go ostrożnie i ze wzrokiem utkwionym w porośniętą trawą busz czekał cierpliwie. Teraz ów idący za nim w trop człowiek będzie musiał przejść koło tego właśnie głazu, a wówczas odwróć się role. Jeśli to jakiś przypadkowy przechodzień, pójdzie dalej swoją drogą, ale jeśli interesujący się jego osobą szpieg, już Dick da sobie z nim radę.

Minuty wlokły się powoli — Dick raz po raz niecierpliwie zerkał na błyszczące wskazówki zegarka.. Dziesięć minut, potem dalszych dziesięć... Powoli zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że z tym cieniem koło skałki coś mu się przywidziało. Wsunął broń do kieszeni i już miał się podnieść, gdy nagle... Jakieś żelazne kleszcze zacisnęły mu się na szyi... tchu zabrakło... Rozpaczliwym wysiłkiem mięśni próbował wyrwać się z dławiącego uścisku, ale niewidzialny wróg był silniejszy. Jeszcze chwilę nogi bezsilnie kopały trawę, potem ciało jego znieruchomiał... Zemdlął.

IV

„COMMANDO” PUŁKOWNIKA BRENTA

Powoli wracał do przytomności. Miał uczucie, że zerwał się gwałtowny wicher, który smaga mu twarz. Otworzył oczy: dostrzegł czapkę, którą ktoś energicznie wymachiwał pędząc mu prąd powietrza prosto w twarz. Usiadł natychmiast i sięgnął ręką do kieszeni po pistolet. Lecz ręka opadła bezwładnie — kieszeń była pusta.

— No, to szczęście, że obudziliście się nareszcie... Trochę za długo to trwało! — przemówił klęczący nad nim mężczyzna.

Na dźwięk tego śpiewnego, ohydneho głosu krew zawrzała w żyłach Dicka. Dryblas Harry!... Zacisnął pięści z wściekłości, zanim jednak zdążył wymierzyć cios, Harry schwycił jego ręce z całej siły i przytrzymał.

— Spokojnie, kolego! — rzucił łagodnie. — Czyżby dwaj współuczestnicy tej samej imprezy mieli zaczynać znajomość od bijatyki?...

Dick osłupiał... Współuczestnicy tej samej imprezy?...

— Możecie się podnieść? — pytał Harry. Puściwszy ręce schwycił go pod pachy i postawił na nogi.

Dick zatoczył się, ale już bez pomocy Harrego utrzymał się na nogach.

— Co pan mówi? — wyjąkał zdezorientowany.

Harry sięgnął do kieszeni, na wyciągniętej ku Dickowi dłoni błysnęła mała, owalna blaszka.

— Mieliście to na szyi... Po tym zorientowałem się, kogo mam przed sobą — tłumaczył. — Zabierzcie to sobie... A teraz popatrzcie na to...

Dick machinalnie sięgnął do szyi — stwierdził, że koszulę ma rozwartą, pod nią zaś zerwany cieniutki łańcuszek, na którym nosił znak rozpoznawczy członka służby wywiadowczej. Znaczką pod koszulą nie było... leżał na dłoni Harrego. Znów załapała go fala wściekłości. Ale Harry, uprzedzając wybuch, wyciągał ku niemu dłoń z identycznym znaczkiem.

— No, spójrzcie na to! — nalegał. — Skoro ja znam wasz numer, nie widzę powodu byście wy nie znali mego.

Dick schwycił drobny przedmiot i szybko obejrzał z obu stron. Bardzo był podobny do znaczka, który sam nosił, tylko w miejscu herbu Australii miał herb Wielkiej Brytanii, po drugiej zaś stronie — tam gdzie na jego blaszce był wyryty numer 9785 — na znaczku Harrego figurował numer 1313.

— Dwie trzynastki to szczęśliwa kombinacja — przeszedł na żartobliwy ton Harry. — Nazywam się Drone 1, ale nie jestem leń.

W przedzierającym się przez krzewy bladym świetle księżyca Dick widział wyciągniętą przyjaźnie dłoń dryblasas. Nie miał wcale ochoty jej ucisnąć. Grała w nim jeszcze urażona ambicja, bowiem Harry powalił go śmiałym atakiem, z drugiej zaś strony wspomnienia wspólnej podróży także nie były zbyt miłe.

— No, dosyć tych gniewów, kolego! Podajcież mi rękę! — zachęcał Harry. — Ot, po prostu zwykłe nieporozumienie. A wszystkiemu winne te przesadne zasady tajemnicy w naszej służbie. Rzecz prosta, że obaj dostaliśmy takie same instrukcje: pozbyć się każdego świadka w drodze na nocne spotkanie w trzecim wąwozie. Cóż więc dziwnego, że każdy z nas uważał tego drugiego za wroga...

Dick ociągając się wyciągnął rękę.

— Skąd wiedzieliście, że ukryłem się w tych krzakach? — rzucił nieśmiałe pytanie.

— Praktyka, kolego! — roześmiał się wesoło Harry. — Dla was to pierwsza akcja, prawda? A moja już licho wie która...

Dopiero później Dick dowiedział się, że Harry był członkiem owego słynnego „commanda”, które na Krecie porwało naczelnego dowódcę niemieckich wojsk okupacyjnych ze środka jego własnego obozu. Po drodze do trzeciego wąwozu starszy kolega opowiedział mu szczerze, że szedł jego śladem aż do miejsca, gdzie za zakrętem krzaki tworzyły

nieprzebyty gąszcz. Szerokim łukiem obszedł je wokół, a nie znalazłszy śladów wiodących do trzeciego wąwozu wczółgał się w krzaki i „uśpił” go.

— Przecież w tych krzakach nie było żadnej ścieżki, sam sprawdzałem... Jakże więc mogliście podsunąć się tak cicho, że nie słyszałem? — zdumiał się Dick.

— Trwało to dobrą chwilę, kolego — zaśmiał się cicho Harry — dlatego też tak długo musieliście czekać. Czółgając się na brzuchu wycinałem przed sobą gałęzie, rzecz prostą tak, by tego nie było słychać. I wreszcie wpadłem na was.

Opowiedział mu później jeszcze, że takiego tropienia nieprzyjaciół uczyli ich w obozie w północnej Irlandii Indianie szczepu Cheyenne, specjalnie w tym celu przydzieleni przez Amerykanów.

— Ho, ho, Jankesi mają więcej takich sztuczek! To spryciarze! Ich okręty wojenne stosują do tajnych rozkazów szyfr w narzeczu jakiegoś małego szczepu Indian, na wpół już wymarłego, którego żaden Indianin nie rozumie, a cóż dopiero mówić o Japończykach! Toteż ich fachowcy od szyfrów głowy sobie łamią: co to za szyfr, do którego żaden klucz się nie nadaje. Choćby wojna trwała i dziesięć lat, nie potrafią znaleźć rozwiązania tej zagadki.

Tak rozmawiając dotarli do wylotu trzeciego wąwozu. Ledwie zanurzyli się w głęboki cień, gdy padł na nich krąg białego światła latarki elektrycznej.

— Hasło? — zabrzmiało w ciemności surowe pytanie.

Dick czuł wyraźnie, że druga, kryjąca się w ciemności ręka trzyma broń.

— Port Darwin... Hasło dla nas obu... — odparł wesoło Harry.

— Dryblas Harry! — zdumiony człowiek z latarką aż gwizdnął. — Skądże się tu wzięłeś, stary? — Światło nachylonej latarki padło teraz na twarz mówiącego.

Dick dojrzał spaloną słońcem, ostro rzeźbioną twarz, z kanciastą, wysuniętą do przodu brodą. Mężczyzna wyciągnął do Harrego dłoń.

— Patryk Connor, jedyny zawsze trzeźwy Irlandczyk! Witaj, stary... jak się masz, bracie!... No, gadaj: co to się tu święci? — Harry gadając i śmiejąc się ścisnął serdecznie podaną rękę.

— Wszystkiego się zaraz dowiesz, ty stary włóczykiju. Ja tam nic nie wiem... Tak to u nas zwykle. No, chodźcie, jesteście ostatni. Już tylko na was czekamy — naglił Irlandczyk.

Poprowadził ich ciasnym wąwozem oświetlając latarką wyboistą, zasypaną kamieniami ścieżkę. Jeszcze parę minut szli do końca ścieżki, gdzie zatrzymała ich druga straż. Dalej już we czterech rozgarniali gęste, cierniste krzaki, przebijając się na małą, oświetloną światłem księżycy polankę; tam zastali grupkę mężczyzn. Dick policzył szybko — ośmiu. Obok spacerował szczupły, drobny mężczyzna. Posłyszawszy kroki przystanął od razu. Harry aż syknął zdumiony.

— Pułkownik Brent! — i nachyliwszy się nad uchem Dicka wyjaśniał dalej. — To „commando” pod jego dowództwem!... Ho, ho, czekają was nie byle jakie przeżycia, kolego!...

V

NA MORZU TIMOR

Ze wszystkich trzech oceanów, pokrywających ponad dwie trzecie kuli ziemskiej, Ocean Indyjski jest najmniejszy, mimo to jednak powierzchnia jego wynosi siedemdziesiąt pięć milionów kilometrów kwadratowych, czyli że jest większa niż wzięte razem dwie największe części świata — Azja i Afryka, które tworzą jego wschodnie i zachodnie brzegi. Najbardziej na południe wysunięta część Oceanu Indyjskiego sięga bezludnego lądu bieguna południowego. Jego wody na grzbietach swych fal dźwigają całe góry lodowe, oderwane od pokrywającego Antarktydę potężnego pancierza lodowego. Niosą je daleko na północ, w stronę równika — tam dopiero lody roztapiają się w cieplejszych wodach. Znaczna część

olbrzymiej przestrzeni Oceanu Indyjskiego nosi tę specyficzną nazwę, jakkolwiek leży z dala od Indii, od których wzięła nazwę.

W okolicach, tych nie ma na morzu wysp, od których pewne części oceanu mogłyby wziąć miano. Wiele, bardzo wiele dni można tu żeglować po morzu nie widząc najmniejszego nawet skrawka lądu.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa na wodach przylegających do lądów stałych, wielkich wysp lub całych archipelagów wysp. Tam, wynurzające się z oceanu lądy, wytworzyły jego brzegi i nadały nazwy. Stąd też w częściach przybrzeżnych spotykamy rozmaite nazwy mórz; ochrzczili je przeważnie żeglarze, którzy po tych przestworzach wodnych jeździli stale od wyspy do wyspy.

Jedno z takich mórz na wschodnim krańcu Oceanu Indyjskiego otrzymało nazwę od wielkiej wyspy Timor, stanowiącej ostatnie przesło potężnego mostu który kiedyś — przed wielu milionami lat — łączył ze sobą dwa lądy: Azję i Australię. W czasach pokojowych wyspa ta należała w części do Holandii, w części do Portugalii. Teraz jednakże, podczas drugiej wojny światowej, wyspę zagarnęli Japończycy. Wyspa ta zamyka od północy niezbyt rozległe morze Timor; jego południowe i wschodnie brzegi tworzy Australia. Nawet w czasach pokojowych morze Timor niezbyt było uczęszczane przez marynarzy — statki i żaglowce przepływały zazwyczaj przez jego odcinek północny, trzymając się bliżej trasy, po której szedł transport zarówno ludzi jak i towarów z australijskiego Portu Darwina do Samoa i Kupangu na wyspie Timor. I dlatego właśnie morze Timor było na ogół puste i bezludne.

W tydzień po owym spotkaniu czternastu mężczyzn w odległym wąwozie w południowej części morza Timor — mniej więcej w odległości pięciuset mil morskich od Portu Darwina — płynęła mała barka rybacka. Obecność jej na tych nieuczęszczanych wodach była co najmniej dziwna. Dziwniejszy był jej kurs — płynęła bowiem na zachód. A to był jedyny kierunek, gdzie ocean ciągnął się w nieprzejrzaną dal, pozbawioną zupełnie lądu. Jeśli barka nadal będzie szła tym kursem, pierwszym lądem, na który może się natknąć, będą wyspy Kokosowe, słynne wyspy zakopanych skarbów pirackich, odległe jednak o dobrych dwa tysiące mil...

Nawet laik przyjrząwszy się dokładnie barce miałby poważne wątpliwości, czy wytrzyma ona tak daleką drogę. Nie ze względu na wymiary — mniej więcej dwanaście metrów długości i około trzy metry szerokości w miejscu najszerszym — ale ze względu na pozałowania godny stan ogólny.

Było jasne, że okres jej świetności minął już dawno. Gdyby nie przymusowe sytuacje czasu wojny — która wygnała na morze najbardziej nieprawdopodobne, godne już emerytury graty — i ona także, wraz z wielu podobnymi, gniłaby gdzieś w zapomnianym kącie jakiegoś portu. Woda morska zmyła z niej już dawno resztki lakieru — pod połatanymi żaglami łódź poruszała się wolno, ociężale. Sądząc po oporządzeniu, była jakimś mieszańcem szalupy i kutra. Miała jeden tylko trójkątny żagiel przedni — jak szalupa, ale taki mały, jaki bywa stosowany na kutrze, i równie nisko zawieszony. Natomiast rombowy żagiel główny sięgał niewiele ponad połowę jedyne go masztu — rzecz nie stosowana na szalupie czy kutrze, spotykana za to na joli.

Zniszczona, stara krypa nazywała się „Sajwan” — tak przynajmniej mówił wyblakły, częściowo zmyty przez morze napis po obu stronach dziobu. Na poprzecznej desce rufy brak było nazwy portu macierzystego — w miejscu tym rzucał się w oczy świeży kawałek deski, przybity do resztek starego nadburcia. Gdyby właściciela barki czy kapitana zatrzymał jakikolwiek organ kontrolny, dowiedziałby się niewątpliwie, że niedawna burza oderwała kawałek starego nadburcia i wraz z nim nieszczęsną deskę z nazwą portu macierzystego, a nie było już czasu ani możliwości wymalować tę nazwę na zastępczej desce. Ponieważ nie łatwo także określić pochodzenie wyrazu „Sajwan” — równie dobrze może to być słowo malajskie

jak japońskie — więc też przynależność państwowa barki oraz jej właściciela pozostała zagadką.

Nie tylko jednak nędzny stan i niedostateczne oznakowanie barki mogło budzić zastrzeżenia. Znacznie bardziej zdumiewała jej liczna załoga. Łodzie rybackie tej wielkości — barka miała trochę ponad piętnaście ton — posiadają, zazwyczaj załogę składającą się z dwóch, najwyżej trzech ludzi, tutaj natomiast było ich ni mniej, ni więcej — tylko czternastu! W otwartej, bez pokładu barce miejsca było niewiele, a cóż dopiero mówić o jakichś wygodach! Ludziom załogi jakoś to wcale nie przeszkadzało. Byli to niemal wyłącznie młodzi chłopcy, tylko dwaj lub trzej z nich mogli mieć trzydzieści pięć lub czterdzieści lat. Ubrani byli wszyscy bardzo skromnie — nie nowy bynajmniej strój marynarzy składał się z płóciennych spodni i trykotowej koszulki. Robili wrażenie ludzi zadowolonych ze swego losu, chociaż niezwykła ich ilość nasuwała przypuszczenie, że to wyłowieni z morza rozbitkowie. W jaki sposób barka ta zawędrowała tak daleko od brzegów, których trzymają się zazwyczaj łodzie tego typu? Nie łatwo na pytanie takie mógłby dać odpowiedź ciekawemu okrętowi japońskiemu pułkownik Brent, jeden z czternastu ludzi na „Sajwanie”.

Wyglądało tak, że pułkownik stara się za wszelką cenę uniknąć podobnej okazji. Szedł kursem, na którym spotkanie z okrętem japońskiej marynarki wojennej mało było prawdopodobne; załogę swą podzielił na dwie wachty po sześciu ludzi — dowódcą jednej był on sam, drugiej zaś jego zastępca, człowiek nazwiskiem White. Wachty zmieniały się co cztery godziny, jak zwykle na statkach, chociaż w tym wypadku szklanki nie wybijały godzin okrętowych. Dwaj ludzie z wachty obserwowali przez lornety ocean, dwaj inni niebo, zaś dwaj pozostali czuwali nad żaglami i sterem. Ci ostatni mieli najłżejszą służbę, dlatego też po godzinie zmieniali zazwyczaj ludzi, którzy w niezmiernie niewygodnej pozycji kontrolowali morze. Na maszcie nie było bocianiego gniazda, dlatego też pułkownik Brent kazał tuż nad miejscem, gdzie reja zbiegała się z masztem, mocować na maszcie dwa siedzenia z desek. Takie siedzenie miało zaledwie stopę kwadratową powierzchni — człowiek siedzący na nim już po chwili dostaje kurczów mięśni i nie łatwo mu się na nim utrzymać. Ponieważ jednak siedzenie znajdowało się o dobrych dziesięć stóp ponad dnem barki, stanowiło punkt obserwacyjny o znacznie szerszym zasięgu. Pułkownik Brent wiedział doskonale, że mimo wszystko jest w znacznie gorszej sytuacji niż jakikolwiek japoński okręt strażniczy, na którym zarówno pokład jak mostek kapitański znajduje się wyżej nad poziomem morza, a tym samym pozwala obserwować znacznie rozleglejszy horyzont. Ale na to już nie miał rady. Starał się więc usilnie unikać miejsc, gdzie mógłby się natknąć na Japończyków, a w wypadku spotkania przepływać obok nich niepostrzeżenie. W ostateczności trzeba będzie wykręcić się sprytem.

Samoloty nieprzyjacielskie nie stanowiły zbyt wielkiego niebezpieczeństwa. Ze znacznej wysokości barka była zbyt małym i niewidocznym celem. Kontrolujący silnymi lornetami niebo wachtowi mogli zawczasu wykryć każdy samolot na dużą nawet odległość, zwłaszcza gdy widzialność była dobra. Mogli również zawczasu ustalić przypuszczalny kierunek lotu eskadry; wówczas zawsze jeszcze „Sajwan” zdoła usunąć się z drogi, zanim dostrzeże ją załoga nieprzyjacielskiego samolotu. Nocą barka płynęła bez świateł, ilość pełniących wachtę była zmniejszona — przy żaglach i u steru czuwało tylko dwóch ludzi.

Morze było spokojne; lekki południowo-zachodni wietrzyk marszczył powierzchnię wody ledwie widoczną falą. Mimo to Dick Stanton z uczuciem ulgi szedł po drabince sznurowej z niewygodnego miejsca, skąd całą godzinę wpatrywał się w morze. Rozprostowawszy kości przejął nadzór nad żaglami, gdzie właściwie nie było nic do roboty. W ustawieniu żagli nie trzeba było nic zmieniać — wiatr wiał stale w tym samym kierunku. Przeszedł na rufę barki, przeskakując przez ludzi, wypoczywających w cieniu żagli i wyrzucił za burtę drewniany log

ręczny. Odwijając loglinę liczył węzły, a Harry tymczasem odczytywał stoper. Szybkość pięć węzłów — tak jak rano.

— Wlecz się ta „Sajwan” jak zółw — rzucił niechętnie Harry notując w notesie.

— Przy takim wietrze inaczej być nie może — stanął w obronie barki Dick.

Większą część życia spędził na morzu, na kutrze podobnym do ich nędznej krypy, darzył więc „Sajwan” pewnego rodzaju sympatią, której Harry wyraźnie nie podzielał. Widoczne było, że morze nie jest jego umiłowanym żywiołem, chociaż w rzemiośle marynarskim orientował się jako tako. Nie taił, że znacznie lepiej czuje się na lądzie.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, dokąd my właściwie płyniemy — rzekł Dick przysiadając na fałszburcie pod masztem.

Już po raz któryś z kolei powtarzał to pytanie w ciągu owych pięciu dni podróży. A Harry odpowiadał mu zawsze jednakowo:

— To wie tylko pułkownik i jeszcze paru ludzi w sztabie głównym, a może nawet i to nie. — Wzruszył ramionami i ziewnął znudzony. — Tyle razy ci już mówiłem, że ogromnie będę szczęśliwy, gdy ta stara beczka na kapustę zaryje dziobem w coś solidniejszego... Teraz jednak mam już znacznie skromniejsze wymagania. Niechże się wreszcie coś dzieje, wszystko jedno co, byle ta rozpaczliwa nuda się skończyła...

— Musicie się przyzwyczać do morza — uśmiechnął się Dick.

— Co za dużo, to niezdrowo — mruknął Harry. — Ta nasza zgniła krypa za dużo wiezie materiałów wybuchowych, to nie może jej wyjść na zdrowie... a ja nie jestem pirotechnik. Co ten nasz stary znowu knuje? Dużo dałbym za to, żeby przemówił nareszcie, a tymczasem on milczy jak ryba.

Dick rzucił okiem na barkę. Wszędzie dokoła moc najrozmaitszych, niepozornych, dosyć sfatygowanych skrzyń i beczulek. W jednych normalne zapasy konserw i wody do picia, w innych narzędzia do wykonywania drobnych reparacji na łodzi. W większości jednak w nich kryły się granaty ręczne i materiały wybuchowe wszelkiego rodzaju. Skrzynie i beczułki rozrzucone były po całej barce; załoga rozsiała się swobodnie nawet na tych, których zawartość w ułamku sekundy mogła rozszarpać ich na strzępy.

— Ogień i woda to bardzo użyteczne żywioły, zawsze jednak lepiej, gdy się człowiek trzyma od nich z daleka — ciągnął Harry zapalając fajkę.

Część barki między masztem i dziobem nie zawierała groźnego ładunku. Tę część Brent — który sam namiętnie palił — przeznaczył dla palaczy. W innych częściach barki palenie było surowo wzbronione, dlatego też czciciele nikotyny zbierali się w przedniej części łodzi. Jednaże słońce prażyło bezlitośnie, nie przesiadywali więc tam długo kontentując się paru tylko „sztachnięciami”.

Dick chciał coś odpowiedzieć na filozoficzną uwagę Harrego na temat ognia i wody, ale nie zdążył.

— Samolot w lewo, kąt trzydzieści do czterdziestu stopni, odległość piętnaście, dwadzieścia mil, tuż nad wodą! — meldował stojący przy dziobowej stewie i wygodnie o nią oparty łokciami wachtowy.

— Nareszcie coś — odetchnął z ulgą Harry. — Dawaj, Terry, muszę zobaczyć.

Przytknął lornetę do oczu, wyregulował. Niemał natychmiast znalazł samolot. Chwilę przyglądał mu się uważnie.

— Japończyk, rzecz oczywista, naszych tu człowiek nie ujrzy... — stojący obok niego zaciekawiony Dick słyszał, jak mruczy pod nosem. — Czego on tam szuka? — Wyraźnie krąży... ale chyba nie zbliża się do nas. Myślę jednak, że nie zaszkodzi, jak zmienimy trochę kurs. Dick, wołaj no szefa!

Bardzo jednak był zdziwiony, gdy wyrwany z popołudniowej drzemki pułkownik Brent kazał przejść na kurs przeciwny do tego, jaki przewidywał Harry. Zamiast zawrócić w prawo,

„Sajwan” z trudem zrobiła zwrot o ósmą część koła i ruszyła powoli w stronę, gdzie krążył japoński samolot.

VI

ROZBITKOWIE Z „SHELDONU”

— Daruje pan, pułkowniku, ale przecież my jedziemy wprost na Japończyków — Harry nie wytrzymał: zwrócił się do Brenta tonem łagodnej wymówki.

Pułkownik uśmiechnął się, chwilę obserwował przez lornetę kołujący samolot. Odpowiedział dopiero nieco później:

— Po pierwsze: ten pojedynczy samolot na pewno nie zwróci na nas uwagi, ma inne kłopoty. Po drugie: on tam atakuje kogoś z naszych, nie zaszkodzi więc, jeśli znajdziemy się w pobliżu. Bardzo być może, że trzeba im będzie pomocy. Zresztą i tak kazałbym niedługo przejść na kurs zachodnio-południowo-zachodni, więc ta decyzja absolutnie nie koliduje z naszymi planami...

— Których celem jest?... — podchwycił natychmiast Harry.

— Niedługo się dowiecie — odparł lakonicznie pułkownik i odszedł na rufę, by przejąć nadzór nad sterem.

— Niedługo... Co on nazywa „niedługo”? — westchnął Harry. — Potrzebne to jeszcze i teraz takie tajemnice, skoro i tak dosłownie jedziemy wszyscy nie na jednym wózku wprawdzie, ale na jednej łodzi — żalił się do Dicka.

Chłopak był tego samego zdania. Nocne spotkanie w wąwozie pod Port Darwin mocno go rozczarowało. Spodziewał się, że będą tam omawiane jakieś, niesłychanie zuchwałe plany, których wykonanie podejmie oddział komandosów pułkownika Brenta. A tymczasem dostali tylko szczegółowe instrukcje, jak w ciągu nocy przemknąć się niepostrzeżenie na pokład „Sajwanu” — marnej, starej barki, która gniła porzucona gdzieś w odległym kącie portu. Tajemnica okrywająca cel wyprawy drażniła Dicka bardziej jeszcze niż Harrego, zaciekawienie z dniem każdym rosło. Nie miał złudzeń, że uda mu się wyciągnąć coś od pułkownika, skoro próba taka nie powiodła się nawet takiemu staremu wydze jak Harry, który już w niejednej imprezie pułkownika Brenta brał udział, a w tej wyprawie nawet był jego zastępcą.

Zmiana kursu „Sajwanu” wywołała poruszenie na barce. Chłopcy grający w szachy — grali na kieszonkowej szachownicy za pomocą wtykanych płytek w kształcie figur — rzucili grę i całą gromadą wraz z innymi obiegli dziób łodzi tak, że Harry musiał ich przepędzić, by w jednym miejscu nie obciążali niebezpiecznie barki.

— No patrzcie, jak to nagle interesują się dziobem! — zrzędził. — Zmieńcie raczej chłopców na maszcie!

Natychmiast pożałował swej propozycji. Wszyscy bowiem zgłosili się na ochotnika, nawet ludzie z podwachtę, a także i Dick, który zaledwie przed dziesięciu minutami zdrętwiały zsunął się z masztu. Harry wybrał jednego ze swojej wachtę i jednego z wachtę pułkownika. Nagle jednak natrafił na niespodziewany, stanowczy opór pełniących służbę na maszcie. Obaj protestowali kategorycznie: od kwadransa są dopiero na górze, mają prawo pozostać tam całą godzinę!

— Jakże to — argumentowali jeden przez drugiego — wiecznie tylko wpatruje się człowiek w to beznadziejne morze, oczu omal nie wypatrzy, a teraz, kiedy zdarzyła się okazja i można coś zobaczyć, mamy ustępować miejsca innym?

— No, wiecie! — zdumiał się Harry. — Czegoś podobnego jak żyję nie słyszałem! Te dwa żółtodzioby tam na górze zaczynają perorować na temat prawa! A jak włązili, to sam słyszałem, że Dick urągał na ten najohydniejszy rodzaj służby, jaką mu kiedykolwiek wyznaczono w wywiadzie!

Odpowiedział mu z góry wesoły śmiech dwóch młodych chłopaków. Dwudziestoletni Dick Warren i o rok starszy Fred Harper stali na swoich siedzeniach, by lepiej widzieć — jedną ręką trzymali się masztu, który zaczął się groźnie wyginać, drugą z całych sił przyciskali do oczu lornety.

— Gadajcież chociaż, co tam widzicie! — domagali się hałaśliwie koledzy.

Harry natychmiast skarcił ich surowo. Nie wolno krzyczeć — po wodzie głos niesie daleko. Nie miał jednak nic przeciwko temu, by wachtowi przekazywali swe obserwacje jemu i Dickowi Stantonowi, który wraz z nim stał tuż przy maszcie. Podawane wiadomości Dick posyłał „sztafetą” na rufę, gdzie sam Brent z najwyższej skrzyni z lornetą w ręku badał sytuację, do niego jednak po informacje nikt zwrócić się nie śmiał.

Wszystkich, którzy oczekiwali sensacyjnych wiadomości od kolegów z góry, spotkał zawód. Odległość była duża, zmniejszała się bardzo powoli. Nieznaczna szybkość „Sajwanu” spadała jeszcze bardziej, ponieważ teraz łódź chwytała wiatr z boku. Na oko Dick obliczał szybkość jej na trzy węzły, a więc niewiele większą niż szybkość człowieka w marszu. Spodziewał się, że dopiero po zachodzie słońca dotrą na miejsce, nad którym teraz krążyli Japończycy. Obserwację utrudniał fakt, że cel leżał wprost pod wiszącym nisko nad horyzontem, powoli zachodzącym słońcem. Zwięzłe meldunki, że Japończycy kręcą się stale nad tym samym miejscem, na wysokości około tysiąca stóp, bynajmniej nie zaspokajały rozbudzonej fantazji rozgorączkowanych chłopców.

Kiedy w pewnej chwili zbyt głośno wyrażali niezadowolenie, Brent ze swego podwyższenia, natychmiast skarcił ich surowo.

— Proszę o chwilę ciszy! Nastawcie raczej uszu, zamiast mleć jęzorami! — przywołał ich do porządku.

Usłuchali natychmiast — zaległa absolutna cisza, maćona tylko szumem fal bijących o burty barki.

Nagle doleciał ich odgłos dalekich, szybko po sobie następujących wystrzałów.

— Działko szybkostrzelne, kaliber trzy albo trzy i pół — stwierdził szeptem Harry nachylając się do Dicka. — A ponieważ Japsy³ na samolocie go nie posiadają, więc to nasi albo Sprzymierzeni.

Na tle ledwie dających się słyszeć wystrzałów działka głośniejsze zabrzmiały wyraźniejsze, chociaż bardziej głuche detonacje.

— Japy rzucają jajka! — komentował nowe hukki Harry.

Chwilę trwała cisza, potem wachtowi z masztu zameldowali, że od północy przyleciała na to samo miejsce inna maszyna, a pierwszy krążący tam dotąd samolot odleciał.

— To nasz samolot przegnał Japsów! — wybuchnął radośnie Dick.

— Bardzo wątpię — kręcił głową stary wyga. — Przypuszczam raczej, że ten pierwszy Japs, po wyczerpaniu zapasu amunicji i paliwa, ściągnął inną maszynę na swoje miejsce z bazy na wyspach holenderskich...

Nowa seria wystrzałów z działka szybkostrzelnego i równoczesne detonacje bomb lotniczych potwierdziły jego zdanie. Podniecenie na „Sajwanie” rosło — ludzie całym sercem brali udział w toczącej się w pobliżu nierównej walce. Nikt z nich nie zwrócił uwagi na fakt, że barka znalazła się w groźnej bliskości placu boju, że wystarczy jedna bomba japońska, by wszyscy razem wylądowali na dnie oceanu.

Zdawało się jednak, że i drugi samolot nie odniósł sukcesu, ponieważ w ciągu pół godziny zastąpił go następny z kolei. Słońce stało już nad linią horyzontu: teraz już wszyscy widzieli wyraźnie gęsty, ciężki, tłusty dym, jaki w dwadzieścia minut po przylocie trzeciego samolotu zaczął się przewalać po powierzchni morza.

— Porządnie dostał — warknął ponuro Harry. Załoga „Sajwanu” tak głośno dała wyraz oburzeniu, że sam Brent musiał znowu surowo interweniować.

— Japoński samolot odlatuje! — meldowali z masztu obaj wachtowi równocześnie.

— A nasi idą na dno oceanu! — westchnął ze smutkiem Dick.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że wojna to wcale nie tak romantyczne i interesujące przeżycie, jak to sobie jeszcze w obozie szkoleniowym wyobrażał. Wprawdzie w drodze do Portu Darwina widział już pierwszych zabitych, jednakże los ich nie wywołał w nim takiego wstrząsu, jak tragedia tych marynarzy, z którymi łączyła go teraz więź wspólnej służby i walki.

Harry natomiast ruszył tylko ramionami.

— Cóż, kto chce zrobić omlet, musi rozbić jajko... Jak wojna to wojna... — snuł filozoficzne rozważania. — Nie myśmy ją zaczęli, ale głowę w zakład wstawię, chociaż może ona już wtedy niewiele będzie warta, że my ją skończymy...

Potężna ognista kula słońca zanurzyła się w wodach oceanu, w parę minut zaległy gęste i nieprzeniknione ciemności, księżyc bowiem był na nowiu, niebo zaś po zachodzie słońca przesłonił biały welon mgły, który nie przepuszczał światła gwiazd. Wśród głębokich ciemności błyskał tylko od czasu do czasu szarawy ślad potężnej ryby, szybko rozcinającej gładką powierzchnię wody. Noc była tak czarna, że od steru barki nie widać było nawet jej dzioba. Mimo to jednak ludzie na maszcie i cała załoga wpijali wzrok w ten punkt na zachodzie — odległy teraz nie więcej jak parę mil — gdzie jeszcze przed chwilą toczyła się nierówna walka. Wachta Harrego dawno już powinna być zmieniona, minął także i czas kolacji, ale o spoczynku i jedzeniu nikt nawet nie pomyślał.

„Sajwan” wytrwale płynęła na plac boju. Minuta za minutą mijała w absolutnej ciszy. Podniecenie załogi zaczęło już powoli przygasać, gdy nagle w zachodniej stronie horyzontu wystrzeliła w niebo czerwona rakietą, zaraz potem druga...

— To rozbitkowie! Płynmy na ratunek!... — odezwały się wśród załogi gorączkowe głosy.

Apele te były zbędne, Brent bowiem o niczym innym nie myślał od chwili, gdy otrzymał meldunek o samolocie japońskim. Po drugiej rakiecie nad morzem znowu zawarły się ciemności.

Brent rzuciwszy jakiś rozkaz podszedł do Harrego:

— Może to i niezbyt rozsądne z punktu widzenia naszego zadania, ale odpowiedzialność za to biorę na siebie — rzekł zapalając zapałkę.

Zaświeciwszy podaną mu na rozkaz latarnię acetylenową kazał ją wciągnąć na maszt. Rzecz oczywista, że takie jasne światło widoczne było z odległości pięciu mil — to zarówno dla przyjaciół, jak i dla wrogów. Załoga, zrozumiałwszy intencje dowódcy, przyjęła je wyrazami uznania. Na światło z „Sajwanu” rozbitkowie wystrzelili dwie nowe rakiety, według których Brent kazał poprawić kurs barki. Wiatr po zachodzie słońca zmniejszył się jeszcze bardziej, barka płynęła wolniej niż za dnia. Co pół godziny rozbitkowie dawali znaki, teraz już jedną tylko rakietą — widocznie musieli je oszczędzać.

Tuż przed północą wśród najgłębszych ciemności rozległy się głosy kilku mężczyzn. Załoga „Sajwanu” odpowiedziała natychmiast. Po chwili w bladym świetle latarni ukazała się jakaś ciemna bryła i kilka poruszających się na niej cieni. Zanim jeszcze „Sajwan” przybiła, odezwały się radosne okrzyki:

— Tu rozbitkowie okrętu podwodnego Stanów Zjednoczonych „Sheldon”! A tam kto?

— Rybacka barka „Sajwan” z Australii — odparł Brent.

Podpłynęli tuż do żelaznego kadłuba okrętu podwodnego, pomagali rozbitkom przejść na własną łódź. Było ich niewielu: ośmiu ludzi załogi z drugim oficerem, Williamem Fayem, na czele. Kilku z nich miało pierwsze opatrunki — poparzyła ich płonąca ropa lub dosięgły kule karabinu maszynowego, którym Japończycy zasypali ich w chwili, gdy okręt podwodny przestał się już bronić i tonął.

Załoga „Sajwanu” przyjęła rozbitków bardzo serdecznie, chłopcy prześcigali się w okazywaniu im życzliwości. Zasypali dosłownie ludzi z „Sheldonu” różnymi

podarunkami — od fajki i gumy do żucia, aż po konserwy mleczne i pastylki przeciwko malarii.

VII NA RAFACH KORALOWYCH

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to odbijemy — zwrócił się Brent do podporucznika Faya rzucając ostatnie spojrzenie na opuszczony wrak okrętu podwodnego. Nieznacznie wychylał się z wody, pokład zaś jego pod takim kątem ustawiony był do powierzchni morza, że właściwie nad wodą widoczny był tylko dziób okrętu, na którym z biedą mogło się pomieścić dziewięciu ludzi.

Podporucznik skinął głową, Brent dał rozkaz podniesienia żagli. Ster skierował barke na wiatr — po chwili wrak „Sheldonu” przepadł w ciemnościach. Zaraz też Brent kazał ściągnąć i zgasić latarnię; teraz na pokładzie płonęło tylko jedno światełko nad kompasem, tak jednakże zaciemnione, że o dwa kroki dalej rozpościerały się już nieprzeniknione ciemności.

— Musicie nam wybaczyć, że nie będziemy palić światła ani przy jedzeniu, ani podczas rozmowy, ale inaczej być nie może — uprzejmie tłumaczył się Brent gościowi.

Nie wymienił swego nazwiska, nie powiedział też o „Sajwanie” ani słowa ponad to, co zawierała odpowiedź w chwili przybicia barki do wraku. Może podporucznik nie zwrócił na to specjalnej uwagi, nie wyglądał jednakże na urażonego. Ten młody człowiek miał już za sobą wielkie emocje — tego dnia przeżył trzecią w swym życiu katastrofę okrętu podwodnego.

Pierwsza miała miejsce jeszcze w czasach pokojowych, w Newport: na okręt podwodny podczas wynurzania się najechał statek handlowy. Dopiero po trzech dniach, gdy załoga już dusiła się, udało się doprowadzić do okrętu świeże powietrze, a w dwa dni później potężne żurawie wyciągnęły cały okręt na powierzchnię.

Drugą katastrofę przeżył podporucznik Fay w pierwszym roku wojny Stanów Zjednoczonych z Japonią: w pobliżu portu Surabaja na Jawie, znajdującego się jeszcze wówczas w ręku Sprzymierzonych, okręt podwodny najechał na minę. Uratowała się tylko część załogi, wśród niej i Fay. Dzisiejsza katastrofa była jednak najgorsza. Półtonowa bomba japońska rozerwała okręt podwodny na dwie części. W tym momencie Fay, jako oficer torpedowy, znajdował się wraz z ośmiu ludźmi obsługi w oddziale torpedowym na dziobie okrętu. Mieli nieprawdopodobne szczęście, że wybuch bomby nie uszkodził grodzi wodoszczelnych, oddzielających oddział torpedowy od centrali, gdzie mieści się ośrodek dowodzenia okrętem. Mimo iż większa część rozerwanego okrętu poszła na dno, przód utrzymał się na wodzie, a ludzie przez właz wydostali się na pokład. Tam właśnie dosięgły ich salwy karabinu maszynowego odlatującego już samolotu japońskiego. Dwóch marynarzy zostało rannych, dwóch dalszych odniosło poparzenia od płonących bocznych zbiorników ropy.

— Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zanurzyliście się, gdy pokazali się Japończycy? — zapytał Harry, który wraz z pułkownikiem słuchał opowiadania podporucznika.

— Nie mogliśmy, zaciął się nam ster głębinowy. Nie udało się wybalastować okrętu — tłumaczył oficer.

Właśnie naprawialiśmy szybko ster, gdy wachtowi zameldowali nalot japoński. Broniliśmy się całe dwie godziny. Od kul japońskich zginęło kilku ludzi z obsługi dział przeciwlotniczych, inni wraz z kapitanem poszli na dno podczas przepołowienia okrętu. Z całej pięćdziesiątki zostało nas tylko dwiętnastu...

— Broniliście się wspaniale — wtrącił z uznaniem Harry.

— Owszem, strzelaliśmy dobrze — potwierdził spokojnie oficer. — I tylko dlatego Japończycy nie odważyli się pikować! A w takim wypadku już pierwsza maszyna byłaby nas zlikwidowała.

— W jakim kierunku płynęliście? — spytał milczący dotąd Brent.

— Do Perthu5 do eskadry wiceadmirała Dombeya. Szliśmy z Kapsztadu całą grupą sześciu okrętów podwodnych, pod dowództwem komodora6 Kennedy. Ale jak to zwykle bywa, po drodze rozproszyliśmy się. Swoją drogą to dziwne, że się tu żaden z kolegów nie zjawił...

— Dostyć pewnie mają własnych kłopotów — wtrącił smętnie Harry.

— Do Perthu odstawić was nie mogę, czeka nas bowiem bardzo daleka droga, której przerywać mi nie wolno — zaczął Brent zamyślony.

— Z wami też zostać nie możemy. Łódź jest mała, ledwie dla was miejsca starczy — odpowiedział Fay.

— Racja — przytakiwał Brent. Wydobywszy z kieszeni na piersiach dużą, składaną mapę, rozłożył ją na kolanach. — Poświećcie no mi, Harry, ale zatłóczcie światło tak, żeby nie było z góry widoczne.

Na mapę padł krąg białego światła. Fay i Harry nachylili się z ciekawości. Brent sunął palcem po papierze; wreszcie ręka zatrzymała się.

— Według branego w południe namiaru7, jesteście mniej więcej tutaj — mówił. — Prosto stąd na zachód, w odległości około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu mil, leżą rafy koralowe Hibernia. Zazwyczaj są bezлюдne, może jednak teraz Japończycy mają tam jakieś wysunięte posterunki. Na to musimy być przygotowani. Mam nadzieję, że załoga ich nie będzie zbyt liczna. Na południowy-zachód od Hibernii, w odległości około dwudziestu mil, ciągną się rafy Ashmora i Wyspa Wschodnia. Na wyspie tej jeszcze niedawno... mówiąc: niedawno mam na myśli przed tygodniem... była załoga australijska. Pojedziemy na Hibernię... i tak mieliśmy tam zajrzeć. Zbudujcie sobie tratwę, pomożemy wam zresztą, zaczekacie na sprzyjający wiatr i pojedziecie na Wyspę Wschodnią. Przy dobrych warunkach, nawet przy nieznacznej szybkości, w ciągu czterech, pięciu godzin będziecie na miejscu. Zgoda?

Podporucznik miał ochotę postawić pytanie, czy „Sajwan” nie mogłaby zboczyć nieco z kursu i odstawić ich bezpośrednio na Wyspę Wschodnią, pohamował się jednak. Domyślał się, że tego rodzaju rybacka barka, przemykająca się z dala od brzegów, których zazwyczaj trzymają się tego typu łodzie, z tak niezwykle liczną załogą, ma do wykonania zapewne jakieś specjalne zadanie, że więc jej kapitan nie ma czasu na odwożenie rozbitków. Bardzo mu był wdzięczny za pomoc w niezmiernie trudnej sytuacji, bowiem załoga okrętu podwodnego nie posiadała zapasów wody ani żywności, czuł jednak, że dalszych żądań stawiać mu nie wolno. Wyciągnął więc rękę do Brenta na znak zgody. Pułkownik uściśnił ją serdecznie.

Potem ułożyli się wszyscy do snu — jak i gdzie się dało. Tylko kolejna wachta White'a czuwała na barce.

Reszta nocy przeszła spokojnie. Nad ranem wiatr się wzmógł, „Sajwan” płynęła na zachód z szybkością sześciu węzłów. Przed południem wachta na maszcie zauważyła daleko na północy eskadrę samolotów japońskich. Leciały kluczem jak stado dzikich gęsi; jeśli nawet ktoś z załogi zauważył maleńki punkcik na oceanie, eskadra widocznie nie miała czasu nim się zainteresować.

— Lecą wzmocnić załogę na Nowej Gwinei — snuł przypuszczenia Harry. Dryblas, chociaż spał zaledwie parę godzin, był w dobrej formie i w świetnym humorze. — Zaczyna im się tam robić ciepło, B-298 zdrowo im dogryzają.

Stojący obok niego Stanton nie odpowiedział. Już dobrą godzinę z ciekawością spoglądał na zachód — wypatrując ukazania się raf koralowych Hibernii... Wreszcie o pierwszej w południe doczekał się — tak nieznacznie wystawały z wody że załoga

„Sajwanu” dopiero z odległości niecałej mili zauważyła białawą smugę spienionego na podmorskich skałach morza. Sam White przejął ster z rąk młodego Freda Harpera, do żagli zaś wyznaczył Connora i Wilkinsona, wytrawnych marynarzy. Kazał opuścić trójkątny żagiel — szybkość „Sajwanu” spadła do trzech węzłów.

Rafy zbliżały się powoli — pomiędzy nimi kipiła biała, morskiej piany. Stara żaglówka jakby ociągając się wchodziła w ów kocioł czarownic. Wyminęła długą, daleko ciągnącą się rafę, która tylko tu i ówdzie wystawała nad powierzchnię morza, dno barki raz i drugi groźnie zachrobotało na niewidocznych, ostrych grotach podmorskich koralu. Nagle uderzył w baręk przeciwny prąd, cisnąc ją lewą burtą do olbrzymiego głazu, który wzywał spośród spienionych fal niby grzbiet potężnego, wypoczywającego zwierzęcia. Był to najgroźniejszy dla „Sajwanu” moment — wszyscy marynarze skoczyli na ratunek. Dick wraz z dwoma ludźmi załogi okrętu podwodnego starali się odepchnąć ciężką żaglówkę żerdziami od skały, obsługa żagli usiłowała schwycić trochę więcej wiatru, by mocniej przeciwstawić prądowi, White z całej siły naparł na rumpel steru. Podporucznik Fay nadbiegł mu z pomocą — pod zdwojonym naciskiem rumpel trzeszczał złowrogo. Przez ułamek sekundy sytuacja wisiała na włosku. Wreszcie „Sajwan” zawróciła niezdarnie... Skrzypiąc i trzeszcząc we wszystkich spojeniach, jak gdyby lada chwila miała się rozlecieć, powoli wymykała się z objęć śmierci.

— Niezbyt piękną łódź wybrał sobie szef — urągał Harry, który przez cały czas walki z morzem, trwającej w istocie zaledwie parę minut, najspokojniej palił fajkę.

Zmordowany Dick nie ukrywał zdumienia: w tak pełnej grozy chwili Harry nie stracił spokoju: Australijczyk doszedł do przekonania, że jego przyjaciel, nie znając marynarskiego rzemiosła, nie zdawał sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Uważał jednak za swój obowiązek stanąć w obronie „Sajwanu”:

— Łódź jest stara, ale nienajgorzej budowana. Sporo może wytrzymać. Tylko że tu i dla najsolidniejszej barki miejsce jest niebezpieczne!

Dalszą rozmową o zaletach żaglówki przerwał rozkaz Brenta:

— Absolutna cisza! Przygotować pistolety nie wyjmując ich na razie z kieszeni!

Podchodzili do niezbyt wysokiego, szarego, nagiego brzegu. Gdy „Sajwan” znalazła się już o pół kabla od lądu, ukazał się wąski przesmyk, w który White ostrożnie skierował baręk. Fay, stojąc na dziobie, raz po raz mierzył sondą głębokość wody. Podawał stojącemu przy sterze White’owi dane za pomocą normalnych sygnałów marynarskich, by nie posługiwać się głosem, a Dick natychmiast znaki te tłumaczył Harremu, który nie orientował się w zasadach sygnalizacji morskiej.

— Wszędzie tu ponad dwadzieścia stóp, to nam zupełnie wystarczy. Nasza barka ma zanurzenie niepełne dziesięć — szepnął.

Teraz wyjaśniło się, że to, co uważali za brzeg, był to oddzielony wąską cieśniną cypel wyspy. Sto stóp dalej czerniała znowu wielka rafa, którą trzeba było opłynąć. Znaleźli się u wejścia na wewnętrzną, otoczoną pierścieniem raf koralowych lagunę. Brent skierował łódź na niski, trawiasty brzeg, gdzie widoczne były pojedyncze kępy palm. Idealnie przejrzysta, szmaragdowozielona woda pozwalała odróżnić na dnie najdrobniejsze gałązki koralu, nad którymi migąły szybko grające rozmaitymi barwami ryby.

Dwaj ludzie z liną skoczyli w wodę i ruszyli do brzegu: przycumowali łódź luźno do pnia palmy. Brent nie kazał rzucać kotwicy, chciał bowiem — na wszelki wypadek — móc wypłynąć w każdej chwili. Z łodzi zeszli na brzeg: rozbitkowie z okrętu podwodnego oraz połowa załogi „Sajwanu”, wśród nich Harry i Dick. Dowództwo objął Brent. Sześciu ludzi pozostało na barce, którą teraz dowodził stary marynarz Connor. Harry upajał się wrażeniami człowieka, który spędziwszy szereg dni na ciasnym statku może wreszcie zaznać rozkoszy przechadzki po lądzie stałym. Uśmiechał się wesoło szydził ze swego przyjaciela Irlandczyka, który pozostał na pokładzie. Brent jednak nie dał mu zbyt wiele czasu na figle. Z dwoma chłopcami na ochotnika wysłał go na zwiady.

— Kryć się możliwie najlepiej, w wypadku spotkania Japończyków nie strzelać, chyba w ostateczności. Jesteście rozbitkami z hiszpańskiego statku, storpedowanego przez Amerykanów... gdyby doszło do jakichkolwiek wyjaśnień — rozkazał. Idziemy za wami w takiej odległości, na jaką pozwolą warunki terenowe.

— Ba, jeśli tylko Japy dadzą nam czas na jakieś wyjaśnienia, szefie — uśmiechnął się Harry. — Chodźcie, chłopcy! Będziecie robić to samo, co ja... — skinął na Dicka i młodego Harpera.

Poprzez niską trawę ruszyli cicho jak duchy w stronę kępy drzew mangrowych, ciągnącej się o jakieś sto kroków od brzegu w poprzek wyspy.

VIII

RADIOSTACJA

Dick z ręką na odbezpieczonym w kieszeni pistolecie czołgał się tuż za Harrym. Był ogromnie podniecony, aż mu wstyd było, że serce bije mu tak szybkim tętnem. Starał się we wszystkim naśladować Harrego — stary wyga zachowywał się tak spokojnie, jakby szedł na zwyczajną przechadzkę. W pewnej chwili Harry odwrócił się do Dicka, po twarzy jego przemknął nieznaczny uśmiech:

— Spokojnie, kolego! Niech ci się zdaje, że jesteś u miłego stryjaska w ogrodzie! — rzucił szeptem przez ramię.

Starszy od Dicka Fred Harper był niemniej podniecony lecz na uwagę Harrego wybuchnął śmiechem. Harry natychmiast skarcił go surowo:

— Raz jeszcze odetchniesz głośniejszy natychmiast cię odeślę! — zagroził mu. Fred zaczerwienił się ze wstydu po uszy.

„Po cóż Secret Service przydziela do komanda na tak niebezpieczne akcje szczeniaków w rodzaju Freda?” — z irytacją rozważał w duchu Harry. Ale cała trójka przedzierała się dalej przez ciernisty zagajnik nie szczędząc ubrań. Lasek był niewielki — po kwadransie Harry ostrożnie rozgarnął niskie gałęzie ostatniego krzewu... i zaraz puścił je znowu. Zrobiwszy małe okienko przywołał Dicka i kazał mu spojrzeć. Chłopak podsunął się uszczęśliwiony — przed nim leżał trawiasty step, tylko tu i ówdzie pojedyncze krzaki niskiej, kolczastej mimozy. Step ten ciągnął się wzdłuż brzegu na jakieś tysiąc stóp, aż po mały laszek palmowy. A w cieniu pod palmami kulił się niski, długi budynek, kryty dachem z blachy falistej. Nad dachem dwa wysokie maszty z cienkich, stalowych rurek, połączone wielkimi zwojami drutów. W cieniu domku pełnił wartę żołnierz japoński: biały mundur, hełm tropikalny, karabin na ramieniu.

— Radiostacja — rzucił półgłosem Harry. — Skocz no Fred w tył do szefa. Powiedz, że nieprzyjaciel tysiąc stóp przed nami. A my tu zaczekamy.

Fred usłuchał, aczkolwiek bardzo niechętnie: obawiał się, że jakaś akcja rozpocznie się podczas jego nieobecności, a on nie będzie mógł wziąć w niej udziału.

Obawy Freda spełniłyby się na pewno, gdyby przebieg akcji zależał od Dicka. Na szczęście był tu stary, doświadczony Harry, a już on potrafił powściągnąć żądzę walki osiemnastoletniego zapaleńca.

— Co ty, wariat jesteś?... Taką strażnicę zdobywać szturmem? — zaśmiał się. A tych dwóch karabinów maszynowych, na lewym i prawym rogu tarasu nie widzisz? Jak sobie wyobrażasz: co to jest? Skrzynki z kwiatami?... Dobrze zamaskowane, powiadasz?... O, do tego musisz się przyzwyczaić! Wróg nigdy nie powie ci otwarcie, co tam na ciebie gotuje!

Karabiny maszynowe dobrze były ukryte za niskimi, drewnianymi skrzynkami z kwiatami. Że tam były istotnie, miał się niebawem młody Australijczyk naocznie przekonać.

Brent przybliżył się tak zrećźnie, że Dick usłyszawszy szept za plecami aż wzdrygnął się zalękniony.

— Istotnie, radiostacja!... Oczywiście: musimy ją zdobyć!

Chwilę naradzał się z Harrym, chociaż Dick miał wrażenie, że to tylko formalność — pułkownik przyszedł już z gotowym planem. Harry otrzymał rozkaz: wrócić na „Sajwan”, wywiesić hiszpańską flagę, opłynąć kępę drzew mangrowych i przybić z drugiej strony przed budynkiem strażnicy. W ten sposób cała uwaga Japończyków skupi się na nim, a tymczasem Brent z ludźmi obejdzie budynek i zaatakuje od tyłu. Z karabinami maszynowymi niełatwa sprawa nie można więc dopuścić, by Japończycy zdążyli użyć ich w obronie. Brent sądził, że najlepiej całą akcję przeprowadzić jak najciszej — nie był pewien, czy na innych rafach koralowych Hibernii nie ma przypadkiem dalszych załóg japońskich. Przedwczesne obudzenie ich czujności nie było w takim wypadku wskazane.

Harry porównawszy zegarek z zegarkiem Brenta, odszedł życząc im powodzenia. Dick przyłączył się do grupy Brenta. Na rozkaz dowódcy ludzie zaczęli posuwać się ostrożnie brzegiem lasu, równoległe do ocieniającego budynek lasu palmowego. Brent nie mogąc dać Harremu sygnału do wypłynięcia bez zwrócenia uwagi Japończyków, umówił się z nim dokładnie na czas, musiał więc teraz na odpowiedni moment doprowadzić swój oddział do lasu palmowego za radiostacją. Przed wyjściem z gaju mimozowego i podjęciem trudnego czołgania się przez trawę w stronę budynku, Brent odbył krótką rozmowę z amerykańskim podporucznikiem. Nie znał jego ludzi, nie miał odwagi brać ich ze sobą na tak trudną akcję, gdzie trzeba było czołgać się odkrytym terenem pod bokiem wroga. Fay oponował przez chwilę, kiedy jednak pułkownik przerwał mu stanowczo, mówiąc, że nie może marnować drogocennych chwil, zgodził się acz niechętnie czekać wraz z marynarzami w lesie do chwili zakończenia całej akcji.

— Jeśliby walka przeniosła się tutaj, macie broń, możecie zrobić z niej użytek. Jak długo jednak do tego nie dojdzie, proszę byście zachowywali się absolutnie cicho, bez względu na to, co się stanie — stawiał podporucznikowi kategoryczne warunki przed rozstaniem.

Pełzanie w trawie, dosłownie niemal na oczach japońskiego strażnika, przewlekało się w nieskończoność i niesłuchanie wyczerpywało nerwy. Dick jeszcze potem długo to wspominał. Większą część drogi trzeba było przebyć tylko za wątpliwą zasłoną niezbyt wysokiej trawy, a przy tym trawa ta nie mogła się przy żadnym ruchu nawet zakolysać. Ileż razy Dick czołgając się tuż za Brentem czuł, jak mróz przebiegał mu po skórze, chociaż słońce lało żar z nieba. Nieustannie zdawało mu się, że wartownik — którego nie mógł widzieć kryjąc głowę w trawie — już podnosi karabin do ramienia. Rozgorączkowana wyobraźnia chwilami wmawiała mu nawet, że słyszy szczęk odwodzonego spustu... Nic jednak nie zaszło; po półgodzinnym czołganiu Brent wraz ze swymi ludźmi bez żadnej przygody dotarł do pierwszych grubych pni palmowych. Teraz, gdy drzewa stanowiły dobrą osłonę, mogli już szybko przesunąć się za bliższe domu pnie.

Mieli teraz przed sobą tylną ścianę niskiego, drewnianego baraku: tuż pod samym dachem dwa małe okienka, dalej drzwi i prowadzące do nich z trawnika krótkie schodki. Trawa wokół domu skoszona była krótko. Odległość od tylnej ściany budynku do ostatnich drzew, za którymi skryła się część brytyjskiego komanda, wynosiła nie więcej jak dwanaście kroków. W pewnych okolicznościach mógł to być najtrudniejszy odcinek drogi, ale Brent słusznie liczył, że cała uwaga Japończyków skupi się na lądującej barce. Wprawdzie ze swego ukrycia nie widział laguny, bo zasłaniał ją budynek radiostacji, ale Harry był na miejscu punktualnie...

W dziesięć minut od chwili, gdy Brent ze swoimi ludźmi stanął na miejscu, za barakiem rozległ się ostry gwizdek pełniącego straż żołnierza. Pograżony w absolutnej ciszy budynek natychmiast ożył. Jak się później okazało, wszyscy ludzie załogi, z wyjątkiem wartowników, spali. Słysząc było głosy biegnących na werandę ludzi, tupot oddalających się kroków. Brent zdecydował, że już czas.

— Pistolety w rękę i za mną! — rzucił cicho rozkaz i ostrym krokiem pierwszy skoczył do drzwi.

Jak przypuszczał — nie były zamknięte. Otworzył je mocnym szarpnięciem i z wyciągniętym pistoletem wbiegł do długiej, dość ciemnej izby. Skontrolowawszy ją rzutem oka i stwierdziwszy, że jest pusta, ruszył do przeciwległych drzwi, które prowadziły na werandę od strony morza.

Dick biegł ostatni w oddziale, ponieważ krył się za najdalszym drzewem. Chcąc nadrobić opóźnienie pędził, nie patrząc pod nogi; naraz potknąwszy się o wystającą z podłogi deskę runął jak długi. Klnąc podnosił się szybko, kiedy naraz wydało mu się, że w dalszym kącie izby coś stuknęło, jakby się zatrzasnęły jakieś drzwi. Zwróciło to specjalnie jego uwagę — w izbie prócz tych, przez które weszli i drugich naprzeciwko, wiodących na werandę, innych drzwi nie było. Już miał biec dalej — od strony werandy słychać było krzyki i strzały — gdy naraz tuż nad jego głową rozszczękał się karabin maszynowy. Dick nie namyślał się: przebiegł szybko izbę wzdłuż. W rogu na końcu zauważył w suficie klapę, a przy niej umocowaną do ściany krótką drabinę. Naturalnie, że tamci nie mogli jej zauważyć, przebiegli bowiem izbę w poprzek, od drzwi do drzwi, a drabinę zasłaniała wysoka, wąska szafka na ubranie, jakich tu po obu stronach izby stało chyba z pół tuzina. Teraz w lot zorientował się, że to tędy właśnie niepostrzeżenie wymknął się żołnierz, który w tej chwili otworzył ogień ze stojącego na dachu karabinu maszynowego. Skoczył na drabinę, jednym uderzeniem ręki otworzył drzwiczki i wpadł na płaski dach. Przywarłszy doń natychmiast całym ciałem, by nie stanowić zbyt wyraźnego celu — rozejrzał się wokoło. Na drugim końcu dachu, od strony mimozowego gaju, gdzie miał kryć się podporucznik Fay wraz ze swymi marynarzami, klęczał skulony strzelec — naciskał spust lekkiego karabinu maszynowego. Broń ukryta była tak zręcznie za podwyższeniem rynny na okapie, że nie dostrzegło jej nawet oko doświadczonego specjalisty, Harrego.

Zawahał się ułamek sekundy. Od strzelającego Japończyka dzieliło go dziewięć, może dziesięć jardów — karabin łykał szybko pas z nabojami. Zanim zdoła dopaść strzelca, zginie jeszcze sporo ludzi. Nienawidził strzelania do człowieka od tyłu, tu jednak nie było wyboru. Pistolet sucho stuknął dwa razy — człowiek przy karabinie maszynowym znieruchomiał, sztywniejące palce obsunęły się ze spustu, karabin zamilkł.

W sekundę już Dick klęczał na tym samym miejscu — przed nim rozpościerał się widok na łąkę, po której czołgali się przed chwilą do palmowego lasku. Daszek nad werandą zasłaniał widok na morze przed głównym wejściem do radiostacji. To, co zobaczył rozwiało resztę wyrzutów sumienia za strzał z tyłu. Przedsiębiorczy Fay nie wytrzymał wraz ze swoimi w lesie, mimo że to Brentowi obiecał. Strzelanina na brzegu wywabiła ich z kryjówek, ale za krok ten drogo zapłacili. Właśnie na nich Japończyk skierował swój karabin maszynowy, uważając tę grupkę za główne siły napastnika. Jak się później okazało, dwóch ludzi leżało zabitych w trawie, dwaj dalsi byli ranni.

Z tej strony nic już nie było do roboty. Dick ruszył na dach nad werandą ciągnąc za sobą karabin maszynowy. Nie zważał, że dach trzeszczał nieprzyjemnie i w każdej chwili mógł się zawalić; doczołgał się na skraj, skąd widział wszystko jak na dłoni. I z tej strony także walka już była skończona.

Obok werandy mała grupka Japończyków w białych mundurach składała broń.

Wokół nich stało czterech ludzi z grupy Brenta z pistoletami. Sam Brent nieco z boku rozmawiał z drobnym oficerem japońskim — pas jego wraz z pistoletem w kaburze trzymał w ręku. Od „Sajwanu” szło w bród przez płytką wodę kilku ludzi. Harry stojąc pod masztem z opuszczonym żaglem i czerwono-żółtą flagą hiszpańską ręką przesyłał Dickowi radosne pozdrowienia. Dick Warren, ledwie o dwa lata starszy od Dicka, krzywiąc się z bólu opatrywał sobie przestrzeloną rękę i odtrącał uparcie pomoc rudego Patricka Connora. Jednym rzutem oka Dick ze swego podwyższenia stwierdził, że przestrzelona ręka Dicka to jedyna ofiara, jaką poniosła załoga „Sajwanu”. Tylko dwaj marynarze z „Sheldonu” przypłacili atak natychmiastową śmiercią — trzeci, ciężko ranny w płuca, zmarł w dwa dni

później. Ofiary te były zupełnie niepotrzebne — Brent później w gniewie robił o to Fayowi gorzkie wyrzuty. I gdyby nie interwencja Dicka, byłiby zginęli wszyscy ludzie z okrętu podwodnego. Pułkownik podkreślił to wyraźnie notując atak na radiostację w swym dzienniku. Dicka Stantona wobec wszystkich pochwalił.

W chwili gdy Dick spojrział z dachu werandy, Brent przeprowadzał pierwsze przesłuchanie podporucznika Yamady, dowódcy radiostacji. Drobny Japończyk mówił poprawną angielszczyzną. Natychmiast zasypał Brenta wymówkami:

— Napadliście nas jak dywersanci pod fałszywą flagą — powtarzał z uporem na wszystkie pytania pułkownika.

— Nauczyliśmy się tego od was, w Pearl Harbour⁹ — odciął szorstko Brent, słysząc tę odpowiedź.

— Więc pan nie chce mi powiedzieć, jakie ta strażnica wojskowa miała zadanie?

— Odmawiam wszelkich odpowiedzi — zastrzegł się zuchwale podporucznik.

— Już my tam potrafimy rozwiązać panu język! — wtrącił Harry Drone, który przeszedłszy tymczasem w bród na brzeg usłyszał odpowiedź oficera.

Żółta twarz Japończyka zrobiła się szara, w oczach zamigotał błysk przerażenia.

— Może pan się jeszcze namyśli — dodał z uprzejmym uśmiechem pułkownik i kazał Harremu odprowadzić jeńców lokując ich pod strażą.

Za długą izbą — sypialnią i zarazem jadalnią załogi posterunku — znajdowała się mała, ciasna izdebka z jednym okienkiem, skład zapasów żywności i amunicji. Brent kazał ją opróżnić i sam przyprowadził tam wszystkich dziesięciu jeńców wraz z dowódcą. Miejsca było tylko tyle, że mogli leżeć ciasno jeden obok drugiego, ale — jak szyderczo tłumaczył Harry — w czasie wojny człowiek musi być przygotowany na pewnego rodzaju niewygody. Zwłaszcza jeńcy nie mogą być zbyt wybredni. Ściany owego prowizorycznego więzienia tworzyły cienkie deski, w drzwiach nie było zamka.

Brent, co prawda dość niechętnie, kazał jeńców związać. Zbyt ich było wielu — bez pięć przynajmniej kilku ludzi musiałoby ich pilnować nieustannie. Oficer japoński zaprotestował powtórnie, twierdząc, że to stanowi naruszenie prawa międzynarodowego.

— Dywersantów prawo międzynarodowe nie obowiązuje — zbył go Brent krótko. Dość już miał tych jego wiecznych protestów. — Gdybyście tak wy nas schwyтали, postawilibyście nas po prostu pod ścianę. W porównaniu z tym więzy to tylko drobna niewygoda.

Pod zamkniętymi drzwiami, przez które słyhać było każde, nawet cicho wypowiedziane słowo, z rozkazu pułkownika stanął na kilka pierwszych godzin Leslie Brown, młody chłopak, który całe życie spędził w Japonii, ponieważ od czasu pierwszej wojny światowej do roku 1940 ojciec jego pełnił funkcje attaché wojskowego przy Ambasadzie Amerykańskiej w Tokio. Rzecz prosta, że Brown znał język japoński dobrze, jak i język ojczysty; tylko ze względu na rysy twarzy nie mógł uchodzić za rodowitego Japończyka.

— Zważajcie dobrze na każde słowo jeńców — tłumaczył mu cicho Brent. — Żeby wam się nie nudziło, każę tu przynieść wszystkie znalezione papiery. Przejrzyjcie je i powiecie mi później, co zawierają.

— O'key, pułkowniku — z uśmiechem odpowiedział Brown.

W pół godziny później kazał natychmiast odszukać Brenta.

— Na razie z ust jeńców nie słyszałem nic specjalnego, prócz oczywiście wymysłów pod naszym adresem, ale wykryłem coś, co pana na pewno zainteresuje — meldował pułkownikowi. I w krótkich słowach zaczął tłumaczyć mu zadanie tego posterunku: trzy razy dziennie przekazywać stan pogody oraz zaopatrywać lotników w benzynę i smary w wypadku przymusowego lądowania. — Już czas najwyższy nadać południowy meldunek o stanie pogody, panie pułkowniku. Znalazłem tu kod, zaraz go przełożę... Tylko czy ma pan wśród swoich ludzi kogoś, kto orientuje się w aparatach meteorologicznych?

Słowa Brenta rozwiały jego wątpliwości: pułkownik sam był nie najgorszym meteorologiem, prócz tego przynajmniej dwóch ludzi z komanda miało odpowiednie przeszkolenie. Już poprzednio w lasku palmowym, gdzie były zmagazynowane beczki z benzyną i puszki ze smarami, zauważył budki z aparaturą meteorologiczną. Poszedł więc szybko odczytać aparaty.

Jeden z ludzi załogi „Sajwanu”, fachowy radiotelegrafista z nieznacznym tylko opóźnieniem nadał przetłumaczony przez Browna codzienny meldunek. Nie wzbudził on najmniejszego podejrzenia — radiotelegrafista japoński z wyspy Timor normalnie pokwitował meldunek odpowiednim sygnałem, który Brown znalazł w instrukcji japońskiej. Japończyk na wyspie Timor nie przypuszczał na pewno, że tym razem otrzymał meldunek od śmiertelnego wroga.

W ten sposób komando pułkownika wybrnęło szczęśliwie z bardzo niebezpiecznej sytuacji, jasne było bowiem, że gdyby radiostacja na Hibernii zamilkła, Japończycy na Wyspach Sundajskich powzięliby natychmiast jakieś podejrzenia i wysłali odpowiednie ekipy, by sprawdzić co zaszło.

— Nigdy nie przypuszczałem, że będę pracował dla wroga jako meteorolog — skarżył się później Brent Harremu przygotowując sumiennie trzy razy dziennie meldunki o stanie pogody dla Japończyków.

— Życie to zaczarowana koperta, szefie — odparł stary wyga. — Nigdy człowiek nie wie, co zawiera, póki jej nie otworzy!...

IX

POŻAR NA LAGUNIE

Pułkownik Brent nie brał pod uwagę możliwości przymusowego lądowania jakiegoś japońskiego samolotu na wyspie, ponieważ nie było tu wcale lądowiska. Najwyżej tylko hydroplan mógł wodować na lagunie, tych aparatów jednak w czasie wojny używano stosunkowo rzadko, gdyż nie posiadały odpowiedniej szybkości lotu. Mimo to jednak wszystko na strażnicy pozostało w dawnej postaci: nad brzegiem laguny, na wysokim maszcie wciąż jeszcze powiewała biała flaga z czerwoną tarczą wschodzącego słońca, chociaż wielu zadzierzystych chłopców z komanda oburzało to ogromnie. Brent ostrożność swą posunął nawet tak daleko, że część swoich ludzi przebrał w białe japońskie mundury.

— Z daleka i tak nikt nie sprawdzi, że nie macie skośnych oczu i twarzy koloru szafranu, a z bliska już możecie to wyjaśnić każdemu na własną ręką — pokpiwał Harry z nieszczęśników.

Jak dawniej, przed budynkiem posterunku regularnie przechadzał się wartownik w białym mundurze z karabinem na ramieniu. Przypadkowy obserwator nie miałby wątpliwości, że wyspa w dalszym ciągu jest w rękach japońskich — oczywiście o ile nie podszedłby bliżej. Bardzo szybko jednak okazało się że Brent słusznie zastosował pewne ostrożności.

Pułkownik z żalem musiał zrezygnować z projektu zbudowania tratwy i odesłania załogi „Sheldona” wraz z japońskimi jeńcami na Wyspę Wschodnią. Mianowicie z raportów japońskich okazało się, że na dwa dni przed przybyciem „Sajwanu” na Hibernię ściągnięto załogę australijską z Wyspy Wschodniej. Wiadomość ta znalazła się w szyfrowanym meldunku samolotu japońskiego, który bezskutecznie atakował kontrtorpedowiec, odwożący nieliczną australijską załogę. Meldunek ten przychwycili Japończycy na Hibernii i z całą sumiennością zanotowali w dzienniku służbowym.

Brent martwił się nie na żarty: co teraz począć? Nie mógł przecież dla tych rozbitków robić przerwy w wyprawie — nie mniejszy też kłopot stanowili jeńcy japońscy. Nie przyszło mu na myśl kazać ich po prostu zastrzelić, chociaż żołnierze japońscy z całym spokojem strzelali do amerykańskich lotników wojskowych wziętych do niewoli. Zostawić ich na wyspie? To znaczy sprowokować w najbliższym czasie nagonkę Japończyków

ze wszystkich Wysp Sundajskich i przekreślić zaraz na początku całą imprezę, której cel znał dotychczas tylko on jeden.

— Szefie, na co my tu właściwie czekamy? — spytał go kiedyś odważnie Harry, gdy tydzień bezczynnego przesiadywania na Hibernii dobiegał końca.

Brent zawahał się chwilę.

— Na wiatr.

— Na wiatr? — powtórzył zdumiony Harry. — Przecież od chwili naszego przybycia ani na chwilę nie przestaje dmuchać!

— To wszystko mało! Potrzebny mi porządny, solidny wicher, taki mały huragan, żeby nas w ciągu paru godzin zaniósł na morze Sawu, a potem jeszcze dalej na północ.

— Na morze Sawu — Harry aż gwizdnął ze zdziwienia. — Prosto w paszczę wroga! A to ci nowina!...

— Lepiej nie rozmawiać o tym z załogą — rzucił dosyć szorstko Brent, zły na siebie, że dał się sprowokować i powiedział trochę za wiele.

— Pewnie, że lepiej... — zgodził się spokojnie Harry nabijając z powagą fajkę. — Tylko że to nie pierwsza nasza wspólna robota, pułkowniku. Przypuszczałem, że zna mnie pan już dobrze... — dodał bez cienia wymówki.

Brent milczał chwilę potem w przystępie szczerości zaczął się zwierzać Harremu z kłopotów zarówno z Amerykanami, jak i z jeńcami japońskimi.

— Nie pozostaje nic innego, jak odesłać ich tratwą do Australii — radził Harry Drone. — Mamy przecież w Zatoce Brunszwickiej jedną bazę, a odległość stąd wynosi dwieście pięćdziesiąt mil, może nawet mniej. Zapasów także jest dosyć. W drodze mogą Japończycy zabawić się trochę w galerników, przyspieszyć tempo tratwy wiosłami. Przynajmniej z nudów nie będą robić Fayowi trudności.

— Dwieście pięćdziesiąt mil tratwą... Musieliby chyba płynąć cały tydzień, może nawet i dłużej — opierał się Brent.

— Jeździli ludzie tratwami już dłużej niż tydzień i bez wszelkich komfortów... Pan jako marynarz wie o tym lepiej niż ja.

— Owszem — zgodził się Brent. — Ale ludzie ci nie mieli dokoła i nad głową wrogów, jak w danym wypadku.

— Niewiele lepiej byłoby im na Wyspie Wschodniej, pułkowniku — argumentował Harry. — Tam przecież była tylko nieliczna załoga, którą Japończycy mogli zabrać w każdej chwili, jak pisklęta z gniazda.

Po tej rozmowie Brent uzgodnił jeszcze sprawę z Fayem, który zgodził się na projekt Harrego bez wahania.

— Cieszę się, że przestanę wreszcie być panu przeszkodą w wykonaniu zadania... Zresztą tu też nie jest zbyt bezpiecznie... Gdy Japończykom strzeli coś do głowy, mogą nam w każdej chwili złożyć wizytę — odpowiedział Fay.

Z małej, więziennej klatki, w której dotychczas siedzieli bezczynnie wyprowadzono Japończyków i dano im siekiery. Zaczęli pod strażą ścinać palmy na tratwę, nie kwapili się jednak zbytnio do pracy. Ale amerykańscy marynarze umieli ich zmusić do większej wydajności. Cała ta robota jednak nie trwała długo. Tegoż dnia wieczorem stojący na dachu wartownik, który z rozkazu Brenta stale obserwował niebo, zauważył na krańcach horyzontu dwa ciemne, szybko zbliżające się punkty. Okazało się, że zmiernają wprost na wyspę. W chwilę później przy pomocy lornety ustalono, że są to dwa hydroplany japońskie. Wreszcie zatoczyły koło nad wyspą.

Radiotelegrafista z „Sajwanu” odebrał od nich meldunek, który dobry znawca języka japońskiego, Leslie Brown, natychmiast przełożył i nadał odpowiedź. Lotnicy meldowali że odbywają lot wywiadowczy i muszą uzupełnić zapas benzyny; prosili o podanie kierunku oraz siły wiatru nad laguną.

Brent świetnie opanował sytuację. Pięciu członków załogi stale nosiło mundury japońskie, sam przebrał się szybko, prócz tego jeszcze dwóm ludziom odpowiedniego wzrostu kazał je włożyć jak najprędzej. Jednym z nich był Dick Stanton; ucieszył się niesłychanie, że będzie mógł wziąć udział w nowej przygodzie. Gdy zęgnął Harrego wesołym „ahoj”, tamten zawołał z zalem:

— Niestety, trochę za długi byłby ze mnie Japończyk.

Ukryty za werandą, przyglądał się, obie maszyny opadały szeroką spiralą na zachodniej stronie laguny, by wodować pod wiatr.

Brent i jego ludzie nie tracili czasu: połowa wsiadła do lekkiej jolki, która stanowiła własność załogi japońskiej, druga połowa wskoczyła do małej łódki z „Sajwanu”. Atak na hydroplany musi być wykonany równocześnie, tak by żaden z nich nie mógł się bronić. Pułkownik dobrze obliczył miejsce wodowania lotników japońskich. Dla siebie wybrał dalszą maszynę; druga połowa ludzi pod dowództwem Connora, któremu niełatwo było ukryć pod hełmem tropikalnym rudą czuprynę, zaatakowała bliższą.

Connor bez trudu zwałił lotnika, który wyszedłszy z kabiny na skrzydło ze zdumieniem patrzył na wynurzającą się nagle przed nim z mroku twarz Europejczyka. Z pistoletami w obu rękach Irlandczyk wcisnął się przez małe drzwiczki do kabiny pilota gdzie zastał resztę załogi: nawigatora, telegrafistę i strzelca. Zeszli się tu wszyscy w momencie wodowania — na widok dwu pistoletów bez protestu podnieśli ręce w górę. Ściągnięto ich do jolki, w której leżał zemdlony pilot i szybko odwieziono na brzeg, gdzie Harry i jego koledzy zaopiekowali się nimi. Jolka natomiast zawróciła na pomoc Brentowi, gdyż tam sukces nie był tak błyskawiczny jak u Connora. By dotrzeć do hydroplanu, musieli przepłynąć znacznie dalszą trasę, a stojący na skrzydle pilot zdołał przez ten czas przyjrzeć się załodze łódki. Krzykiem ostrzegłszy swoich cofnął się, nie zdążył jednak uskoczyć przed kulą Brenta. Machając rękami starał się utrzymać równowagę na wypukłej płaszczyźnie skrzydła, po chwili jednak zsunął się do wody. Brent nie miał czasu nim się zająć: szybko wraz z ludźmi skoczył na skrzydło — tu jednak w niskim wejściu natknął się na uzbrojonego oficera nawigacyjnego. Oba pistolety wypaliły równocześnie.

Kula Japończyka gwizdnęła pułkownikowi koło ucha ogłuszając go na chwilę, on sam natomiast mierzył lepiej — Japończyk runął tarasując sobą wejście. Zanim pułkownik przy pomocy Dicka zdołał go odciągnąć, reszta załogi — radiotelegrafista i strzelec — zdążyli umknąć do wieży w środku maszyny.

— Hej, Connor, szybko tam! Przywiązać jolkę do drugiej maszyny i odciągnąć poza zasięg ognia! — komenderował Brent.

Connorowi nie trzeba było powtarzać rozkazu. Zachęceni jego przykładem ludzie uwijali się szybko. Nim Japończycy wpadli na pomysł, by skierować działko na drugi samolot, ten już stał bezpiecznie przed ich własną maszyną. Tam nie mogli go osiągnąć — wieża obraca się tylko w półkolu, obejmując zasięgiem ognia jedynie tył i boki kadłuba. Irlandczyk nie zadowolił się tym: wyprowadził hydroplan poza cypel skalny z gajem mimozowym; tam maszyna była już zupełnie bezpieczna.

Brent zająwszy wraz z jednym z ludzi kabinę pilota, znalazł się w stosunkowo korzystnej sytuacji, ponieważ działko nie mogło strzelać w przód. Wysłał dwóch ludzi łódką na „Sajwan” po granaty ręczne. Niecierpliwiał się; gdy łódka odpłynęła, przyszło mu na myśl, że japońscy fanatycy mogą zacząć ostrzeliwać radiostację, nie licząc się z tym, że są tam ich rodacy-jeńcy. Cóż za szczęście, że „Sajwan” stoi na kotwicy w zatoczce za laskiem palmowym, poza zasięgiem strzałów!

W minutę później sprawdziły się jego obawy... W mroku z szumem i gwizdem przeleciał nad laguną niewielki granat i trafił w słup podtrzymujący daszek werandy. Pułkownik właśnie obserwował radiostację, gdy naraz... kadłub maszyny zaczął dygotać rytmicznie

od zapuszczonego silnika. Odwrócił się gwałtownie i schwycił z pasją siedzącego przy sterach Dicka Stantona za ramię.

— Oszaleliście?! — krzyknął.

Dick zwrócił się ku niemu z wesołym uśmiechem.

— Wywieziemy ich trochę dalej z laguny, niech tam sobie strzelają, ile chcą! — odkrzyknął w odpowiedzi przez ramię.

Brent puścił go. Oczywiście, to przecież jedyny sposób, jedyne wyjście z sytuacji! Zły był na siebie, że nie przyszło mu to na myśl — uprzedził go taki osiemnastoletni wyrostek! Całą uwagę skupił teraz na wieży, czuwając z bronią w ręku: zdecydowani na wszystko Japończycy mogli podjąć atak na kabinę pilota, by przeszkodzić odjazdowi maszyny. Z niepokojem myślał także, że ci z wieży mogą w każdej chwili zasypać ich ogniem z broni ręcznej, przed którym nic ich nie osłoni. A Dick najspokojniej siedział sobie tyłem do wieży, skąd w każdej chwili mogli paść strzały...

Widocznie Japończycy w pierwszej chwili nie pomyśleli o tej możliwości. Ostrzeliwali w dalszym ciągu radiostację. Ale hydroplan już ślizgał się po lagunie, wszystkie granaty padały daleko od celu.

W chwilę później maszyna znalazła się poza cyplem skalnym. A tam Connor pośpiesznie odsuwał drugi samolot w bezpieczniejsze miejsce.

Japończycy zorientowali się, że brak im już celu, że im niewiele już pozostaje czasu, zmienili plan. Kula z ciężkiego pistoletu przeleciała tuż nad głową pochylonego nad sterami Dicka, rozbijając ramię przedniej szyby.

— Na ziemię! — krzyknął Brent.

Leżąc na podłodze nie czekał, aż Dick wykona rozkaz, szarpnął go ku sobie. Drugi strzał rozbił drążek steru. Skoczyli obaj pod ścianę, poza linię strzału. Z bronią w ręku czekali, czy napastnicy nie ukażą się w drzwiach z korytarza do kabiny. Tamci nie przerywali jednak bezmyślnej strzelaniny, niszcząc aparaty pokładowe jeden po drugim. W krótkich chwilach przerwy Brent krzyczał na nich, by się poddali, ale bezskutecznie. Jednostronna strzelanina trwała dobrych parę minut. Naraz rozległ się ogłuszający huk, maszyna zakołysała się mocno. Równocześnie słup ognia trysnął z tylnej części samolotu — płomienie objęły całą maszynę. Brent wypchnąwszy przed sobą Dicka, na wpeł odurzony wyczołgał się za nim. Stoczył się po śliskim skrzydle do wody i dał nurka — by wydostać się z kręgu nieznośnego żaru, przepłynął spory kawałek pod powierzchnią wody. Jak się później okazało, postąpił bardzo słusznie: zanim jeszcze wynurzył się z wody, ogień dosięgnął składu amunicji i w maszynie nastąpił wybuch. Płonące odłamki szerokim łukiem leciały nad laguną, padały do wody i sycząc gasły. Tam jednakże, gdzie padły na ziemię, wzniecały natychmiast pożar. Gdy Brent wytknął głowę z wody, nad laguną rozpościerała się już krwawa łuna.

— Pułkowniku szybko tutaj! Trzeba nam się pospieszyć! Stanton już jest! — wołał Harry kierując wraz z dwoma wiosłarzami łódkę ku niemu.

Przechylił łódkę na bok, by ją zrównoważyć. Pułkownik przy pomocy zdyszanego Dicka przełaził przez burłę. Rozejrzawszy się dokoła spostrzegł, co się dzieje, i dał rozkaz, by jak najszybciej wiosłowali do brzegu.

— Nie pyta pan nawet, kto pana uwolnił od tych dwóch szaleńców? — odezwał się Harry wiosłując z całych sił na zanurzonej aż po burty łódce.

— Nie pytam, bo prawdę powiedziawszy nie jestem mu za to specjalnie wdzięczny. Spójrzcie, to przecież klęska! — odparł smętnie Brent.

Istotnie, klęska była wyraźna. Connor wraz z ludźmi starali się ugasić palące się skrzydło drugiej maszyny. W braku innych naczyń przy czerpaniu wody posługiwali się hełmami tropikalnymi, na szczęście mieściło się jej tam sporo. W tej sytuacji samolot nie budził już obaw, natomiast w gaju mimozowym wysuszone na wiór drzewka i zarośla paliły się jasnym

plomieniem, który bił wysoko w ciemniejące niebo. Pożar mógł w krótkim czasie po wysuszonym trawniku przenieść się na laszek palmowy i kryjący się pod nimi budynek.

— Ot, jaka to wdzięczność za ludzką gorliwość! — roześmiał się Harry. — Zgodnie z rozkazem przywiozłem granaty ręczne, a jeden z nich cisnąłem od razu w tę ich wieżę. Jak na pierwszy rzut to wcale dobrze, prawda?

— Aż za dobrze! — westchnął Brent.

Podpływali już do brzegu. Brent z radością stwierdził, że rezolutny Fay nie marnował czasu na czekanie. Wsiadłszy z łódki zastali go wraz z wszystkimi ludźmi — licząc w tym i Japończyków — przy intensywnej pracy. W odległości trzystu stóp od budynku szerokim kręgiem wrywali trawę — porządny kawał pracy mieli już za sobą. Przyłączył się do nich pułkownik wraz z załogą łódki, po chwili przybył także Connor ze swoją grupą i czterema jeńcami, którzy na szczęście nie sprawiali mu wcale kłopotu. Irlandczyk zameldował że ugasił pożar w samolocie, który niewiele był uszkodzony; odprowadził maszynę znaczny kawałek od pożaru, by nie zajęła się znowu od jakiejś przeniesionej przez wiatr iskry.

W blasku ognia gorączkowo postępowała praca. Zanim jeszcze płomienie sięgnęły pierwszych drzew, zdołali otoczyć budynek wraz z palmowym laskiem ogromnym łukiem nagiej ziemi; trawa wyrwana była na szerokość przynajmniej stu stóp.

— Jeśli wiatr się nie zmieni, sytuacja jest opanowana! — stwierdził Harry dysząc głośno ze zmęczenia.

Wiatr wiał w stronę laguny — padające poza pas ochronny pojedyncze iskry zadeptywano natychmiast. Zagajnik dopalał się powoli. Grubsze gałęzie czas jakiś jeszcze żarzyły się czerwienią, potem przeżarte ogniem rozsypywały się w popiół. Były to już ostatnie przebłyśki potęgi niszczycielskiego żywiołu.

Ponieważ zegarek Dicka stanął w chwili, gdy dostała się do niego woda przy pływaniu, chłopak spojrzął na rękę Harrego i stwierdził ze zdumieniem że od momentu przylotu maszyn japońskich do chwili zakończenia pracy na trawniku upłynęła niecała godzina.

A tymczasem on miał wrażenie, że wszystko to trwało znacznie dłużej, że to już bardzo dawno, gdy Japończycy strzelali do nich ze swej wieży.

— Za to czas kolacji wyda ci się zbyt krótki — zaśmiał się Harry, gdy Dick zwierzał mu się ze swych wrażeń. — Głodny jestem jak stado wilków. Nie obejrzysz się nawet, kiedy połknę swoją porcję!

Kolacja była taka sama jak zawsze: baranina z puszek i parę łyków soku pomidorowego, jednakże po znacznym wysiłku fizycznym smakowała Dickowi, jak jeszcze nigdy. Siedzieli wszyscy na dworze wokół ogniska, rozpalonego na piaszczystym brzegu dla ochrony przed komarami, rozprawiając szeroko o wypadkach dnia dzisiejszego. Jeńcy siedzieli spory kawał dalej, by nie mogli słyszeć rozmowy — ilość ich urosła do szesnastu. Przy kolacji pilnowało ich trzech uzbrojonych wartowników.

— Więc problem jest rozwiązany, poruczniku — zagadnął Brent Faya po kolacji. — Przypuszczam, że pan sam lub któryś z pańskich ludzi potrafi poprowadzić samolot?

Dick struchlał z przerażenia: umiał prowadzić samolot i Brent o tym wiedział. Jeśli teraz Fay odpowie przecząco, to gotów go odkomenderować do pilotowania japońskiej maszyny. Na szczęście jednak Fay rozproszył jego obawy.

— Sam prowadzę samolot, a mój pierwszy torpedysta także zna się na tym, panie pułkowniku. Nie wiem tylko, czy będę umiał zorientować się w tych japońskich aparatach pokładowych?

— Tym niech się pan nie kłopotuje — uspokajał go Brent. — Zasadniczo Japończycy stosują na zegarach angielskie znaki, a jeśli jest inaczej, to Brown natychmiast je wam przetłumaczy i zanotuje. Tylko czy maszyna nadaje się do lotu? — zwrócił się do Connora.

Irlandczyk zapewniał, że aparat jest zupełnie w porządku: nieznacznie uszkodzone przez pożar skrzydło łatwo da się naprawić przy pomocy kawałka solidnej tektury.

— A co pan zrobi z jeńcami? — półgłosem zapytał Harry. — Ta kwestia jest wciąż jeszcze otwarta.

— Po prostu zostawimy ich tutaj wraz z zapasami żywności, zniszczymy tylko radiostację, wszelką broń i jolkę. Niewielka stosunkowo różnica gdybyśmy ich zabrali ze sobą. Gdy radiostacja zamilknie, tak czy tak Japończycy na pewno tu kogoś przyślą. Tyle tylko, że gdybyśmy jeńców stąd usunęli, nie mogliby udzielić o nas informacji.

— Ale dla nas to może mieć wielkie znaczenie — przerwał mu Harry.

— Owszem, może — zgodził się Brent — tylko że my ich z sobą nie możemy zabrać, a ze względu na to znaczenie nie mogą przecież zastrzelić szesnastu ludzi, prawda? My sobie inaczej poradzimy.

Harry już miał zapytać, co pułkownik przez to rozumie, ale zacisnął zęby i milczał. Znając dowódcę komanda już od dłuższego czasu wiedział, że ten człowiek ogromnie nie lubi wszelkich pytań.

W chwilę później układali się do snu. Dickowi wypadła wachta w pierwszej kolejności. Wokoło panowała cisza tropikalnej nocy, przerywana tylko graniem cykad. Nad laguną wisiał srebrny sierp księżyca. Młody Australijczyk przerwał na chwilę monotonną wędrówkę i zapatrzył się w lśniący księżyc. Tam na tym odwiecznym satelicie ziemi — rozmyślał — panuje idealna cisza i spokój, a tu miliony ludzi prowadzą morderczą wojnę. Człowiek stara się zniszczyć człowieka, mało tego, pragnie zniszczyć wszystko, co ten drugi człowiek stworzył, co stworzyli inni ludzie przed nim. Jakież to nonsens, że ludzie nie umieją się porozumieć, że rozwiązać wszystkie kwestie sporne może tylko śmierć!...

Ale młody umysł nie mógł długo zajmować się filozoficznymi dociekaniem: zbyt mocno interesowały go inne sprawy. Wszystkie inne problemy odsuwał na dalszy plan tajemniczy cel wyprawy. Co miało oznaczać to lądowanie na rafach koralowych? Czyżby tylko załatwienie sprawy tych Amerykanów? Ale Brent jeszcze na barce powiedział do Faya, że i tak mieli zatrzymać się na Hibernii. Nie wchodziła także w grę kwestia zniszczenia podrzędnej japońskiej stacji meteorologicznej, którą zresztą Japończycy bardzo łatwo mogli ustawić powtórnie!

Pytania te długo jeszcze nie schodziły mu z myśli nawet wówczas, gdy po zmianie leżał na wąskiej pryczy obok oddychającego spokojnie we śnie Freda Harpera.

X

NA WODACH NIEPRZYJACIELA

Istotnie samolot japoński nieznacznie tylko był uszkodzony przez pożar. W ciągu dwóch godzin marynarze z „Sheldonu” bez śladu usunęli uszkodzenie przy pomocy kawałka papy smołowej i lekkiej, drewnianej listwy. Maszyna mogła zabrać resztę załogi okrętu podwodnego, która po fatalnym ataku na radiostację zmalała do sześciu ludzi. Paliwa nie potrzebowali zbyt wiele, mieli przed sobą najwyżej dwie godziny lotu.

Następnego dnia po wizycie samolotów japońskich Fay koło południa przygotowywał się do odlotu. Aparaty meteorologiczne zapowiadały zmianę pogody. Japończycy z wyspy Timor już zainteresowali się losem obu zaginionych maszyn — gdy Leslie Brown nadawał rano normalny komunikat meteorologiczny przez radio, otrzymał z Timoru zapytanie czy załoga strażnicy nie zauważyła dwóch hydroplanów wywiadowczych.

Brown natychmiast przekazał odpowiedź, że hydroplanów nigdzie nie widziano, ale że zaczną ich wypatrywać... To jednak załatwiło sprawę tylko na krótki czas. Japończycy na pewno wyślą patrol na poszukiwanie samolotów, a ten zechce wylądować na wyspie. Nie bardzo można było liczyć na to, że komando Brenta da sobie z nim radę tak łatwo, jak z pierwszymi dwiema maszynami.

Pożegnanie było krótkie, lecz serdeczne. Fay wraz z ludźmi wchodził już do samolotu, gdy naraz zatrzymał go okrzyk Harrego:

— Stop! Tak przecież startować nie możecie!

— Dlaczego? — odwrócił się zdziwiony oficer. — Motor w porządku, sam go sprawdzałem, gdy naprawialiście skrzydło!

— A znaki? — roześmiał się Harry. — Daleko chcecie z nimi dolecieć? W Zatoce Brunszwickiej nasi chłopcy rozniosą was w strzępy! Będą przekonani, że to Japończycy!

Pędzel i farba szybko usunęły ostatnią przeszkodę: po chwili znak japoński zniknął pod brytyjskimi kołami.

— Trochę to kostropate, ale z daleka nikt nie zauważy — pocieszał się Harry, oglądając własne dzieło.

Teraz mogli już startować spokojnie. Ostatnie pozdrowienia — motor warknął, potem zahuczał potężnie. Maszyna ześliznęła się po zwierciadle wody, w wirażu niemal dotknęła lewym skrzydłem wierzchołka palmy na brzegu, ostrą spiralą śmignęła kilka tysięcy stóp w górę i skierowała się prosto na wschód.

— Szczęśliwej drogi! — wołał za nimi Harry.

— Czas już był na nich! — zauważył Dick Stanton wskazując na zachód, gdzie na krańcach horyzontu pojawiła się nieznaczna, szara smuga.

Przechodzący obok Brent usłyszał te słowa i przystanął.

— Dlaczego? — spytał krótko.

— Burza idzie, panie pułkowniku. Dobrze będzie musiał się spieszyć podporucznik Fay, by dolecieć na czas.

— Z tego tam, z takiego głupstwa? — powątpiewał Harry.

Młody Australijczyk z uśmiechem ruszył ramionami.

— Nie później jak za dwie godziny sami się przekonacie.

— Słuchajcie, Stanton, wy tu się w tych sprawach orientujecie. Między innymi to było przyczyną, że nasz wybór padł właśnie na was — ciągnął pułkownik. — Jaki przebieg miewają tu burze i jaka po nich bywa pogoda?

— Różnie bywa, pułkowniku. Ale najczęściej burza przelatuje dość szybko. Oczywiście, o ile to nie jest cyklon, wracający zawsze w to samo miejsce, z którego wyszedł. Tak samo jak tajfun u wybrzeży chińskich. Zazwyczaj po burzy wiatr zmienia kierunek, najczęściej na północny. Przeważnie już na początku burzy przeskakuje niemal o pół koła, ale potem znów zawraca... To trudno obliczyć dokładnie.

— Mnie mówiono, że zasadniczo nadchodzi od południa — odparł Brent a gdy Dick informację tę potwierdził, uśmiechnął się lekko. — Więc powiadacie, Stanton że burza dotrze tu do nas za jakieś dwie godziny?... No, to niewiele już mamy czasu.

Gwizdkiem zwołał całą załogę — prócz dwóch wartowników nadzorujących japońskich jeńców, których przed odlotem hydroplanu zaprowadzono znowu do ciasnego więzienia. Szybko posypały się rozkazy. Trzeba zniszczyć radiostację tak, by śladu z niej nie pozostało, zlikwidować wszelkie zapasy — prócz żywności, którą Brent postanowił zostawić Japończykom.

Dwóch ludzi zabrało się do radiostacji, sześciu innych zaczęło toczyć potężne beczki z benzyną nad strome urwisko po drugiej stronie laguny, gdzie już fale otwartego morza rozbijały się o koralowe rafy. Tu odbijali dna — szerokim strumieniem tęczy barw benzyna spływała w wody oceanu.

— Wszystkie ryby wytrujemy na przestrzeni dziesięciu mil — mruczał Harry.

— Nic podobnego — zaśmiał się Dick. — Benzyna zostanie na wierzchu, a ryby schowają się w głębi, gdzie woda jest zupełnie czysta. To spryciary!

Po benzynie przyszła kolej na oliwę i smary. Tych było mniej — po chwili już spływały ostatnie krople. Cienka, tłusta pokrywa legła na falach, które od razu uspokoiły się zupełnie. Broni i amunicji ludzie Brenta nie nosili tak daleko — rzucali je wprost w lagunę, w miejscu tak głębokim, gdzie nie dotarłby nawet nurek.

Harry i Dick nie mieli czasu przyglądać się niszczeniu zasobów, Brent wyznaczył im inną robotę. Zadaniem ich było jak najbardziej zmienić przy pomocy lakieru zewnętrzny wygląd „Sajwanu”. Harry zmobilizował wszystkie swe artystyczne pomysły, a Dick z podziwem obserwował jego zapał przy pracy, której rezultaty istotnie były niezwykle. Kto nie pamiętał dobrze dotychczasowego wyglądu barki, na pewno by jej teraz nie poznał: Harry wzbogacił i pomnożył po malarsku wszelkie zadry i uszkodzenia, jakie ząb czasu wyrzył na barce. Trudno wprost uwierzyć, ile potrafią dokazać dobrze ulokowane pociągnięcia pędzla i odrobina farby. Zaraz w pierwszej chwili oczywiście zniknęła nazwa „Sajwan” — po krótkiej naradzie z Brentem Harry zastąpił ją skromną „Alas”. Wymalował ją tak starannie, że nie podobna było mieć wątpliwości: barka nosiła tę nazwę już od dawna, słone fale morskie zmywały ją od lat.

— Służba w dywersji to nie tylko wysadzanie mostów w powietrze i branie do niewoli nieprzyjacielskich generałów — tłumaczył Harry w odpowiedzi na szczere wyrazy podziwu Dicka dla jego malarskich umiejętności. — Musi człowiek wszystko umieć, kolego. Pytasz, co to Alas? Nędzny port w portugalskiej części wyspy Timor. Nasz port macierzysty, zapamiętaj to sobie. Wiadomo, że Japończycy zagarnęli i portugalską połowę Timoru. Ale ponieważ Portugalczycy są neutralni, więc te żółte diabły zachowują się w stosunku do nich nieco poprawnie niż w stosunku do Holendrów z wysp.

— Warto by szefie, i oporządzenie barki trochę zmienić — odezwał się Dick do Brenta, gdy pułkownik przyszedł obejrzeć ich robotę.

— Warto by — zgodził się — ale brak już na to czasu. Zresztą: o to już się postara kto inny — dodał zagadkowo.

Obejrawszy dokładnie naturalny port, w którym kotwiczyła barka, kazał ją jeszcze umocnić drugą kotwicą, chociaż wysoki brzeg i część palmowego lasu dostatecznie chroniły ją przed nadciągającą burzą.

Gdy skończyli umocowywać solidnie plandeki, okrywające skrzynie z zapasami i wszelkim innym wyposażeniem, czas już było schronić się do budynku. Niebo tak pociemniało, że pod koniec roboty niewiele już widzieli, pod ostrymi uderzeniami wichury śmigłe palmy gięły się prawie do ziemi. Smagane wiatrem wody laguny wzdymały się, tworzyły wysokie, krótkie fale, podbiegały aż pod stopnie tarasu. Zanim Harry, Dick i pułkownik zdążyli przebiec dzielącą ich od budynku odległość, rześista, tropikalna ulewa przemoczyła ich do nitki. Deszcz był nieprzyjemnie ciepły, nie przyniósł ani trochę ulgi.

— Człowiek odnosi wrażenie, że wylazł z gorącej kąpieli — urągał Harry wyzymając w kącie werandy lekkie, płócienne ubranie. Do izby wchodził ostatni — musiał stoczyć walkę z orkanem chcąc za sobą zamknąć drzwi.

— Chłopcy, gdy tylko cyklon przycichnie, ruszamy — rzucił Brent, gdy zasiedli wszyscy wokół długiego, wąskiego stołu.

Odpowiedział mu radosny gwar. Dostyc już wszyscy mieli tej wyspy, marzyli o zmianie miejsca. Rejs podczas burzy nie wzruszył ich wcale. Byli to w większości młodzi chłopcy, dla których nie istniało pojęcie „niebezpieczeństwo”. Starsi natomiast z zespołu od dawna znali już Brenta i mieli do niego bezgraniczne zaufanie. Skoro ten człowiek — o którego odwadze i szczęściu opowiadano przy ogniskach i w koszarach całe legendy — uznał, że podczas takiej pogody można wypłynąć, to nie było sensu w ogóle zastanawiać się nad tym.

Brent kazał przygotować porządną kolację. Po chwili już buchała para z pełnych mocnej herbaty menażek. Oddział Brenta z zapalem zabierał się do japońskich konserw. Okazało się, że solidne zapasy załogi radiostacji pochodziły wyłącznie ze zdobyczy wojennej. Puszki z świetnym corned beefem¹⁰, sucharami, sokiem pomidorowym i pomarańczowym miały stemple prowiantury w Singapurze, portugalskie sardynki pochodziły z wyspy Timor, holenderskie konserwy z ryżem i herbatą — z Jawy.

— Wszystko to murowanie nie zatrute, zabierajmy się do roboty, młody kolego! Kto wie, kiedy znowu czeka nas taka uczta! — zachęcał Harry Dicka Stantona.

Chłopcu nie trzeba było zachęty, pałaszował wszystko z wielkim apetytem.

Gdy łoskot burzy nieznacznie się zmniejszył, Brent wyszedł z Jamesem Whitem, wytrawnym marynarzem, na taras.

— Myśli pan, że uda nam się już wyprowadzić barcę z laguny? — pytał stojąc pod daszkiem, który zupełnie nie dawał osłony przed ulewą.

White rozglądał się bacznie po lagunie: fala szła jeszcze wysoko, smagające ją strumienie deszczu tworzyły zwartą zasłonę wodną między niebem i morzem, horyzont zaciemniały ciężkie, czarne chmury.

— Przez ten przesmyk, którym dotarliśmy tutaj, oczywiście nie, pułkownik, ale może się to udać z drugiej strony, gdzie jest znacznie szerzej. Najgorzej będzie ruszyć barcę z miejsca zakotwiczenia.

— Zrobi się — zakończył krótko Brent.

Gdy na rozkaz cała załoga otoczyła go zwartą grupą, półgłosem zaczął wydawać rozkazy:

— Wychodźcie cicho jeden po drugim, żeby Japończycy nie zauważyli, iż nas tu nie ma.

Wprawdzie jeńcy byli powiązani, ale pozbawieni dozoru łatwo pozbędą się pęt. Potrwa to jednakże chwilę, zanim zorientują się, że nie ma już na wyspie nikogo, kto mógłby im w tej czynności przeszkodzić. A tymczasem „Sajwan” — obecnie już „Alas” — na dobre zniknie im z oczu.

Wprawdzie Dick na równi z kolegami absolutnie ufał pułkownikowi, jednakże strach go ogarnął, gdy wyszedłszy rozejrzał się wokoło. Wicher zaciął jeszcze ostro, niełatwo było utrzymać się na nogach. Wiał wyraźnie od południa — palmy za budynkiem chyliły się pod jego uderzeniami tak nisko, że korony ich ślizgały się po płaskim dachu. Fala szła wysoko; na otwartym morzu nie byłoby to groźne, ale tu zdradzieckie rafy czyhały na każdy nieostrożny ruch łodzi. Pełen niepokoju wchodził Dick na barcę, która mimo dwóch kotwic tańczyła na fali.

Nie było czasu myśleć o niebezpieczeństwie. White wraz z dwoma jeszcze zawodowymi marynarzami podjął trudne zadanie wyprowadzenia barki na pełne morze. Wypłynięcie z małej zatoki w tych warunkach było zadaniem nadludzkim — a jednak się powiodło. Udało się również wyjście z laguny, chociaż walka z żywiołem trwała całą godzinę. Z dziesięć razy Dick miał uczucie, że już w następnej sekundzie barka rozleci się w kawałki. Ale zanim poprzez strzępy chmur zabłyśły pierwsze gwiazdy, rafy Hibernii dawno zniknęły w spienionych falach, a barka gnana silnym wiatrem płynęła wprost na północ z szaloną niemal szybkością co najmniej dwudziestu mil.

— Płyniemy na wody nieprzyjaciela! — wołał podniecony Dick do Harrego, który pod osłoną kurtki starał się zapalić fajkę.

— Prosto w paszczę rekina! — odpowiedział mu Harry śmiejąc się głośno.

XI

BURZLIWA NOC

Pod obu żaglami, gnana pełnym wiatrem barka pruła szybko wzburzone morze, nabierając wodą dziobem i obu burtami. Teraz dopiero Dick Stanton zrozumiał, dlaczego pułkownik Brent wylądował na pewien czas na bezludnych koralowych rafach Hibernii. Było to jedyne miejsce, leżące w pobliżu wód nieprzyjacielskich, gdzie mógł spokojnie poczekać na zmianę pogody. W okresie zrównania dnia z nocą w tych okolicach zmiany takie występują dosyć często — pułkownik liczył, że zerwie się przychylny, dostatecznie silny wiatr, który umożliwi mu przepłynięcie w ciągu jednej nocy najbardziej strzeżonego odcinka morza. Chłopak nabrał także wielkiego szacunku dla prowadzącego barcę dzielnego marynarza, Jamesa White'a. Dopiero znacznie później dowiedział się, że to kapitan marynarki wojennej, dowódca

kontrtorpedowca z dziesięcioletnim stażem służby we flocie Oceanu Spokojnego, który wraz ze swą jednostką brał udział w akcji w Hongkongu i Singapurze.

W ciągu pierwszych godzin nocy burza przycichła nieco, ale wiatr jeszcze był ostry — salingi i wanty ani na chwilę nie przerwały jęklivej muzyki. Dick jakoś nie mógł pozbyć się niepokoju: przy takiej pogodzie za nic na świecie nie postawiłby na tym starym pudle obu żagli, tak jak to zrobił White, najprawdopodobniej na rozkaz Brenta.

Jednakże barka przez całe trzy godziny wytrzymywała to nadszpiewanie dobrze.

Dopiero tuż przed północą zaszedł wypadek, który cudem tylko nie stał się przyczyną katastrofy. Pod nagłym uderzeniem wiatru pękła lina podtrzymująca główny żagiel. Wielki żagiel w połowie zwałił się na pokład — „Alas” pędzona tylko fokiem nie mogła już uciekać przed falami: doganiały ją i raz po raz przewalały się przez rufę.

Skutkiem gwałtownego szarpnięcia łodzi Dick stracił równowagę, przelatując łukiem całą szerokość łodzi zwałił kogoś po drodze. Nie zdążył nawet po ciemku zauważyć kto to był, ale nie było czasu tym się zajmować. Namacawszy jakąś linę schwycił się jej kurczowo. W ciemnościach słychać było okrzyki przerażenia, ale ostry gwizdek White’a natychmiast przywrócił karność: marynarze skoczyli wypełniać rozkazy. Dick znalazł się tuż obok drabinki sznurowej — to właśnie jej linę trzymał w ręku — skoczył więc pierwszy w górę. Udało mu się schwycić zerwaną linę. Ale na drabince nie łatwo mu się było utrzymać: miotająca się nieustannie gruba belka rei starała się go strącić przy każdym przechyleniu zataczającej się barki.

Ktoś chciał przejść obok niego po wąskiej drabince do miejsca awarii, usunął się więc na bok, by dać mu drogę. Okazało się to jednak niemożliwe.

— Trzymajcie się mocno! — krzyknął mężczyzna używając jego ramienia zamiast szczebla drabinki.

Po głosie poznał White’a; wyteżył wszystkie siły, by utrzymać na ramieniu te sto pięćdziesiąt funtów żywej wagi. Gdy White zniknął w ciemnościach, Dick znowu podjął walkę z reją: końcem kurczowo trzymanej w rękach liny starał się przywiązać ją do drabinki. I to także się nie powiodło — reja była zbyt ciężka i nieuchwytna, a lina nieustannie ściągała go w dół, tak że z trudem utrzymywał równowagę. Nagle White zawołał coś z góry. Po chwili dopiero zorientował się, że musi wraz z liną dotrzeć do niego. Mimo wszelkich wysiłków ostra lina wymykała się z zaciśniętej pięści, kalecząc dłonie. Zdarta skóra sprawiała straszliwy ból; już miał zamiar pozbyć się tej zabójczej liny, gdy nagle przyszło mu na myśl założyć ją za pasek i mocno zawiązać — może się nie wymknie.

Udało się, pasek wytrzymał. Nareszcie miał wolne ręce. Nie zważając na ból schwycił się mocno szczebla i ruszył za Whitem, który tymczasem przygotował na maszcie odpowiednie umocnienia. Mimo iż ciężka reja całym swym ciężarem ściągała go w dół, chłopak zgięty wpół dotarł wreszcie do White’a. Wspólnymi siłami udało im się jakoś umocować reję.

Tymczasem marynarze na dole zrefowali odpowiednio żagiel. „Alas” aż po burty niemal pełna wody wyprostowała się z trudem pod zrefowanym, powtórnie ustawionym żaglem. Załoga pospiesznie wyczerpywała wodę z łodzi.

Dick pewien, że praca na górze trwała z godzinę, ogromnie się zdziwił, gdy Harry wyjaśnił mu, że od chwili awarii do powtórnego postawienia żagla upłynęło zaledwie dziesięć minut.

Wypadek z żaglem nie miał poważniejszych następstw: Dick pokaleczył ręce, paru ludzi z załogi za dzikie harce barki zapłaciło guzami i skaleczeniami, z których najpoważniejsze było złamane żebro Freda Harpera. Szczęściem nikt nie zatonął — morze porwało tylko jedną baryłkę wody i skrzynię sucharów.

— Świetnie wybrnęliśmy z tej historii! — cieszył się Harry.

— No, myślę! — potwierdził Dick. Jako marynarz wiedział znacznie lepiej od przyjaciela, jak blisko byli śmierci. — Miał szef rację mówiąc, że już ktoś się postara o zmianę oporządzenia barki. Nawet ten chyba, kto ją budował, nie poznałby jej dzisiaj!

Okazało się później, że w twierdzeniu tym było sporo przesady, na razie jednak nikt tego nie mógł przewidzieć.

Dick gwarząc z Harrym o przebytych niebezpieczeństwie opatrywał okaleczone dłonie. Równocześnie Brent rozpoczął przy sterze naradę z Whitem. Doświadczony marynarz twierdził, że dotarli już do czterdziestomilowej bramy wodnej, otwierającej między wyspami Roti i Sawu wyjście na morze Sawu. Pogoda była wyśmienita dla przeprowadzenia ich planów: wprawdzie wiatr zmniejszył się nieco, lecz mimo to barka pod zrefowanym żaglem płynęła z szybkością co najmniej dwunastu mil, jak na oko obliczał White. Na zasnutym chmurami niebie nie było księżyca, morze po niedawnej burzy falowało jeszcze mocno, kto więc nie musiał koniecznie wypływać, na pewno tkwił w porcie. Zdaniem White'a nie było powodu obawiać się japońskich okrętów strażniczych — zresztą jeszcze przed świtem barka będzie już daleko na morzu Sawu, którego brzegi tworzą wielkie wyspy Sumba, Flores i Timor.

— Jak pan sądzi, czy uda nam się jeszcze w ciągu nocy dotrzeć do cieśniny Sumba? — spytał Brent.

— Do cieśniny Sumba?... — w głosie White'a zabrzmiało nietajone zdumienie. — Tam pan chce płynąć? Ależ tam wszędzie roi się od Japończyków!

— Nie tylko chcę, ale i muszę! — odparł krótko Brent.

— Przed świtem wykluczone. To najmniej jeszcze sto mil drogi, a przy takim wietrze trzeba liczyć osiem do dziesięciu godzin. Będziemy tam około południa... o ile w ogóle dopłyniemy...

Brent wydobyl z nieprzemakalnej torby mapę i poprosił White'a, by mu poświecił. Chwilę studiowali ją obaj, potem zdecydowali trzymać się północnych brzegów wyspy Sumba, gdzie zgodnie z mapą, na przestrzeni przeszło stu mil — od przylądka Tapi aż po osadę Waingapu — była jedna tylko wioska Melolo. Wybrzeża, przeważnie gęsto pokryte lasem, tworzyły tu stromo opadające w morze urwiska. Zdawało się mało prawdopodobne, by Japończycy na tak niedostępnym terenie utrzymywali jakies większe posterunki.

Wstawał pochmurny, szary dzień — nad mocno jeszcze wzburzonym morzem snuła się lekka mgła. W odległości jakichś dziesięciu mil od barki, po lewej stronie, ukazał się brzeg. Był to niezaprzeczony dowód wielkiego kunsztu marynarskiego White'a — utrzymał wyznaczony kurs podczas burzliwej nocy tylko z pomocą kompasu. Teraz z uśmiechem zadowolenia przyjmował od Brenta wyrazy uznania. Twierdził, że barka znajduje się jakichś trzydzieści mil powyżej przylądka Tangi, niezbyt daleko od osady Melolo. Do czasu ominięcia tego małego portu należałoby raczej trzymać się z dala od brzegu. Wydał też sternikowi odpowiednie rozkazy.

Załoga „Alasu” jadła śniadanie. Ludzie musieli zadowolić się paru sucharami i kawałkiem zimnego mięsa z konserw, nikt jednak nie protestował — zadowoleni byli, że wymknęli się burzy i pokonali już spory kawał drogi do celu, który w dalszym ciągu był dla nich równie tajemniczy jak w chwili wyjazdu z portu Darwin.

— Ta pogoda dla nas jest wprost idealna! — tłumaczył Harry Dickowi gryząc z apetytem twardy suchar. — Dlaczego?... Bo to właśnie dla lotników fatalna pogoda, widoczność bardzo mała. Tutaj musimy liczyć się tylko z lotnikami. Statków w żadnym razie nie mają tyle, byśmy koniecznie na któryś z nich musieli się natknąć!

— Teraz oczywiście nie, ale przed wojną wszystkie statki kursujące na trasie Port Darwin-Singapur szły właśnie tędy — odparł Australijczyk.

— No, przed wojną... Wtedy wszystko wyglądało inaczej — uśmiechnął się Harry, wpatrując się w przesłonięty mgłą, zalesiony brzeg. Wiatr niósł ku nim od brzegów ciężką woń drzewa sandałowego, z którego ta wyspa słynie.

Wachtowi na niewygodnych siedzeniach okaleczonego masztu obserwowali brzeg przez lornety. W jakiś czas po rozmowie Harrego z Dickiem zameldowali port Melolo. Był to raczej nie port, a nędzna wioska rybacka. Nawet przez mocne soczewki lornety nie udało się dostrzec jakiegokolwiek jednostki floty japońskiej. Mimo to jednak White wielkim łukiem wyminął osadę; dopiero w godzinę później skierował łódź do brzegu. Już tylko mila dzieliła barkę od lądu, gdy wachtowy z masztu zameldował dym na horyzoncie od północy. Choć dym statku parowego był widoczny ze znacznie większej odległości niż skromny żagiel barki, White manewrując szybko pod wiatr postanowił schronić się co prędzej za płaski przylądek, wybiegający paręset stóp w morze.

Barka zawinęła do małego, naturalnego portu, którego strome brzegi porastały gęsty las drzew sandałowych, mimoz i mangrowców schodzących aż do linii przyływu. Przez czystą wodę doskonale było widoczne skaliste dno, „Alas” więc nie potrzebowała obawiać się, że zawadzi o dno. Brent zdecydował, że w zatoce tej zostaną aż do zmroku, ponieważ to idealna dla nich kryjówka; White kazał rzucić kotwicę tuż przy mocno odsłoniętym przez odpływ brzegu. Z dziobu barki śmiałym skokiem można było przedostać się na brzeg — gdy tylko Brent dał pozwolenie zejścia na ląd, chłopcy zaczęli skakać na wyścigi.

Świetny humor załogi psuł tylko zakaz prowadzenia głośnych rozmów. Drapali się więc po stromym zboczu, czepiając się pni i zwisających gałęzi, szeptem wymieniając uwagi i żarty. Wreszcie znaleźli się na obszernym występie skalnym; orkan wykarczał tu wśród gęstych drzew niewielką polanę, tworząc naturalny taras. Udało im się także zabić kamieniami wielkiego legwana, który zresztą nie próbował przed nimi uciekać. Harry Drone zapewniał, że mięso tej olbrzymiej jaszczurki upieczone na rożnie to przysmak, za który gotów oddać wszystkie pieczenie całego świata; Brent molestowany przez załogę pozwolił zapalić małe ognisko z suchych gałęzi — „takie, że z odległości pięciu stóp dym nie będzie widoczny” — jak z grubą przesadą zapewniał Harry. Musieli koniecznie sprawdzić informacje Harrego — i o dziwo! Harry wcale nie przesadził. Gdy potem obiad zapijali herbatą, nie brak im było już nic do szczęścia.

Dostali wolne do wieczora, z zakazem jednak wydalania się z obozu. W świetnych humorach pokładli się na płaszczach wśród wysokiej, gęstej trawy, skąd uprzednio — za radą mądrego Drona — pousuwali dokładnie wszystkie skorpiony, pająki i czerwone, na stopę długie stonogi. Rozprawiali wesoło o przebytych przygodach snuli najrozmaitsze przypuszczenia co do najbliższej przyszłości.

Brent przysłuchiwał się im z nieznacznym uśmiechem. Naraz serce ścisnął mu jakiś żal: ilu z nich zdrowo i cało powróci do Port Darwinu?... Większość to chłopcy poniżej lat dwudziestu, tryskający zdrowiem, zahartowani sportowcy, osmaleni australijskim słońcem, żądni wielkiej przygody. Nigdy dotąd ani słowem nie zdradzili zdziwienia czy niepokoju z powodu kursu barki na wody nieprzyjaciela, prosto w paszczę lwa. Słyszał tylko żarty i śmiałe uwagi na temat przyszłego zadania... Westchnął, podniósł się i nie zauważony zszedł do barki, gdzie White i młody Dick Warren pełnili służbę.

— Idźcie na górę do załogi, ja sobie tu sam posiedzę — rzekł na zdumione spojrzenie White'a.

Wydał White'owi rozkaz sprowadzenia załogi na barkę o godzinie szóstej. Gdy odeszli, rzucił na rufę grube marynarskie płaszcze, zrobił z nich legowisko i wyciągnął się wygodnie, pragnąc przespać się parę godzin, ubiegłej nocy bowiem nie zmrzył oka. Ale napięte do ostateczności nerwy nie pozwoliły mu usnąć. Podniósł się i ze skrzynki z osobistymi rzeczami wydobyl małą, grubą książkę w zniszczonej okładce: „Klub Pickwicka” Dickensa. Była to książka, do której w pełnym mocnych wrażeń życiu powracał stale. Fale przyływu

morskiego uderzały lekko o burty barki, ale Brent nie zwracał uwagi na ich monotonną muzykę. Zagłębił się bez reszty w lekturze o ludziach, którzy spokojnie i pogodnie żyli sobie przed stu laty.

XII

KUTER STRAŻNICZY

Najistotniejszym czynnikiem w ryzykownej wyprawie, jaką podjął Brent wraz ze swą drużyną, była pogoda, drugim zaś dopiero Japończycy. Przy sprzyjającej pogodzie znaczenie drugiego czynnika — japońskich organów kontrolnych — spadnie całkowicie do minimum, w innym natomiast w wypadku połączą się one w przeszkodę nie do przebycia. I wówczas śmiała impreza Brenta będzie miała nikłe szanse powodzenia. Tak dowódca komanda, jak i jego starsi członkowie dobrze sobie z tego zdawali sprawę. Wiedzieli także, że sprzymierzeńcem w ich poczynaniach będzie czas. Powodu do pośpiechu nie było — czyż warto ryzykować wielki cel dla kilku godzin czy dni? Brent zdecydowany był posiedzieć w pustej zatoce wyspy Sumba chociażby i tydzień, o ile nie będzie odpowiedniego wiatru. Na szczęście okazało się to niepotrzebne: południowo-wschodni wiatr wiał wciąż z tą samą siłą; kiedy wieczorem barka opuszczała brzegi Sumby, miała zupełnie wystarczającą szybkość.

White szedł kursem północno-zachodnim. Przeciąwszy szeroką zatokę Nanga Mesi, gdzie na krańcach horyzontu błysnęły przez sekundę — niby robaczki świętojańskie — światła osady Waingapu, w dwie godziny od podniesienia kotwicy mijał już przylądek Sasar. Znalazł się w miejscu dość niebezpiecznym, tu bowiem, między wyspami Sumba i Flores, morze zwęża się do zaledwie dwudziestu mil. Ale chmury na niebie wisiały nisko, zapowiadając bliski deszcz; noc była tak ciemna, że widoczność spadła do jednej ósmej mili. Morze po wczorajszej burzy przycichło nieco, tylko wiatr pędził niską, długą falą, białe grzebienie błyskały w ciemnościach jak zjawy.

Idąc stale północno-zachodnim kursem „Alas” minęła przylądek Sasar i zbliżała się do pierwszego wyjścia na morze Flores, do wąskiego przesmyku Molo, którego wschodni brzeg tworzy wyspa Flores, zachodni niewielka wyspa Rindzi. White nie spytał nawet Brenta, czy ma skrócić w ten kanał wodny — ze względu na niezwykle mocny prąd, płynący tu na północ z szybkością trzynastu mil na godzinę musiał on być dobrze strzeżony. Barka minęła po prawej stronie światła latarni morskich, migocące nisko nad horyzontem i parła naprzód tym samym kursem. Wreszcie zjawiła się przed nią druga brama wodna na morze Flores — przesmyk Linta, dość niebezpieczny ze względu na liczne mielizny. Był on wprawdzie dość szeroki, szerszy niż cieśnina Molo ale przeszkodą była tu leżąca pośrodku bezludna wyspa Padar, zamieszkiwana tylko przez olbrzymie jaszczurki, które przedostają się tutaj z sąsiedniej wyspy Komodo.

Gdyby White miał decydować o drodze wyjścia na morze Flores, z wszystkich trzech cieśnin wybrałby tę właśnie, chociaż tutaj nawet na tak małe jak „Alas” łodzie czyhało zdradzieckie dno morskie. Widocznie jednak i Brent był tego samego zdania, gdyż zanim jeszcze barka minęła południowy cypel wyspy Rindzi, wydał rozkaz zmiany kursu barki na północno-północno-zachodni.

Czas jakiś barka płynęła pełną szybkością, potem jednak White kazał zrefować żagiel do połowy — wyspa Padar i niebezpieczne mielizny powinny być już niedaleko. Brent stojąc na dziobie bacznie obserwował horyzont przez nocną lornetę. Wobec zakazu prowadzenia rozmów na łodzi panowała cisza, przerywana tylko głuchym uderzeniem fal o burty skrzypieniem bloków i pojękiwaniem lin.

Przed łodzią na lewo zarysował się jakiś głębszy cień, gęstniał z każdą chwilą. White skręcił nieznacznie na wschód, w stronę wyspy Rindzi, kazał jeszcze bardziej zmniejszyć

szybkość łodzi. Posłał na dziób jednego z marynarzy z sondą; rozstawieni łącznicy półgłosem przekazywali dane o głębokości dna morskiego od dzioba do steru.

Gdy głębokość ta malała szybko — z pięćdziesięciu na dwadzieścia stóp — White znowu skręcił, tym razem na zachód. Według jego obliczeń zbliżał się już do wyjazdu z przesmyku, tej trzymilowej bramy wodnej, której filar zachodni tworzy cypel wyspy Komodo, wschodni — cypel wyspy Rindzi. Morze Flores było tuż przed nimi. White z całej duszy pragnął mieć już poza sobą te niebezpieczne zarówno w nocy jak we dnie mielizny. Przez chwilę utrzymywała się znośna głębokość: trzydzieści pięć stóp, ale szybko zmalala na piętnaście, w ciemnościach bowiem łódź, nie kierowana ani jednym światłem orientacyjnym na brzegach, nieznacznie zbliżyła się do wyspy Komodo. White skręcił znowu trochę w prawo, sonda zanurzyła się o parę stóp głębiej.

Naraz od strony wyspy Rindzi trysnął jasny strumień światła — chwilę błędził w ciemnościach, pochylał się nad morze i sunął po nim szerokim, białym wachlarzem.

Brent zaklął z cicha.

— Stop! Żagiel w dół! — rzucił rozkaz najbliższej stojącemu i już sam wraz z nim chwycił linę.

White unieruchomiwszy ster biegł im pomagać. Nie było sensu uciekać — zatrzymanie barki dawało jakąś minimalną nadzieję, że nieruchomy cel uniknie poszukiwań reflektora. Żagiel zwinięto szybko i zręcznie — chwilę jeszcze barka z rozpędu płynęła naprzód, potem zatrzymała się i tylko kołysała się z boku na bok. Fok trzymał ją dokładnie z wiatrem.

Brent kazał obudzić śpiącą załogę i zachować absolutny spokój. Harry, który miał nocną wachtę, postanowił sam wyświadczyć tę przysługę Dickowi.

— Wstawaj, mamy wizytę! — szepnął mu do ucha.

Dick zrzuciwszy koc szybko zerwał się na nogi:

— Co się stało?... Kto, gdzie?... — zapytał trochę głośniejszym głosem.

Ostrzegawcze syknięcie Brenta otrzeźwiło go natychmiast. Podsunął się bliżej Harrego, którego długa sylwetka widna była w ciemnościach.

— Uważaj, nie pchaj się tak na mnie! — szepnął z naciskiem Harry, odsuwając go od siebie ręką.

Mimo ciemności Dick zauważył jakąś dużą blaszankę, wiszącą na pasku przyjaciela. Już miał zapytać, co to takiego, gdy uwagę jego przykuł ostry blask na wodzie. Obejrzał się, szukając źródła... Dostrzegł szeroką smugę świetlną, która w punkcie zetknięcia z powierzchnią morza nieciła jaskrawe błyski. Zauważył także głuchy, stale przybierający na sile warkot motoru. Wachlarz świetlny poruszał się nieustannie — krążył niezdecydowanie po falach, zataczał łuki w lewo i w prawo, wreszcie szerokim kręgiem zaczął się zbliżać ku barce. Wąż światła sunął spokojnie po wodzie.

Dick z zapartym tchem liczył sekundy. Nie zdążył doliczyć do dwudziestu, gdy ostre światło zalało barkę — nie zatrzymało się jednak: smuga ześliznęła się łagodnie po kadłubie i znów powędrowała w ciemności.

— Hurra! Nie zauważyli nas! — szepnął Harremu w ucho przecierając oślepienie blaskiem oczy. Już otwierał usta, by zapytać, co to za puskę Harry ma u pasa.

— Nie ciesz się jeszcze! — odparł cicho Harry.

Smuga światła zaczęła wracać; poruszała się teraz jeszcze wolniej. Z bijącym sercem Dick czekał, co będzie dalej. Po chwili sztag błysnął jaskrawo, jakby utkany srebrnej pajęczyny, potem rudobrazowy żagiel rozjarzył się czerwoną łuną, wreszcie całą barkę — od linii zanurzenia aż po wierzchołek uszkodzonego masztu, na którym żałośnie zwiślała czerwono-zielona flaga portugalska — zalał strumień jaskrawego światła, który już się nie cofnął. Rozległ się huk wystrzału, pocisk padł w niewielkiej odległości od prawej burty.

— Strzał ostrzegawczy! Rozkaz: „Stać!” — szepnął Harry do Dicka. — Ciekaw jestem, co z tego wyniknie! — i cofnął się nieco za niego tak, by z podjeżdżającego statku nie było go widać.

Brent podszedł na spotkanie nieprzyjaciela do prawej burty. Warkot motoru wzmagął się z każdą chwilą, dokuczliwe, nieznośne światło nie opuszczało barki — reflektor trzymał łódź stale w zasięgu widoczności. Pułkownik przysłonił ręką oczy, ale ciemną sylwetkę japońskiego kutra strażniczego dostrzegł dopiero w chwili, gdy zatrzymał się tuż obok burty „Alasu”. Odległość była tak mała, że człowiek z pokładu kutra odezwał się bez pomocy tuby:

— Kto jesteście, skąd i dokąd płyniecie? — padło surowe pytanie.

Na pierwsze zdanie w języku japońskim Brent nie dał odpowiedzi, mężczyzna więc powtórzył pytanie w języku angielskim.

— Portugalska barka rybacka „Alas” powraca z Bimy do Sutran — brzmiała odpowiedź. Brent mówił powoli, kalecząc przy tym język angielski.

— Co robiliście w Bimie?

— Odstawiliśmy transport rudy miedzianej do japońskiego składu.

Japończyk przerwał na chwilę wypytywanie. Słychać było, że naradza się z kimś po cichu. Potem odezwał się już inny głos, tym razem w języku portugalskim:

— Dlaczego macie tak liczną załogę?

— Wzięliśmy na pokład rozbitków z łodzi ratunkowej portugalskiego statku „Coimbra”, który podczas wczorajszej burzy rozbił się koło wyspy Gili Banta w cieśninie Sapę — odpowiedział Brent spokojnie w tym samym języku.

Chwilę trwała cisza, wreszcie pierwszy głos znów przemówił po angielsku:

— Nie ruszać się! Przybijemy do was! Rewizja łodzi i papierów! — rozkaz brzmiał bardzo srogo.

— Niedobrze z nami, coś podejrzewa — szeptał Harry schowany za Dicka. — Kiedy powiem „już!”, padniesz na deski, ale od razu!...

Motor kutra warczał na zwolnionych obrotach, reflektor przysunął się nieco niżej, nie wypuścił jednak barki z pola widzenia: smuga tylko lekko drgnęła i prześliznąwszy się po burcie na morze uwolniła nareszcie załogę od uporczywego, oślepiającego blasku.

— Już! — krzyknął Harry.

Dick posłusznie padł na mokre deski. Coś ze świstem przecięło powietrze — głucho uderzenie i niemal równoczesny straszliwy huk, okrzyki przerażenia, trzask rozpryskujących się kawałków desek, które z pluskiem padały w wodę... Chciał wstać, ale leżący tuż przy nim Harry trzymał go mocno.

— Nie bądź taki ciekawy, zdążysz jeszcze! Musiałem rzucić z możliwie małej odległości... Tu było najbliżej, Mam nadzieję, że naszym chłopcom nic się nie stało, większość z nich była na dziobie.

Rada Harrego była rozsądna. W powietrzu latały kawałki rozpadającego się kutra — zupełnie jakby w jego wnętrzu szalał wulkan, To płomień wywołany granatem zapalającym Harrego dostał się do zbiornika z benzyną i spowodował wybuch.

Na rozkaz White’a stawiania żagla Dick już nie czekał dłużej — skoczył pomóc marynarzom z „Alasu”. A pomoc ta była bardzo potrzebna: palący się jak pochodnia w odległości zaledwie dwudziestu stóp kuter japoński zasypywał „Alas” deszczem iskier. Nie zajęci przy stawianiu żagla ludzie szybko je gasili.

Gdy tylko „Alas” schwyciła wiatr, White obrócił ster o połowę koła, chcąc jak najprędzej oddalić się od dokuczliwego żaru. Po chwili barka mknęła już szybko po oblanych czerwoną łuną falach.

Nie zauważyli nigdzie członków załogi kutra japońskiego — prawdę powiedziawszy właściwie ich nie szukali. Brent w swój specjalny, oschły sposób podziękował Harremu za interwencję, wykonaną co prawda na własną rękę i bez rozkazu — jak nie omieszkał

zaznaczyć. Zwracając się do White'a domagał się możliwie wielkiej szybkości, był bowiem przekonany, że widoczny z daleka pożar ściągnie jakiś patrol japoński.

Przypuszczenia te okazały się słuszne.

Chociaż White gnał co sił w żaglach nie dbając już o mielizny, jednakże w kwadrans zaledwie od zniszczenia kutra strażniczego barka została schwytana w stożek reflektorów dwóch statków. Początkowo nikt nie wiedział, z kim mają do czynienia, ale wnet po strzałach starsi ludzie z załogi barki wywnioskowali, że gonią ich kontrtorpedowce lub lekkie krążowniki.

White z zimną krwią skierował barkę między oba okręty. Musiały one na czas jakiś zaprzestać ognia, gdyż na odległość dzielącej jej jednej mili mogły ostrzelać się nawzajem. Zręczny manewr pomógł tymczasem barce wymknąć się natrętnym reflektorom. Smugi światła starannie obszukiwały rozległe, puste połacie morza, a tymczasem White śmiało skierował barkę na północny wschód i tuż przed nosem zagrażającego od prawej burty kontrtorpedowca wymknął się z pułapki.

Dick nie szczędził słów podziwu dla mistrzowskiego sternika barki. Ale Harry, trochę kwaśny, że Brent tak krótko zbył jego niemalą przecież zasługę, ruszył tylko ramionami.

— O jej, wielkie cudo, że się wymknął reflektorom! Zaraz sobie licho wie co wyobrażasz — mruknął. — Barka to mały cel na odległość jednej czy dwóch mil. Cud byłby dopiero, gdyby Japończykowi udało się utrzymać ją w zasięgu światła. Z kutrem strażniczym to była zupełnie inna historia, dopadł nas najwyżej na ćwierć mili.

Dick nie odpowiedział, opinię swą zachował dla siebie. Ale zachwyty jego wzrost jeszcze, gdy White nie zauważony prześliznął się po lewej stronie wciąż szukającego barki kontrtorpedowca, w tak bliskiej odległości, że z pokładu jego słysząc było rozmowy.

W pół godziny później światła japońskie przepadły gdzieś na krańcach horyzontu. W bladym brzasku wstającego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, White wpłynął na mały atol I1 gęsto zarośnięty zielenią i palmami. Była to jedna z niezamieszkałych wysepek, stanowiąca przedpole wyspy Rindzi, jakby stworzona na kryjówkę dla Brenta i jego drużyny.

XIII

ZABAWA W CHOWANEGO

Za dnia okazało się, że White miał nieprawdopodobne szczęście, skoro wśród ciemności nocnych, rozświetlanych tylko białymi grzywami rozpryskujących się o rafy koralowe fal, zdołał wprowadzić barkę na bezpieczne wody laguny atolu. Zaraz po wyminięciu pierwszego pasma raf rzucili kotwicę, ale w pełnym świetle dnia szybko się stamtąd wynieśli szukając bezpieczniejszego schronienia. Było najzupełniej oczywiste, że Japończycy zaalarmowali cały archipelag Wysp Sundajskich, nakazując szukać tej tajemniczej barki zarówno na morzu, jak i z powietrza. Zniszczenie kutra strażniczego mogłoby jeszcze ująć płazem — Japończycy stratę tę mogli złożyć na karb jakiegoś nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego — ale przecież istnienie jakiejś przemykającej się chyłkiem barki ustaliły kontrtorpedowce. Niepodobna było także wykluczyć, że ocalał ktoś z załogi zniszczonego kutra, a ten na pewno nie omieszkał złożyć szczegółowego meldunku.

Tak więc barka znowu musiała zmienić nazwę i dokumenty. Fakt ten wywołał ogromną uciechę załogi. Nie była to zresztą w tej chwili pilna sprawa, tak czy tak bowiem barka na czas jakiś musiała zniknąć, przynajmniej do czasu, póki nie ustaną poszukiwania na wodach archipelagu.

Laguna, na której „Alas” nocą rzuciła kotwicę, miała kształt elipsy około trzech czwartych mili długiej i ledwie pół mili szerokiej. Otaczający ją pierścień lądu o nieregularnych brzegach poszarpanych małymi, płytkimi zatokami, mógł mieć w najszerszym miejscu ponad tysiąc stóp. Roślinność stanowiły tu cierniste krzewy, mangrowce i palmy, tworzące niewielkie skupiska, schodzące gałęziami tuż nad samą wodę.

Największą jednak zaletą tej wyspy był fakt, że była ona niezamieszkała i że nie było na niej posterunków japońskich. Przyczyną tego był absolutny brak wody do picia na wyspie, o czym załoga „Alas” dowiedziała się dopiero później. Z tej też przyczyny nie było żadnych zwierząt. Tylko w koronach palm gnieździły się papugi i dzikie gołębie, które zaspokajały pragnienie gromadząc się w szczelinach skał wodą deszczową lub też leciały pić wodę na odległą o kilka mil wyspę Rindzi.

White wyszukał małą, głęboką wciskającą się między palmy małą zatokę i tam dopiero rzucił kotwicę. W chwilę później rozległ się warkot samolotu — smukły pościgowiec przeleciał nad wyspą ze wschodu na zachód. Szedł na wysokości paru tysięcy stóp, a szybkość miał tak znaczną, że nie mógł zauważyć stojącej na kotwicy przy samym brzegu niewielkiej barki. Ale mimo to Brent nie chciał zdać się tylko na szczęśliwy przypadek.

— Chłopcy, zanim zabierzemy się do śniadania, warto by ten nasz stary gruchot trochę zamaskować — zaproponował.

Załoga z wielkim entuzjazmem zabrała się do roboty, zabawiając się przy tym rozmaitymi dowcipami. Młody, wygimnastykowany sportowiec Ronney szybko wdrapał się na smukłą palmę. Wybrał jednakże pochyłą palmę, wobec czego wdrapanie się na wierzchołek nie sprawiło mu żadnych trudności, nie oszczędziło mu jednak złośliwych docinków kolegów. Ściawszy całą koronę palmy umieścił ją później przy pomocy jednego z kolegów na topie masztu barki, zamieniając tym samym maszt niejako w drzewo. Lecz to nie było wszystko. Chłopcy nacięli lian, których tu było bardzo wiele, zręcznie pookręcali nimi wszystkie liny, których nie można było zwinąć i schować. Resztę wykończono przy pomocy trawy; w ciągu godziny barka zmieniła się tak dokładnie w integralną część lasku palmowego, że „nawet samolot lecący tak nisko, że mógłby kołami zawadzić o sterczącą na maszcie koronę palmy, nie zdołałby jej wykryć” — jak z entuzjazmem twierdził Dick Stanton. Gdy część załogi przystrajała „Alas”, reszta wyładowywała na brzeg zapasy żywności i wody do picia, rozbijała namioty pod gęstym sklepieniem palm. Przygotowali herbatę na śniadanie, gotując ją na maszynie benzynowej. Po śniadaniu White, Connor i Dick wsiedli do dingi — małej, gumowej łódki, którą wieźli ze sobą i wyruszyli na zbadanie laguny. Równocześnie Brent, Harry i Brown poszli piechotą skontrolować „pas zewnętrzny” jak wyraził się Harry — czyli brzeg morski tej trzeciej części wyspy, na której wylądowali. Umówili się na spotkanie z załogą łódki, która miała ich przewieźć na dwa dalsze odcinki pierścienia lądu.

W niecałe dwie godziny obie grupy — lądowa i wodna

— zakończyły prace wywiadowcze i wróciły bardzo zadowolone: okazało się, że o lepszej kryjówce, trudno było marzyć. W najgłębszym punkcie laguna miała około trzydziestu stóp głębokości, wszystkie trzy kanały wjazdowe były płytkie i gęsto usiane rafami, kryjącymi się przeważnie zdradziecko pod wodą.

White uważał, że nawet kuter strażniczy o stosunkowo małym zanurzeniu niełatwo wedrze się na lagunę. Ze zdumieniem komentował fakt, że „Alas” nie roztrzaskała się w drobne kawałki podczas wpływania na lagunę wśród absolutnych ciemności. Wszystko to graniczyło niemal z cudem, bo płaskie dno barki zanurzającej się na niecałe dziesięć stóp częściowo tylko tłumaczyło ten fakt. Okazało się później, że w nocy, gdy powietrze i woda są chłodniejsze, morze w tych miejscach jest stosunkowo spokojne, a tylko za dnia występują silne prądy i wiry, które niezmiernie utrudniają żeglugę między rafami.

Dostęp do wyspy od strony morza był jeszcze bardziej utrudniony. Dokoła mielizny i rafy koralowe, przybijający statek mógł rzucić kotwicę najbliżej o dobre ćwierć mili od brzegu, czyli na pełnym morzu, tam zaś narażony był na ogromnie kapryśne i zmienne w tych okolicach wiatry.

— Byle tylko zachować się rozsądnie, to jesteśmy tak ukryci, jakbyśmy siedzieli w Tower, w Londynie¹² — oświadczył Harry, a Brent i White przyznali mu rację.

Pierwszego dnia przynajmniej dwa razy przeleciały nad nimi samoloty, niektóre nawet na wysokości paruset stóp. A tymczasem komando pod gęstym sklepieniem zieleni trawiło czas beczynn timer. Pułkownik surowo zabronił pokazywać się na miejscach otwartych i palić ogień. Pierwsze trzy dni rozkaz wypełniano skrupulatnie i bez protestów. Trzeciego dnia zjawił się już tylko jeden japoński samolot — przeleciał nie bezpośrednio nad atolem, ale ominął ich parę mil na północ. Przez całe te trzy dni tylko dwa razy widzieli okręty. Pierwszy był to kuter strażniczy. Załoga przeżyła moment wielkiego napięcia — kuter objechał atol dokoła, potem zbliżył się do południowego kanału. Ale o tej porze morze wśród raf gotowało się niby kocioł czarownic. Kapitan kutra nie zaryzykował wjazdu w tę kipiela. Chwilę krążył przed wjazdem, odpłynął, manewrował jeszcze przed wjazdem zachodnim, dosłownie naprzeciwko obozowiska komanda. Zabawił tu dłuższą chwilę — Dick już był przekonany, że zauważył coś podejrzanego. Widocznie jednak Japończyka uspokoił wygląd cichej i pustejskiej wyspy, gdyż nie płoszone ptaki latały swobodnie szukając pożywienia, jakby na wyspie nie było śladu żywego ducha.

Wreszcie kuter zawrócił dziobem na zachód i zniknął sprzed oczu obserwującej go w napięciu załogi gdzieś na krańcach horyzontu, tam gdzie morze zlewa się z niebem.

Drugi okręt japoński zjawił się w znacznie mniej dramatycznych okolicznościach. Był to kontrtorpedowiec, który szedł na skrzydle konwoju statków transportowych wiozących wojsko z północnego wschodu na południowy zachód. Atolem nie interesował się w ogóle — przepłynął obok niego w przyzwoitej odległości kilku mil. Gdyby nie meldunek wachtowego, który z lornetką w ręku czuwał ukryty w koronie najwyższej palmy nad obozowiskiem, załoga nie wiedziałaby nic o owym kontrtorpedowcu. Z rozkazu Brenta wachtowi na palmie zmieniali się co dwie godziny, od świtu do nocy.

Kiedy czwartego dnia samoloty już się w ogóle nie pokazały, młodszy członkowie załogi zaczęli prosić Brenta, by pozwolił im kąpać się w lagunie.

— Tylko przy brzegu! — obiecywali, gdy się wahał.

Dał się ubłagać. Chłopcy pokrzykując wesoło zrzucili ubrania i skoczyli w wodę, płosząc całe stada barwnych ryb. Początkowo istotnie dotrzyмали obietnicy i trzymali się blisko brzegu, by w wypadku meldunku wachtowego o zbliżaniu się samolotu lub okrętu zdążyć na czas się ukryć. Potem jednak, zapewne podświadomie, zaczęli oddalać się od brzegu.

Brent usiadłszy nieco dalej od brzegu radził wraz z Harrym i Connorem nad nową metamorfozą barki, której nazwa „Alas” po przygodzie z kutrem strażniczym była mocno skompromitowana.

— Muszę przyznać, że rzucenie tego granatu zapalającego to był świetny pomysł, ale nie możemy przecież liczyć na to, że uda nam się zlikwidować każdy okręt japoński, który zechce nas zatrzymać — odezwał się Brent.

Serce Harrego zalała fala dumy.

— Panie pułkowniku — wtrącił zaciekawiony Connor — więc jak pan myśli urządzić się na przyszłość?

— Po pierwsze: nie możemy już nikomu opowiadać bajeczek, że jesteśmy Portugalczykami, bo z każdym dniem będziemy się oddalać coraz bardziej od Timoru, jedynej posiadłości portugalskiej na tych wodach — tłumaczył Brent.

Ponieważ pułkownik zdradził w ten sposób dalszy kurs barki, Harry gwizdnął przez zęby ze zdumienia, ale nie przerwał pułkownikowi ani słowem.

— Zmienimy się teraz w pokojowo nastawionych Holendrów, którzy sympatyzują z Führerem i jego japońskimi sprzymierzeńcami, natomiast srogie przekleństwa rzucają na głowy Churchilla i Roosevelta, którzy popsuli im dochodowy interes handlu koprawami. Staramy się w miarę możliwości uratować z tego handlu ile się da, zwozimy więc koprawę z różnych wysp Archipelagu Sundajskiego do Batawii czy gdzie indziej, zaleźnie

od okoliczności. A wszystko to dla naszych japońskich przyjaciół, oby ich mikado panował szczęśliwie jeszcze tysiąc lat.

— No, jeśli Japończycy dadzą się chociaż dwa razy nabrać na tego rodzaju przynętę, to będą skończeni durnie — wtrącił z uśmiechem White. — Chyba, żeby pan przypadkiem miał odpowiednie papiery...

— Owszem, mam... — odparł Brent. — I nawet podpisane przez japońskie władze wojskowe.

— Wobec tego coś mi się zdaje, że zniszczenie tego kutra strażniczego przed paru dniami to wcale nie był świetny pomysł — westchnął zawiedziony Harry. — Lepiej może było jednak poczekać i nie zwracać na siebie uwagi...

Brent nie zdążył odpowiedzieć. Z korony palmy nad nimi dobiegł meldunek.

— Wielki samolot zbliża się do wyspy od zachodu...

Jeszcze nie przebrzmiał meldunek, gdy na pobliskim brzegu rozległy się okrzyki przerażenia.

— A tam co znowu się dzieje? — zirytował się Brent. Zerwał się i pobiegł na miejsce, skąd wciąż słychać było podniecone głosy. Towarzysze pobiegli za nim. Rzuciwszy okiem na lagunę, stanęli jak wryci. Grupka nagusów na brzegu z krzykiem szukała kamieni i ciskała nimi w sterzącą z wód laguny trójkątną płetwę, poruszającą się tuż przy brzegu.

— Rekin!... A tam płynie ten szczeniak Dick Stanton! — krzyknął rozgorączkowany Harry. — Skoczę mu na ratunek z nożem! — I już zrzucił płócienną kurtkę, by mu nie przeszkadzała w pływaniu.

Ale Brent żelazną ręką przytrzymał go za ramię.

— Nigdzie nie pójdziecie, spójrzcie! — wskazał ręką na niebo.

Klucz japońskiej eskadry szedł z olbrzymią szybkością wprost na atol; motory warczały tak głośno, że Brent musiał krzyknąć z całej siły, by zagnać załogę pod drzewa. Usłuchali niechętnie i dopiero w ostatniej chwili. Nieustannie oglądali się poza siebie na lagunę, gdzie jeden z ich kolegów sam, bez pomocy musiał stawić czoło najgroźniejszemu drapieżcy morskemu.

— Nie ma rady, kryć się! Nie przeciwstawiajcie mi się! — surowo krzyczał Brent ciągnąc pod drzewa Harrego, który nie chciał odejść. — Poszedłbym sam Stantonowi na pomoc... Czy który z nich nie skoczyłby także? — wskazał ręką gromadkę ociągających się chłopców. — Ale nie postawię na kartę życia czterestu ludzi w zamian za życie jednego człowieka!... A cóż dopiero mówić o zadaniu, jakie stoi przed nami? Takie jest prawo naszej służby. A wy, Harry, wiecie o tym równie dobrze jak ja. Nie będę już słuchał żadnych argumentów... Wielkie szczęście, jeśli nam się uda w ogóle wybrnąć jakoś z tego. Jeśli Stanton jest prawdziwym mężczyzną, potrafi spełnić swój obowiązek!

Harry nigdy jeszcze dotąd nie widział pułkownika w takim stanie podniecenia — nawet w ową szaloną noc, gdy w mundurach esesmanów czatowali na auto głównodowodzącego wojsk niemieckich na Krecie, kiedy wracał ze sztabu do Willi za miastem. Stary wyga domyślił się łatwo, że przyczyną tej irytacji jest nie tyle nieostrożność Dicka, ile fakt, że nie może pospieszyć mu na ratunek. Nie dyskutując już dłużej wspiął się na szczyt drzewa, skąd — doskonale ukryty — miał poprzez gałęzie świetny widok na lagunę. Wszyscy inni, a nawet i sam Brent, poszli wnet za jego przykładem, wyszukując sobie podobne punkty obserwacyjne na drzewach.

Japońskie bombowce grzmiały już nad głowami — wachtowy, obserwujący niebo przez lornetę, naliczył ich ponad czterdzieści. Cienie maszyn kładły się na lagunie, szły bowiem na wysokości ledwie kilkuset stóp. Załogi samolotów mogły dostrzec każdy większy kamień na wyspie, a cóż dopiero mówić o pływającym w wodzie człowieku.

Dick Stanton wcale nie miał zamiaru przekroczyć zakazu Brenta oddalania się od brzegu, ale ponieważ szalenie lubił pływać, więc rozkoszując się kąpielą zapomniał po prostu

o brzegu. Wytknąwszy na chwilę głowę z wody skonstatował z przestachem, że znalazł słą prawie pośrodku laguny, o dobrych paręset stóp od brzegu. Sądząc, iż koledzy dają mu znaki, że zbyt mocno oddalił się od brzegu, ostrym cawlem ruszył z powrotem. Ledwie jednak przepłynął kilka jardów, zrozumiał że domysły jego słuszne były tylko w połowie. W chwili gdy zauważył przesuwaną się powoli między nim a brzegiem dobrze znaną, trójkątną płetwę rekina — cała krew spłynęła mu nagle do serca.

„Ech, może nie będzie tak źle!... Jeszcze mnie ta bestia nie zauważyła — powiedział sobie po chwili starając się opanować. — Zawrócę i popłynę na przeciwny brzeg, odległość przecież taka sama...”

Już miał ten zamiar wykonać, gdy naraz posłyszał warkot samolotu. Spojrzał w niebo — od zachodu leciała szybko maszyna. A więc teraz sprzysięgło się na niego dwóch wrogów: rekin w wodzie i japoński lotnik w powietrzu. Był w pełni świadomy sytuacji, w jakiej się znalazł, i wszelkich jej konsekwencji. Gdyby choć na chwilę pokazał się Japończykom, zdradziłby zarazem obecność załogi na wyspie. A to oznaczałoby koniec ich wyprawy, a także i kres życia ich wszystkich, bowiem dla ludzi tego typu Japończycy mieli tylko proch i kule w zapasie, czasem nawet — gdy dowódca był mniej rycerski — strycek.

— To raczej pod wodę, do rekina! — postanowił Dick, nim jeszcze pierwszy bombowiec minął kryjący obozowisko las palmowy.

Wciągnąwszy mocno powietrze w płuca zanurzył się, spojrzeniem jednak bacznie obserwował powierzchnię wody. Tuż obok niego po zwierciadle laguny przemknął cień samolotu za nim drugi, trzeci i czwarty. Dick przestał je liczyć. Nawet pod wodą słyszał ogłuszający łoskot motorów, co wskazywało, że maszyny idą nisko, bardzo nisko. Zaczynało mu brakować tchu, ból rozsadał piersi. Przywoławszy na pomoc całe swe pływakie doświadczenie, powoli i ostrożnie podsunął się do powierzchni, wysunął nos i usta, w ciągu sekundy zaczerpnął powietrza. Nie myślał już teraz zupełnie o rekinie, cały wysiłek woli skupił tylko na jednym: Japończycy nie mogą go dostrzec. Opuściwszy się powtórnie na głębie, znów obserwował cienie... Tylko że jeden z nich poruszał się jakoś zygzakowato i był znacznie niżej niż inne...

— Co za śmieszna historia! — mówił do siebie. — Przecież cień może być tylko na powierzchni, a nie pod wodą!

Nagle jak błyskawica przemknęła myśl: to nie samolot, to rekin krąży wokoło! Już spostrzegł go ten wodny drapieźnik i nie odejdzie!...

Mimo iż wody laguny mocno były nagrzane przez słońce, Dickowi mróz przebiegł po skórze. Ale nie stracił przytomności umysłu — zapas powietrza miał jeszcze w płucach. Trzeba koniecznie położyć się na dnie... to jedyna szansa ratunku. Stało mu w myślach opowiadanie pewnego poławiacza pereł, który w ten sposób parę razy uniknął paszczy rekina. Ba, obciążonemu balastem nurkowi łatwo to wykonać, ale człowiekowi normalnej wagi, którego woda wciąż wyrzuca na powierzchnię?...

Szarawy cień przesunął się w niebezpiecznej bliskości. Myśl Dicka pracowała w szaleńczym tempie. Na dno, tylko na dno, to jedyny ratunek!... Nie wolno mu wypłynąć, Japończycy mogliby go zauważyć!...

Najwyższy wysiłek woli i mięśni, na jaki go było stać... ręka dotknęła dna, schwyciła gałązkę rosnącą tu czerwonych koralu. Nie zauważył nawet, że ostre brzegi koralu tną mu rękę do krwi, czuł tylko, że tętna jak młoty dudnią głucho w skroniach. W płucach brakło powietrza, potężny słup wody głębokiej laguny miażdżył go. Poruszył nogami i znalazł także dla nich punkt oparcia — przywarł do dna wyciągnięty jak struna.

Leżał tak czas jakiś z twarzą zwróconą ku ostrej powierzchni dna morskiego. Co dzieje się nad nim, nie wiedział, w pewnej chwili jednakże poczuł że coś twardego przejechało mu po plecach. Trwało to drobny ułamek sekundy. Domyślił się od razu, że to płetwa rekina...

Nic już nie czuł, nie zdawał sobie sprawy z płynącego czasu, nie interesował się, co się wokoło dzieje. Ostatnie drobiny powietrza czyściły zatrutą krew. Tracił przytomność — wysiłek, potrzebny do trzymania się koralu dobiegał końca, mięśnie wiotczały... Woda wyniosła go na powierzchnię...

Pierwszy haust powietrza przywrócił mu świadomość. Machinalnie wykonał ruch rękami. Nie słyszał nawet ogłuszającego huku tuż koło głowy.

To wybuchł granat ręczny, którym Connor rzucił w rekina. Rudy Irlandczyk nie wysiłał się specjalnie na celowanie, starał się tylko nie trafić w Dicka i hukiem eksplozji przepłoszyć bestię. I ponad wszelkie oczekiwania — trafił.

Dick siedząc już w dingi, którą Harry z Connorem i Whitem spuścili na wodę, gdy tylko ostatni samolot minął wyspę, spostrzegł rekina, płynącego powoli brzuchem do góry. Dokoła niego pluskała czerwona posoka, roztapiając się coraz mocniej w szafirowych wodach laguny.

— Przyznaję, że spostrzegłszy samoloty nieprzyjacielskie zachowaliście się wzorowo, dlatego też nie będziecie ukarani za przekroczenie dyscypliny! — rzekł surowo Brent, gdy Dick, chwiejąc się jeszcze na nogach podszedł do niego i wyjąkał jakieś słowa usprawiedliwienia. — Ale to tylko tym razem! Każde następne nieusłuchanie rozkazu spowoduje wysadzenie was w pierwszym lepszym miejscu!

XIV

BEZ WODY

Przelot japońskiej eskadry ciężkich bombowców był rzeczą zupełnie przypadkową, nie miał nic wspólnego z poszukiwaniem tajemniczej barki, z którą zetknęły się dwa japońskie kontrtorpedowce. Brent oraz jego starsi koledzy byli zdania, że Japończycy lecieli wzmocnić siły powietrzne we wschodniej części Oceanu Spokojnego. I nie mylili się wcale — w tym bowiem czasie Amerykanie wyrzucili już Japończyków ze środkowej części archipelagu Wysp Salomona i twardo bronili tych ważnych, wysuniętych przyczółków. Generał Vandegrift przygotowywał się nawet do wysadzenia swych wojsk na wyspie Bougainville w północnej części Wysp Salomona. A Japończycy wyspę tę za wszelką cenę chcieli utrzymać. Zdawali sobie sprawę z tego, że gdy odpadnie pierścień zewnętrzny ich zdobyczy terytorialnych, przyjdzie potem kolej na wewnętrzny pierścień baz, skąd bezpośrednio wiedzie już droga do serca ich wyspiarskiego państwa. W grę wchodziła najwyższa stawka — gotowi byli na kartę postawić wszystko, byle tylko nie przegrać.

Brent po przelocie bombowców odczekał jeszcze dwa dni. Od zajścia ze ścigaczem minął już pełny tydzień zdawało się, że poszukiwania barki zostały wstrzymane. Pułkownik nie miał zamiaru czekać dłużej; zresztą wyganiał go z wyspy także i brak wody. Przez cały tydzień deszcz nie spadł ani razu, zapasy wody na barce wyczerpywały się szybko. Brent zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze chociaż czółnem gumowym podjechać nocą na pobliską wyspę Rindzi i poszukać tam słodkiej wody. Po naradzie z Whitem jednak zaniechał tego zamiaru: mapa morska wskazywała na istnienie w tych okolicach niebezpiecznych prądów, łódka zaś nie mogła równocześnie zabrać większego zapasu wody i dostatecznej załogi, która dałaby sobie radę z tymi prądami. White radził opuścić wyspę jak najprędzej, ponieważ przy zmiennej pogodzie tej pory roku nie było żadnych gwarancji, że sprzyjający wiatr utrzyma się nadal. Miał zamiar próbować w ciągu jednej nocy dotrzeć do którejś z licznych Wysp Sabalan, położonych przypuszczalnie o sto mil na północny zachód od atolu, na którym kryli się obecnie, czyli dokładnie w kierunku, w jakim mieli płynąć dalej.

Brent projekt ten zaakceptował i zawiadomił załogę, że najbliższej nocy opuszczą wyspę. Decyzja przyjęta została z entuzjazmem: młodym chłopcom obrzydło już na dobre chwytanie ptaków w sidła lub ryb na wędkę. Te problematyczne rozrywki od czasu do czasu urozmaicała kąpiel z zastrzeżeniem: „Tuż przy brzegu”.

Przed wyjazdem z laguny barka przeszła jeszcze jedną metamorfozę swej szaty zewnętrznej. Zadaniem tym obarczono Harrego Drone i Dicka Stanton, „ponieważ przy uprzednim przemalowaniu łodzi doskonale wywiążali się ze swej pracy” — jak wyraził się Brent.

— No dobrze, ale jak teraz tę balię nazwiemy? — dopytywał się Harry, rozpuszczając bez wielkiego entuzjazmu przy pomocy terpentyny wyschnięty na tropikalnym upale lakier.

Brent przerzucał kartki notesu.

— „Tanah”, port macierzysty Tegal, na Jawie — rzekł po chwili. — Właścicielem jej jest mijnheer Martin van Helmer.

— A, to bardzo się panu chwali, pułkowniku — twarz Harrego rozjaśniła się w uśmiechu — że przynajmniej pan takie krótkie nazwy wymyśla... Bo to i zapamiętać łatwo i przy tym malowaniu się człowiek wiele nie namorduje... — zakończył z uznaniem.

Mimo to mordowali się wraz z Dickiem aż do zmroku, zanim wreszcie udało się zmienić wygląd zewnętrzny dobrze sfatygowanej krypy.

Tymczasem Brent wraz z Whitem sprawdzali rozlokowanie ładunku i stan zapasów. Przed wyjazdem z Port Darwinu, na jego polecenie, zaufani ludzie, członkowie służby wywiadu, wykonali najrozmaitsze ulepszenia na łodzi. Między innymi wykonali całkowicie niewidoczne skrytki, których zawartości pułkownik wolałby nie pokazywać japońskim organom kontrolnym. Niektóre z tych przedmiotów miały co prawda wygląd zupełnie niewinny, lepiej jednakże było nie kontrolować ich zbyt dokładnie. Na przykład taki mały granat ręczny, którym Harry zniszczył kuter strażniczy: krył się on w najzwyczajniejszej puszcze blaszanej z barwnym napisem: „Najlepsze kakao holenderskie, waga netto pięć funtów i trzy uncje”.

Ze stanu zapasów żywności Brent był zupełnie zadowolony — starczy ich jeszcze na dobrych czternaście dni — natomiast zapasy wody przedstawiały się fatalnie. Żałował teraz, że nie zabrał małego aparatu destylacyjnego: zamiast spędzać na wyspie czas bezczynnie, mogliby doskonale odnowić zapasy wody do picia destylując wodę morską. Ale podczas zestawiania zaopatrzenia barki nabierało się tego wszystkiego tyle, że musiał z całego szeregu przydatnych rzeczy zrezygnować; wśród nich znalazł się także i aparat destylacyjny. A teraz posiadany zapas wody, przy większej oszczędności, starczy zaledwie na dwa dni. Nie pozostawało więc nic innego, jak możliwie najszybciej przybić do którejś z wysp Sabalan, gdzie znajdują się źródła.

— Jak pan sądzi, czy ten wiatr utrzyma się jeszcze przez najbliższych dziesięć godzin? — spytał White’a, który kierował właśnie przygotowaniami do wypłynięcia.

Kapitan ruszył ramionami. Wydobył z kieszeni mały barometr i przez chwilę wpatrywał się w chybotliwą złotą wskazówkę oraz granatową podziałkę.

— Barometr stoi wciąż jeszcze wysoko, chociaż wiatr zmniejszył się już nieco — odparł. — Trudno tutaj na tej kałuży wyrobić sobie pojęcie o sile wiatru na otwartym morzu. Mimo to jednak przypuszczam, że uda mi się z tej starej łajby wydobyć jakichś dziesięć węzłów. Jeśli pan się zgodzi, to wypłyniemy jeszcze przed zachodem słońca. Nie miałbym odwagi płynąć przez ten przesmyk po nocy, choćby i przy księżycu... Chyba żeby już innego wyjścia nie było...

Brent skinął głową na znak zgody, potem gwizdkiem zwołał załogę.

Gdy podnosili kotwicę, jasna wielka tarcza słońca o zacierających się już nieco konturach zanurzała się właśnie w ocean. White kierował barkę powoli w szerszy kanał wyjazdowy. W ciągu ostatnich dni przestudiował go już tak dokładnie, że mapę jego dna narysować mógłby z pamięci, śmiało więc prowadził „Tanah”. Kiedy maszt barki znalazł się ściśle na linii smukłej palmy rosnącej na brzegu cieśniny, ominąwszy grupę rosnących samotnie trzech drzew tuż nad linią przypiływu, White skręcił sterem w prawo tak, że drzewa te

znalazły się dokładnie na przedłużeniu osi barki. Z lewej strony ukazała się podłużna rafa ciągnąca się aż na głębie — pryskała na niej biała piana bijących niskich fal.

White dokładnie sobie wszystko obliczył z góry. Dick natomiast nie mógł zrozumieć: dlaczego dobrze widoczną rafę mija w tak nieznacznej odległości — „Tanah” niemal ocierała się o nią burtą — i dlaczego kieruje całą szybkością barkę w najgorszą w cieśninie kipieli? Woda w tym miejscu bryzgała i burzyła się tak gwałtownie, że każdy laik domyśliłby się łatwo ukrytych tuż pod powierzchnią raf.

Ale na dobrych kilka długości przed tymi wirami White ostro skierował łódź dziobem w breg. Płynął teraz tak blisko brzegu, że ludzie z barki rękami sięgali gałęzi pochylających się nad laguną koron. I w ten właśnie sposób wyminął kryjącą się o kilkadziesiąt stóp od brzegu rafę wiedząc, że trzy stopy głębokości to o połowę za mało dla przejścia barki.

Harry nie będąc marynarzem nie zwracał uwagi na cały ten manewr i spokojnie palił sobie fajkę na dziobie barki, ale Dick z zapartym tchem obserwował przez cały czas White’a podziwiając go szczerze w duchu. Wytrawny marynarz w ciągu niecałego kwadransa przeprowadził barkę przez groźny przesmyk, gdzie niebezpieczeństwo czaiło się na każdym kroku.

Oczom załogi ukazał się jednostajny, szary lekko rozfalowany o zmierzchu ocean — dalszy szlak ich drogi w ciemnościach nocy.

— Stanton, log! — zawołał White nie wypuszczając steru z ręki.

Dick skinął na Warrena, by sprawdzał stoper, i zręcznie wyrzucił przez rufę małą drewnianą deseczkę, kształtu wycinka koła, obciążoną na brzegu ołowiem. Zanurzyła się cała niemal w wodzie, ustawivszy się w niej pionowo. Dick wypuszczał linę z ręki: gdy pierwszy węzeł przesuwiał się na dłoni, Warren przygotował stoper.

Na znak Dicka uruchomił go, na sygnał „stop” — zatrzymał.

— Osiem i pół — Warren w ostatnich przeblyskach dziennego światła odczytał wskazówki sekundnika.

— O, to mało — zmartwił się Dick. — Potrzeba nam przynajmniej dziesięć. A widzisz ty dobrze na tym swoim budziku?

— No, jakże... — oburzył się kolega. — Sprawdź sam, skoro mi nie wierzysz!

Dick skontrolował mierzenie i przyznał z westchnieniem, że istotnie szybkość wynosi tylko osiem i pół węzła. Tym razem Dick trzymał stoper w rękę, a Warren zdrową ręką odwijał loglinę. Cóż, kiedy rezultat nie był ani o pół węzła lepszy. Rzeczywistość okazała się przykra: „Tanah” płynęła z szybkością tylko niecałych dziewięciu węzłów. I szybkość ta — kontrolowana na rozkaz White’a co godzinę — spadała stale; gdy koło północy ukazał się na niebie blady sierp malejącego księżyca, wynosiła ledwie sześć węzłów. Wyglądało na to, że wiatr ucichnie zupełnie.

O świcie kapitan obliczył, że od dwóch najlepszych wysp archipelagu Sabalan, Saregeh i Pelokan, dzieli ich odległość co najmniej czterdziestu mil. A na wyspach tych mieli próbować zdobyć wodę. Kapitan sam wszedł na maszt, długo regulował lornetę i wypatrywał — wszystko daremnie: wyspy kryły się gdzieś we mgle na dalekich krańcach horyzontu.

Rankiem szybkość barki wynosiła już tylko trzy węzły, w południe grot zwisał na gaflu żałośnie — nie poruszał go najlżejszy nawet powiew wiatru. Brent kazał zwinąć żagle, gdyż dzięki nim barka widoczna była z większej odległości, a pułkownik — mimo świetnych papierów — pragnął za wszelką cenę uniknąć spotkania z Japończykami. Raz jeszcze sumiennie skontrolował zapas wody do picia i z przerażeniem stwierdził, że pozostała już tylko jedna, niepełna baryłka, zawierająca najwyżej dziesięć galonów¹⁴.

— Jak długo może trwać taki sztil?¹⁵ — pytał White’a. Kapitan spojrzawszy mu w oczy rzekł otwarcie:

— Parę godzin, powiedzmy: do zachodu słońca, ale równie dobrze i cały tydzień, póki ciśnienie atmosferyczne nie spadnie... Tutaj, w okresie porównania dnia z nocą, a więc teraz, nie da się nic przewidzieć...

Brent obliczał w myślach: jak podzielić dziesięć galonów wody na czternastu ludzi, by starczyło jej na tydzień?... Wypadło coś koło jedenastu i pół pinty¹⁶ na dzień, czyli trzy czwarte pinty na osobę! Zawiadomił załogę, że od tej chwili nikt na całe dwadzieścia cztery godziny nie dostanie ani kropli wody więcej. Niewesołą nowinę załoga przyjęła bez słowa, ale i bez zwykłych, żartobliwych uwag. Tylko Harry, niezmordowany komentator wszelkich wydarzeń, nie mógł utrzymać języka za zębami i rzucił w stronę Dicka:

— To coś tak, jak na łodzi kapitana Bligha!...

Teraz dopiero zaskoczony Dick uprzytomnił sobie, że istotnie położenie ich bardzo przypomina sytuację, w jakiej przed prawie stu pięćdziesięciu laty znalazł się dowódca okrętu wojennego „Bounty”. Zbuntowana załoga wsadziła go wraz z siedemnastu wiernymi towarzyszami do lichej łódki — tak niemal wielkiej i równie odkrytej, jak ich barka — i pozostawiła własnemu losowi, licząc że podczas pierwszej burzy wszyscy zginą. Wówczas to Bligh dokonał niezwykłego wyczynu, ustalił do dnia dzisiejszego niepobity rekord: w nędznej, marnej łódce przebył 3600 mil morskich, z południowej części Oceanu Spokojnego do Kupangu na wyspie Timor.

Często w ciągu dni następnych wspominał Dick losy tego porywczego człowieka, lecz wspaniałego marynarza, gdy jego własne, spalone pragnieniem usta dopominały się o kroplę wody. Bligh dopłynął szczęśliwie do portu... A czy oni dopłyną? Gdzie znajduje się ich port zbawienia?

Słońce prażyło bezlitośnie, szare obłoki i gładka tafla wody odbijały promienie godząc nimi w garstkę spragnionych ludzi na pokładzie „Tanah”. W powietrzu ani śladu najłżejszego wietrzyka, żar nie do zniesienia.

Harry Drone starał się początkowo zagłuszyć pragnienie fajką, ale język wnet zeszytywniał mu jak kołek — skarżył się Dickowi. Trzeba więc było wyrzec się nawet wieloletniego przyzwyczajenia.

— Jak tak sobie człowiek pomyśli, że tu tyle wody dokoła, a nie można dostać jej ani kropli... — zaczął ochryplym głosem, wpatrując się w gładkie zwierciadło bezkresnego oceanu. — Czy tej wody morskiej w ogóle pić nie można?...

Dicka ogarnął lęk. Jeszcze gdy był małym chłopcem, nieraz słyszał opowiadane przez starych marynarzy historie. Większość z nich opisywała losy rozbitków, którzy na łódkach czy tratwach uratowali się z tonącego okrętu. I tam także powtarzała się historia o braku wody. Każdy z tych starych wilków morskich przestrzegał zawsze przed pić wody morskiej... Po chwili wyłuskał nawet z pamięci tragedię statku handlowego „Columbian”, który tuż przed pierwszą wojną światową spłonął na Atlantyku. Załoga uratowała się na trzech łodziach ratunkowych, które jednak szybko rozproszyły się na olbrzymich połaciach oceanu tracąc się nawzajem z oczu. W jednej z tych łodzi zmarł palacz ze statku, który napił się wody morskiej. Cały ten wypadek opowiedział Dick Harremu.

— Bo to można wierzyć we wszystko, co ludzie gadają?... — Harry ruszył ramionami, ale nie spuszczał wzroku z połyskliwych fal.

Na szczęście jednak w tym samym czasie i niezależnie od tej rozmowy pułkownik wydał surowy rozkaz w tej sprawie, co odwróciło oczy nie tylko Harrego, ale i wielu innych od tego „napoju śmierci”. Zachłannie obliczali teraz każdą kroplę wydzielanej im wody, którą sam White sumiennie i absolutnie sprawiedliwie rozlewał do blaszanych menażek.

Dick zdziwiony i zaniepokojony obserwował, jak niektórzy z nich niechętnym okiem patrzą na menażkę sąsiada — odgadywał niesłuszne podejrzenia, że nie wszystkie porcje wody są jednakowe. Zdziwienie jego rosło; znał przecież dobrze wszystkich kolegów — a przynajmniej tak mu się do tej chwili zdawało — wiedział, że jeden dla drugiego bez

namysłu, ochotnie, z jakąś sportową fantazją zaryzykowałby życie... A teraz ci ludzie zazdrościli sobie nawzajem kropli wody!...

Przyszło mu na myśl wykapać się w morzu — barka tkwiła w wodzie zupełnie bez ruchu. Brent po chwili wahania zgodził się. Dick wyszedł z wody niesłychanie orzeźwiony — prawdopodobnie najmniejsze ilości wody przeniknęły przez skórę, dotarły do żył i rozrzedziły zgęstniałą od upału krew. Zaraz też cała załoga poszła za jego przykładem.

Całe dwa dni trwały owe kąpiele, które najwyraźniej pomagały ludziom znosić pragnienie. W końcu jednak Brent musiał zabronić ich z całą stanowczością, ponieważ wokół barki zaczęła krążyć para rekinów. Pierwszy z nich zjawił się tak nieoczekiwanie i płynął tak szybko, że połowa załogi, która wraz z Brentem była właśnie w wodzie, dobrze musiała się spieszyć, by w ostatniej chwili wskoczyć na barcę.

Rekiny znikwały czasami na całe godziny, potem znowu ich trójkątnie płetwy zjawiały się niespodziewanie, szerokimi kręgami obiegały „Tanah” dokoła, zbliżając się szybko do barki, gdy tylko ktoś mocniej poruszył się na pokładzie. Dick był głęboko przekonany, że to wcale nie te same potwory, które po raz pierwszy zmusiły załogę do ucieczki z kąpieli. Harry natomiast był odmiennego zdania:

— To zawodowi grabarze, Dicku... — żartował ponuro. — Czekają na odpowiedni moment, by wyprawić nam pogrzeb we własnych żołądkach!... To te same, po płetwach je poznają...

Nie było sposobu wyperswadować mu tego, więc Dick w końcu dał za wygraną. Niepokoiła go tylko coraz bardziej myśl, że jego trzeźwy i rozsądny zawsze przyjaciel zaczyna ulegać jakimś halucynacjom. Sam jakoś dosyć dobrze znosił pragnienie, mógł nawet pomagać White’owi przy braniu namiarów.

Kapitan codziennie sprawdzał położenie barki co najmniej trzy razy: rano, w południe i wieczorem. Wiedział, że nieruchomość barki jest tylko pozorna, wszędzie bowiem w morzu istnieją prądy — czasem zupełnie niewidoczne — i że taki właśnie prąd niesie zapewne ich łódź. I nie mylił się wcale: niewidzialny prąd morski gnał ich stale w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, z przeciętną szybkością do ośmiu mil na dobę. Po trzech dniach sztilu White fakt ten już ostatecznie ustalił. Przez cały czas Japończycy pozostawili ich w spokoju. Raz tylko daleko na północy dostrzegli mglistą, zygzakowato posuwającą się szybko smugę dymu. Sądząc po tej właśnie szybkości, musiał to być dym z komina okrętu wojennego. Huku motorów samolotowych nie słyszeli ani razu; nad morzem leżała głucha, dławiąca cisza.

Czwartego dnia wieczorem wachtowy z masztu zameldował liczne dymy na północnym wschodzie, w odległości dziesięciu, piętnastu mil. Był to konwój statków transportowych, płynący na Nową Gwineę albo na Wyspy Salomona. Towarzyszyły mu liczne kontrtorpedowce i kanonierki; manewrując i klucząc między statkami, z przodu i z tyłu, nieustannie wypatrywały czyhającego wroga — podwodnych okrętów Sprzymierzonych. Rozrzucony na przestrzeni kilku mil, zestawiony ze statków o rozmaitej szybkości, konwój posuwał się powoli: niewidoczną dla niego z tej odległości barkę mijał w ciągu całej godziny.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy nad szeroko rozrzuconym zgrupowaniem statków ukazało się kilka samolotów. Nawet obserwowane przez lornetę zbyt były małe, by można było rozpoznać znaki, ale głuche odgłosy gwałtownej strzelaniny, niosące się po gładkiej tafli morza aż do barki, wskazywały niezbicie, że to samoloty Sprzymierzonych zaatakowały konwój.

W każdej innej sytuacji załoga „Tanah” z największym entuzjazmem obserwowałaby atak na konwój japoński, teraz jednak walka obudziła nieznacznie zupełnie zainteresowanie. Tylko Brent, White, Dick i dwaj jeszcze członkowie załogi, którzy mniej byli wyczerpani brakiem wody, obserwowali daleki, ledwie widoczny bój. A rezultatów jego mogli się tylko domyślać.

Wszyscy inni na pokładzie barki leżeli milczący i obojętni, ze splekanymi wargami, nie okazując najmniejszego zainteresowania.

Samoloty niedługo krążyły nad konwojem, najwyżej dziesięć minut, tak przynajmniej domyślał się Dick, zapomniał bowiem spojrzeć na zegarek w chwili, gdy Warren zameldował z masztu przylot maszyn. Zanim jeszcze odleciały — z wyjątkiem jednego, który runął w morze, nad konwojem ukazało się kilka potężnych gejzerów ciężkiego, tłustego dymu; ciemne, cłybocące się smugi widać było dobrze nawet gołym okiem.

— Rozwalili im jakiś tankowiec! — powiedział White, ale język miał tak zeszywniały, że niełatwo go było zrozumieć.

— I co to pomoże? — uśmiechnął się sarkastycznie Brent. — Oni mają całą ropę z wszystkich wysp indonezyjskich tuż przy linii frontu, a tymczasem my musimy dowozić benzynę na odległość dziesięciu tysięcy mil!...

Zapadła noc, na tle nieba w północno-wschodniej stronie widoczne były trzy ogniska pożaru — jarzyły się tuż nad morzem niby czerwone gwiazdy. Dick budząc się raz po raz z pragnienia obserwował je błyszczącymi od gorączki oczami. Aż wreszcie w pomroce świtu rozplynęły się zupełnie. Rozpoczął się piąty dzień bez wody.

XV

WRAK

Gdy słońce wychyliło się z oceanu, ów piąty, zionący żarem już od pierwszej chwili dzień obudził załogę „Tanah”, Przed chwilą jeszcze dygocący w nocnym chłodzie ludzie szukali teraz odrobiny wytchnienia w dusznym powietrzu pod płóciennym daszkiem, rozciągniętym między masztem i rufą barki.

Od chwili gdy „Tanah” utknęła w miejscu, kiedy zarówno przy zagłach jak i przy unieruchomionym sterze nic nie było do roboty, wachtę pełniło tylko dwóch ludzi, zmieniających się stale co dwie godziny. White wyznaczał ich zazwyczaj według własnego uznania, ale piątego dnia odstepił od tego zwyczaju i zwrócił się do załogi z apelem, by na pierwszą wachtę — od szóstej do ósmej — zgłosili się na ochotnika. Była to tak zwana „psia wachta”, podobnie jak i popołudniowa, od czwartej do szóstej; obie one poprzedzały moment rozdawania wody, załoga była więc najbardziej wyczerpana pragnieniem.

Dwukrotnie musiał White powtórzyć swój apel, zanim zgłosili się dwaj ochotnicy. Jednym z nich był Dick Stanton, który postanowił wziąć mniej przyjemną służbę na maszcie, drugim Pat Connor. Ten ostatni przejął nadzór nad porządkiem na pokładzie barki.

Dick przechodząc zaczął Harrego pogodnym „dzień dobry”, ale ten leżał zubożetniały na wszystko i ledwie rzucił nań okiem. Chłopak powoli wdrapał się na maszt i usiadł na wąskim siedzeniu. Najpierw gołym okiem, potem przez lornetę skontrolował jasnoszare, zionące straszliwym żarem niebo. Nigdzie nie zauważył nic, co mogłoby przypominać samolot. Wreszcie bardzo powoli — ruchy jego przypominały film puszczone w tempie zwolnionym — przeniósł lornetę w tę stronę, gdzie ubiegłej nocy paliły się trafione bombami lotników statki. Chwilę błędził wzmocnionym przez szkła lornety spojrzeniem po stalowoszarej tafli wodnej. Nigdzie nic — daremnie wypatrywał wraków spalonych statków.

Już miał skierować wzrok w inną stronę, gdy nagle w polu widzenia zjawiała się jakaś drobna plamka i natychmiast znowu znikła. Osłabione skutkiem pragnienia ręce ledwie mogły utrzymać ciężką lornetę — schwycił ją mocno jedną ręką, drugą podparł łokieć. Teraz już morze nie skakało przed oczyma. Po chwili szukania natrafił znowu na ów ciemny punkt.

Rzecz oczywista: coś płynie po wodzie, ale co to może być?... Przypomina kształtem wieloryba lub kaszalota, może jakieś inne wielkie zwierzę morskie... Chyba to nie rekin, bo przecież rekin tak mocno nie wynurza się z wody... — rozmyślał Dick. — Odległość wynosi

co najmniej dziesięć mil, musi to więc być coś dużego, skoro widoczne jest tak wyraźnie... Czyżby to wrak statku?... A jeśli, to bardzo dużego... Naturalnie, to wrak!

— Ahoj!... Wrak na północno-północny-wschód! — rzucił ochryłym głosem meldunek. — Odległość koło dziesięciu mil!

Wiadomość ta nie obudziła większego zainteresowania. Nawet White, który skończył właśnie mierzyć wraz z Connorem wysokość słońca, ledwie podniósł głowę znad swoich obliczeń.

Dick odłożył na chwilę ciężką lornetę i zaczął się rozglądać wokół barki: stała dotychczasowa asysta łodzi — rekiny — zniknęła. Otrząsnął się z obrzydzenia na myśl, że to nowa zdobycz z zatopionych statków konwoju na pewno je przywabiła. Przypomniał sobie własną przygodę z rekinem i w związku z tym przyszło mu nagle na myśl: jakże dobrze im było na tamtym atolu bez nazwy! By otrząsnąć się z tych myśli, sięgnął znowu po lornetę. Nęcił go ten wrak; szybko skierował lornetę w tę stronę, gdzie widział go przed chwilą. Ale tam go nie było. Dopiero po dobrych paru minutach udało mu się go odszukać. I nagle wydało mu się, że jest nieco bliżej niż poprzednio... Nie przestawał go już obserwować.

Przed opuszczeniem swego stanowiska zdołał ustalić, że wrak stale się przybliża. Gdy po śniadaniu był nieco silniejszy i umysł jego pracował mocniej, nagle błysnęła mu myśl... W pierwszej chwili zdumiała go samego, ale w miarę gdy się zaczął zastanawiać, dochodził do wniosku, że wnioskuje zupełnie logicznie. Wreszcie nie wytrzymał i poszedł do White'a.

— Więc przypuszczacie, że na tym wraku może być woda? — powtórzył za nim White z niedowierzaniem.

— Wcale nie wykluczone! — upierał się Dick. Wszystko zależy od tego, w którym miejscu statek został trafiony...

White namyślał się chwilę, potem odwołał wachtowego z masztu, wziął z jego rąk lornetę i sam zajął jego miejsce. Widział wrak zupełnie wyraźnie. Odległość obliczył na oko na sześć mil. Wrak najwyraźniej płynął — prędzej czy później kurs jego przetnie się z kursem dryfującej powoli na wschód „Tanah”. Raz jeszcze przyjrzał się wrakowi uważnie. Zaintrygowała go jego dziwaczna pozycja: wystająca z wody rufa wznosiła się wysoko nad powierzchnią morza, pokład zaś wraz ze złamanym tuż nad piątą masztem opadał stromo w wodę.

Statek zanurzył się lewą burta i dziobem pod powierzchnią morza. Wydało mu się mało prawdopodobne, by to bomba lotnicza dosięgła go na dziobie poprzez wodoszczelne grodzie, których w tym miejscu właśnie jest wiele. Raczej był skłonny przypuszczać, że była to torpeda powietrzna, która przebiła dziób pod linią zanurzenia z lewej strony — na to przynajmniej wskazywało położenie statku. Statek był dużych wymiarów. White obliczał go co najmniej na dziesięć tysięcy ton. W niczym nie przypominał także tankowca, co mogłoby wróżyć znalezienie raczej ropy niż wody.

Zszedłszy z masztu oddał lornetę wachtowemu, który znowu zajął swe stanowisko. Ale koncepcja młodego Australijczyka nie schodziła mu już z myśli; jak się rychło przekonał, obudziła ona także duże zainteresowanie najbardziej wyczerpanych, najzupełniej zobojętnianych ludzi załogi. Sam Harry, który już bezwładny i wpół przytomny leżał na pokładzie, dźwignął się z wysiłkiem i podszedł do niego pytając, co myśli o tej sprawie.

— Może tam być woda — odpowiedział z rezerwą. — Oczywiście, warto by się o tym przekonać, tylko że dla nas za daleko. Gdybyśmy byli w pełni sił, próbowałbym przywiązać barkę do dingi i podciągnąć ją do wraku. Ale w tej sytuacji nie damy rady.

— A może prąd go tu przyniesie... — wtrącił Harry z obudzoną nagle nadzieją.

Widocznie zdanie jego podzielali i inni ludzie z załogi, gdyż nieustannie zarzucali wachtowego na maszcie pytaniami, jak daleko znajduje się wrak. W momencie zmiany wachty zgłosiło się tylu ochotników, że White niełatwo miał wybór. Rozstrzygnął kwestię jak

Salomon: zrezygnował z normalnego, południowego ustalenia położenia barki i sam objął wachtę na maszcie.

Tymczasem wrak był znowu nieco bliżej niż poprzednio. Teraz było już jasne, że morze niesie go w kierunku południowo-wschodnim, a więc kursem odmiennym niż dryfującą na wschód barkę. Fakt ten nie zdziwił kapitana wcale — wrak był zanurzony znacznie głębiej, więc też natrafił na inne niż barka prądy. White zaczął obliczać dokładnie, na jakiej odległości znajdzie się on na kursie ich barki. Rezultat obliczeń przyniósł mu jednak rozczarowanie: dwie do trzech mil. Naiwnością co prawda było liczyć, że morze usłużnie podsunie wrak aż pod samą łódź, ale mimo wszystko i on także przyłapał siebie na tak szaleńczej nadziei. Zawoławszy na jednego z ludzi, by zastąpił go na maszcie, zszedł na dół chcąc naradzić się z Brentem.

— Podjąłbym się z czterema wiosłarzami na dingi dobić do wraku, kiedy będzie najbliżej — kończył swoje wywody.

— A zagwarantuje mi pan, że ludzie ci powrócą na pokład barki? — spytał go otwarcie pułkownik.

— Nikt uczciwy takiej gwarancji dać panu nie może, pułkowniku — White ruszył przy tym ramionami.

— Wobec tego nie mogę się zgodzić! — stanowczo zakończył Brent.

Nikt z załogi nie słyszał prowadzonej na rufie rozmowy. Brent nie miał już zaufania do postawy moralnej wykolejonej tragicznym brakiem wody załogi. Obawiał się, że na wiadomość, iż oba statki nie spotkają się, ludzie mogą próbować siłą opanować łódkę i dostać się na wrak. Wzrok kapitana padł na tłoczących się wokół masztu ludzi.

— Może się mylę — dodał po chwili. — Może wrak przybliży się na tyle, że uda nam się barkę do niego dociągnąć.

Brent tylko pokiwał głową.

— Poczekajmy — przeciął krótko rozmowę.

Podniecenie na barce wzrosło jeszcze bardziej, gdy wrak znalazł się już tak blisko, że gołym okiem było go wyraźnie widać. Nagle obudziła się w ludziach tak charakterystyczna dla Angloamerykanów pasja robienia zakładów. Zakładano się, czy i kiedy wrak dotrze do barki. W jakiś czas później, kiedy było już jasne, że wrak minie barkę, zakłady zmieniły się: stawiano na przybliżoną najmniejszą odległość między obu statkami. Nastrój i postawa załogi uległa takiej zmianie, że Brent na nalegania White'a zdecydował się wydać rozkaz podholowania barki do wraku. Mimo iż dzięki temu wszelkie zakłady stały się bezprzedmiotowe — ponieważ najmniejsza odległość między statkami miała być sztucznie skrócona — i ci także, którzy porobili zakłady wraz z resztą załogi rozkaz ten powitali gromkim: „hurra”. Nikomu nawet nie przyszło na myśl zaproponować, by tylko dingi przebyła przestrzeń dzielącą oba statki.

Przy spuszczeniu dingi na wodę wszyscy prześcigali się w gorliwości, przeszkadzając sobie nawzajem. Podwójna lina połączyła oba statki różnej wielkości, wiosła uderzyły o wodę. Przy jednym z nich siedział White.

Brent z wyżej położonego pokładu barki ustalał kurs dingi. Za czas jakiś miał zastąpić White'a, zaś kapitan miał zająć jego miejsce.

W najlepszym nastroju całej załogi zaczęło się mozolne wiosłowanie, najczarniejsza praca marynarska, która zniknęła już na dobre z chwilą zastosowania na statkach pary i innych sił napędowych.

Siedzącym przy wiosłach ludziom jakby cudem wróciły siły, zbędne były nawet słowa zachęty i wesołe pokrzykiwania kolegów z pokładu barki.

A White siłą odtrącał od siebie myśl: co będzie, gdy nie znajdą tego, czego będą na wraku szukać?...

A jednak kapitan omylił się w obliczeniach najmniejszej odległości, na jaką prądy morskie zniosą oba statki. Morze okazało się litościwe i odległość tę skróciło o dobry kawałek. Mimo to jednak siły pierwszej zmiany okazały się niewystarczające. Ludzi trzeba było dwukrotnie zmieniać; dopiero po trzech godzinach barka pokonała przestrzeń półtorej mili, trzy kwadransy drogi dla dobrego piechura.

Stały wreszcie obok siebie: ogromny wrak, którego reling wznosił się przynajmniej dwadzieścia stóp nad wodą i niepozorna barka. Były tak blisko, że z pokładu statku łatwo można by skoczyć na barkę — oczywiście gdyby pokład ten był poziomy. A tymczasem był on nachylony do powierzchni wody pod kątem przynajmniej sześćdziesięciu stopni, niczym stromy dach. White wraz z ludźmi dopiero przy pomocy liny, zarzuconej na pięć złamanego masztu, dostali się na pokład. Druga lina, naciągnięta w podobny sposób między masztem a relingiem na rufie, pozwoliła im dotrzeć do luku rufowego, a stamtąd do wnętrza kadłuba i jego pomieszczeń. W każdym innym okolicznościach White nawet by tego nie próbował, ale od razu okazało się, że to najwyraźniej statek transportowy: nazywał się „Kitsuki Maru” pochodził z Nagasaki na wyspie Kiu-Sziu i służył do transportu wojska. Na statkach tego typu zużycie słodkiej wody jest duże, co powoduje umieszczenie zbiorników nie tylko na dziobie jak zwykle, ale wszędzie, gdzie się tylko da.

Na stromo pochyłonym pokładzie nic się nie utrzymało, zresztą ludzie z „Tanah” niczego tu nie szukali: przyszli po wodę, a ta mogła znajdować się tylko pod pokładem. Pierwszy zaczął schodzić pod pokład White. Na razie było sucho, aż do miejsca, gdzie nachylenie statku umożliwiło dostęp wodzie morskiej. Podłoga korytarza, również nachylona jak pokład, tworzyła wraz z lewą ścianą żleb, którym niełatwo było się posuwać. Toteż White wraz z Dickiem i Connorem szybko zrezygnowali. Ale mieściły się tu także wielkie kajuty mieszkalne dla transportowanych żołnierzy. Rozsuwane drzwi częściowo były pootwierane, częściowo porozbijane siekierami: widocznie po storpedowaniu statku ludzie szybko szukali drogi do ucieczki. Wszystko, cokolwiek nie było przymocowane, leżało potłuczone i porozbijane na bocznej ścianie, na której po przechyleniu statku zgromadził się stos rupieci.

Connor wszedłszy do jednej z kajuł chrapliwym głosem wezwał pozostałych. Z trudem wdarli się do niskiej, długiej kajuty. Tu spostrzegli, że rudy Irlandczyk z głową odrzuconą do tyłu pije coś z butelki wysuszając ją do dna. White rozejrzył się uważnie: nad wąskimi kojami przy ścianie, która teraz zastępowała pułap pomieszczenia, zauważył okrągłe podstawki i pierścieniowe uchwyty na butelki z wodą. Większość z nich była pusta, niektóre potłuczone walały się pod drugą ścianą, inne jednak utrzymały się, a w paru nawet było jeszcze trochę wody.

Dick nie czekając nawet na pozwolenie White’a skoczył w górę wzdłuż pochyłej podłogi, schwycił się koi i podczołgał się do butelki z drogocenną wodą. Oczywiście była obrzydliwie ciepła, ale mimo to miał uczucie, że nigdy w życiu nie pił nic równie dobrego.

Wypili wszystko, co udało im się znaleźć. Brał udział w tej uczcie także i White, nie czując bynajmniej wyrzutów sumienia, że zapomnieli o innych. Ponieważ wzięli na siebie wraz z dwoma towarzyszami obowiązek odszukania zbiorników z wodą, potrzeba im było do tego sił.

Nie zatrzymując się dłużej zeszli niżej, na drugi międzypokład. Obraz był taki sam — tu także lokowano wojsko. Różnica polegała tylko na tym, że woda od dziobu zalewała tu już większą część korytarza, którego podłoga leżała o siedem stóp niżej. Ale zbiorników z wodą nie znaleźli. Zresztą White nie liczył na to wcale — jeśli są one na statku w ogóle, to raczej znacznie niżej, na trzecim lub czwartym międzypokładzie. Żywił przy tym poważne obawy, że wszędzie tam już sięgnęło morze.

Z chwilą gdy zeszli na trzeci międzypokład i stanęli w korytarzu wiodącym do maszynowni, okazało się że obawy White’a były słuszne. Po obu stronach korytarza mieściły się magazyny, wypełnione bez wątpienia żywnością — wskazywała na to struga

ryżu sypiącego się przez pękniętą ścianę. W słabym docierającym tu do korytarza przez luk świetle podziwiali tę powódź ryżową, potem brodząc po kostki w ryżu dotarli do czarnej, tłustej i cuchnącej wody, do której padały nieustannie sączące się strumieniem ziarenka ryżu. Stanęli zawiedzeni.

— Jeżeli mogą gdzie być jakieś zbiorniki z wodą, to tylko tutaj, w pobliżu maszynowni, która bez słodkiej wody obejść się nie może — odezwał się White.

— Sprawdzę na podłodze, sir — zaproponował Dick, który był w dobrej formie po tych paru łykach ciepłej wody na pierwszym międzypokładzie.

Nie czekając na pozwolenie, którego mu zresztą po namyśle White udzielił, zrzucił szorty i koszulę i, przebiwszy pływającą na powierzchni warstwę ryżu zanurzył się w obrzydliwą, brudną wodę, wypełniającą całe pomieszczenie aż po próg. Pod wodą szybko skoczył do przodu, ale mocne uderzenie w kolano przypomniało mu, że znajduje się nie na powierzchni otwartego morza, ale w ciasnym, pełnym jakichś gratów pomieszczeniu statku.

Schyliwszy się zaczął sprawdzać, o co się uderzył. Trafił na ostry kant. Skontrolował go na znacznej długości, dotarł do narożnika.

... Może to ten upragniony zbiornik z wodą, a może i nie — myślał Dick. — Równie dobrze może to być skrzynia z narzędziami, których tu powinno być dużo.

Nie mógł od razu zbadać wszystkiego dokładnie, ponieważ Zabrakło mu tchu w piersiach. Wynurzył się na powierzchnię twarzą do ściany, która właściwie teraz była sufitem ciemnego, ponurego pomieszczenia.

Odetchnął głęboko, gdy nagle poczuł dotknięcie zimnej ręki na nagich plecach.

Głuchy okrzyk przerażenia wyrwał mu się z ust, dotarł aż do czekających na skraju wody kolegów.

— Co się tam stało, Stanton? — wołał White.

Dick opanowawszy instynktowne uczucie przestrachu odwrócił się szybko. Znalazł się tuż naprzeciwko woskowo żółtej twarzy z kosymi oczami i ohydnie wyszczerzonymi zębami. Leżała spokojnie ledwie na stopę od niego, kołysząc się lekko rytmem falującej wody. W zielonawym, odbitym od wody półmroku wyglądała koszmarnie. Ale Dick już opanował się zupełnie.

— Nic, jakiś topielec wpadł na mnie — krzyknął w odpowiedzi na pytanie White'a.

— A znalazłeś co? — interesował się Connor.

— Coś znalazłem, tylko nie wiem jeszcze co. Popatrzę jeszcze raz...

Po chwili już pod wodą badał ręką połączone ze zbiornikiem rury. Natrafił także na wystający czop i zamykającą go zatyczkę, zakreconą dokładnie. Teraz już wiedział na pewno, że to zbiornik, a nie skrzynia. Pozostawało tylko przekonać się, czy nie jest pusty, dalej stwierdzić, czy nie zawiera przypadkiem niepotrzebnej nikomu ropy do maszyn zamiast upragnionej wody.

— To znaczy, że prawdopodobieństwo jest jeden do trzech, iż znajdziemy to, czego szukamy — rzekł Connor po powrocie Dicka.

Chwilę naradzali się we trójkę, co robić dalej.

— Wszystko to jeszcze mało, by mieć pewność, ale na razie musimy się i tym zadowolić — uśmiechnął się White.

Trzeba było wrócić na górę, przynieść z barki węża, pompę i naczynie, a nawet więcej naczyń, jeśli w zbiorniku istotnie znajdzie się woda. White wyszedł po schodach na górny pokład i zawołał na ludzi z przycumowanej do wraku barki, by mu na linie podano żądane przedmioty.

W odpowiedzi runęła nań lawina pytań. Przynajmniej sześciu ludzi krzyczało naraz, więc oczywiście nie zrozumiał ani słowa. Ruchem ręki nakazał ciszę.

— A nie wrzeszczcież jak stado pawianów! — skarcił załogę. — Ej, chłopcy pomyślcie trochę!... Po cóż nam te przedmioty, bawić się tu nimi będziemy, czy jak?... Wody wam jeszcze zagwarantować nie mogę, ale...

Mimo tych zastrzeżeń na barce znów podniósł się radosny gwar. Tymczasem i Connor wyszedł na pokład: zaczął pomagać White'owi znosić wszystko na trzeci międzypokład.

— Pójdziecie jeszcze raz? — zwrócił się White do Dicka z pewnym powątpiewaniem w głosie.

— A któż inny pójdzie?... Ja już znam drogę! — obruszył się chłopak.

Schwyciwszy koniec węża zacisnął go mocno w dłoni, by nie dostała się do środka wstrętnie cuchnąca woda z maszynowni, gdzie pływał utopiony człowiek, i ruszył znowu pod wodę. Zbiornik znalazł od razu, dwukrotnie jednak musiał wypływać, by zaczerpnąć powietrza, zanim udało mu się nałożyć koniec wąskiego węża na trochę szerszy otwór czopu. Wreszcie się udało. Sprawdziwszy, że wąż mocno siedzi, zameldował, iż wszystko jest w porządku, wystarczy tylko odkręcić zatyczkę. Jeszcze jeden wysiłek — i to także już zostało zrobione. Teraz nic już nie było do roboty w tym obrzydliwym, ciemnym pomieszczeniu z pływającym topielcem. Dick wyszedł więc na górę.

Zdażył właśnie, by asystować przy najciekawszym momencie: Connor zaczął pompować, a White podstawivszy wiadro pod ujście pompy czekał, co się pokaże. Ręczna pompa zachrapała, tłok pociągnął powietrze wraz z odrobiną wody, która mimo starań Dicka dostała się przy włączaniu do węża. Kapitan szybko cofnął wiadro przed tym niezbyt atrakcyjnym płynem. Wreszcie odezwał się znany, głęboki dźwięk, znak, że pompa ciągnie płyn już bez powietrza, że płynie coś gładkim strumieniem.

White szybko podstawivł wiadro. W korytarzu światło było bardzo marne, nie mógł więc rozpoznać, co to za płyn, ale serce zabiło mu radośnie, ponieważ nie stwierdzał nosem znanego zapachu ropy.

— Chyba woda — rzucił cicho.

Natychmiast też przekonał się, że to woda: cudownie czysta i dosyć chłodna, gdyż morze chłodziło zbiornik.

Wypili niemal pół wiadra „za zdrowie tego, kto pierwszy wystąpił z projektem, by wybrać się na wrak w poszukiwaniu wody” — jak powiedział sam White. Ten dowód uznania nappełnił serce Dicka głęboką radością. Oto pełne zadośćuczynienie za nagane, jaką otrzymał na atolu od dowódcy za pływanie wbrew zakazowi z dała od brzegu! Jaka szkoda, że w tym momencie nie było w pobliżu Brenta...

— Mam wrażenie, że my tu na statku opiliśmy się już dostatecznie wody. Czas najwyższy posłać także coś tamtym, na „Tanah” — rzekł White gdy opróżnili już wiadro do dna, podając je sobie od ust do ust.

Zabrali się żywo do roboty, ale sprawa nie była łatwa, jak się teraz okazało. Najprościej byłoby przepompowywać wodę ze zbiornika wprost na barcę, ale do tego celu wąż okazał się za krótki. Trzeba to było zorganizować inaczej. Na wrak przeszło z barki jeszcze kilku ludzi; orzeźwili się oni resztkami wody z zapasów, którą Brent — otrzymawszy radosną wiadomość — natychmiast rozdzielił między załogę. Trzech ludzi na zmianę pompowało wodę, trzej inni wyciągali na górę pełne wiadra przynoszone do luku przez łączników. Z górnego pokładu wiadra zjeżdżały już ostrożnie po linie w dół, na barcę. Zbiornik jakby nie miał dna: srebrzysty strumień wciąż jeszcze płynął z pompy, chociaż z „Tanah” nadszedł meldunek, że nie mają już gdzie wlewać wody.

— No dosyć, chłopcy, nie opijajcie się tak tą wodą! — napominał Harry, który szybko odzyskał dobrą formę i brał czynny udział w transportowaniu wody.

Napełnili jeszcze ostatnie wiadro, którym nosili wodę od pompy. Dick twierdził, że w zalanej ładowni czuje się „jak u siebie w domu”, dał więc raz jeszcze nurka, by zdjąć węża ze zbiornika. Jako ostatni opuszczał wrak, który oddał im tak niezwykle usługi. Zdjąwszy

linę, którą barka umocowana była do wraku, przepłynął wpływ niewielką odległość dzielącą oba statki. Odległość ta powoli zaczynała się zwiększać.

Historia z wodą zabrała im kilka godzin czasu, zmusiła do pracy całą załogę. Ludzie z wielkim apetytem zjadali teraz kolację, popijając ją licznymi kubkami herbaty.

Wrak oddalał się powoli na południe. Odprowadzały go spojrzenia całej załogi.

— Pierwszy japoński statek, który do końca życia będę z rozkoszą wspominał! — rzekł Harry do Dicka wyciągając z kieszeni starą, wysłużoną fajkę. Z uśmiechem zadowolenia na twarzy zaczął ją starannie nabijać tytoniem.

XVI

CYKLON

Duszna i parna noc, jaką przeżyła załoga „Tanah” po spotkaniu z wrakiem statku japońskiego „Kitsuki Maru”, była chyba ze wszystkich dotychczasowych najgorsza. Normalnie zaraz po zachodzie słońca występowało znaczne ochłodzenie powietrza, tym razem jednak tak nie było: ołowiane wieko dławiącej wilgoci tłoczyło i powodowało, że ludzie z trudem chwyтали oddech.

— Nieraz bywałem już w krajach tropikalnych, ale tak podłej nocy jeszcze nie przeżywałem! — żalił się White’owi Harry paląc fajkę na dziobie barki.

Pełnych wacht nie zaciągnano, ponieważ „Tanah” wciąż jeszcze nie miała wiatru, mimo to większość ludzi skutkiem upału nie mogła spać. Tylko Dick i dwaj lub trzej chłopcy w jego wieku rzetelnie wypoczywali po pracy. Nie mąciło im snu kołysanie barki, która całkowicie nieruchoma tkwiła na gładkiej tafli wodnej.

White spojrział na barometr. Zaskoczył go fakt, że ruchoma wskazówka uparcie trzyma się stałego miejsca podziałki, oznaczającego wysokie ciśnienie atmosferyczne.

— No co, stała pogoda, prawda? — żartował Harry zaglądając mu przez ramię.

— To właśnie mnie niepokoi! Spójrzcie na niebo!... — odparł White.

Harry spojrział w górę; mimo ciemności zauważył czarną zasłonę chmur nadciągającą od zachodnich krańców horyzontu, brzegiem sięgającą już niemal zenitu.

— Coś mi to wygląda na burzę — zauważył z troską. Wyczuł raczej niż dostrzegł, że kapitan w odpowiedzi skinął głową.

— Co tam, James, spodziewacie się zmiany pogody? — zapytał Brent zbliżywszy się do nich cicho.

— Spodziewam się... I to nie byle jakiej — odpowiedział kapitan. — Żagle mamy co prawda zwinięte, ale mimo wszystko trzeba przygotować dryfkotwę.

I poszedł na rufę; Harry zaciekawiony pobiegł za nim. Odsunawszy uważnie jednego z młodych śpiochów — który zresztą nie obudził się nawet — kapitan dostał się do skrzyni, gdzie przechowywał rozmaite narzędzia. Chwilkę szukał po ciemku, wreszcie wydobył długi, mocny worek płócienny i podał go Harremu. Grzebiąc dalej wśród najróżniejszych rupieci namacał duży, drewniany krzyż i wydobył go także. Zamknawszy skrzynię ułożył znowu śpiącego chłopaka na dawnym miejscu. Po drodze na dziób schylił się po linę, których sporo poniewierało się wszędzie na łodzi. Na dziobie barki przywiązał linę jednym końcem do kółka, umocowanego na stewie dziobowej.

— Co to będzie z tego, co pan tu robi? — pytał zaciekawiony Harry przyglądając się tym przygotowaniom.

— Zobaczycie niedługo. Potrzymajcie mi ten worek, otwierając 70 ile się tylko da! — prosił White.

Harry trzymał, a White przy pomocy krzyża usztywnił otwór worka tak, by nie mógł się zamknąć. Końce krzyża przymocował do płótna cienkim, bardzo mocnym sznurkiem jedwabnym, przszytym do płótna w czterech punktach. Drugi koniec umocowanej na dziobie liny zawiązał mocno na środku krzyża.

Z zadowoleniem spojrzął na swoją pracę.

— No, teraz jesteśmy gotowi na wszelką ewentualność — tłumaczył Harremu ocierając ręką pot z czoła. — Jeśli zerwie się wiatr przychylny, natychmiast postawimy grot, ale jeśli uderzy w nas wiatr mało przydatny, wówczas rzucimy tę dryfkotwę na dziobie i możemy już spać spokojnie.

— Bardzo rad bym wiedzieć, co nam pomoże ten kawał płótna i to drzewo, jeśli będziemy mieli nie sprzyjający wiatr?... — dopytywał się nieufny Harry.

— Ach, bo ja stale zapominam — zaśmiał się White — że nie wszyscy ludzie to fachowi marynarze. A swoją drogą dziwi mnie to, że pan, człowiek tak doświadczony, nie wie, co to jest dryfkotwa.

— Ależ ja nie jestem marynarzem — bronił się Harry. — Jak trzeba to wypływam na morze... Oczywiście: wolałbym na czymś trochę solidniejszym, niż ta mała łajba! Na żadnym statku nigdy nikt mi dotąd nie pokazał starego worka wraz z kawałkiem drzewa twierdząc, że to świetny środek na nieprzychylny wiatr...

Teraz White roześmiał się już głośno.

— Bardzo wierzę, ponieważ tam nie przydałoby się to na nic. Posłuchajcie, całą tę historię bardzo łatwo wyjaśnić w paru słowach. Jeśli mam wiatr zbyt silny, któremu nie chcę powierzyć barki, albo też wiatr niekorzystny, który mógłby mnie zanieść tam, gdzie wcale nie pragnę — a bardzo się obawiam, że w naszym wypadku tak właśnie będzie — zwyczajnie wyrzucam tę oto historyjkę na dziobie za burtę.

— No i co wtedy?... — Harry wyraźnie mu nie dowierzał.

— Ta dryfkotwa będzie mi stale trzymała łódź pod wiatr, barka zaś będzie się ślizgała po fali jak kaczka. Przez burty nie przeleje się ani kropla, nawet jeśli fale dokoła będą na dziesięć stóp wysokie...

— Dajcie spokój, kapitanie! Eh, takie tam marynarskie gadki! — oponował Harry.

— Słuchajcie, Harry, to przecież zupełnie naturalne — wtrącił się do rozmowy Brent. — Worek płynie tuż pod powierzchnią i nie jest wystawiony na wiatr. Wiatr naciska na burtę łodzi i odwraca ją stale tak, by stawiała mu możliwie najmniejszy opór, czyli dziobem ku sobie. Odsuwa ją od dryfkotwy, na którą nie ma wpływu, ta przy pomocy liny trzyma łódź stale w kierunku pod wiatr, jak prawdziwa kotwica zaryta mocno ramionami w dno morskie.

— W głowie mi się nie mieści... Żeby taka śmieszna historyjka mogła utrzymać stale pod wiatr łódź tak wielką jak nasza... — Harry wciąż jeszcze miał wątpliwości.

— Utrzyma i większą od naszej, nawet szkuner z pełnym ożaglowaniem! Rzecz prosta: na wielkie parowce, na których pływaliście dotychczas, byłaby za słaba — śmiał się White. — Coś mi się zdaje, że przy tej waszej aferze na Krecie dowiózł was do brzegu parowiec o nośności pięciu tysięcy ton... I to przy uprzejmej współpracy załogi niemieckiej, prawda?

Harry wybuchnął śmiechem. Chciał coś odpowiedzieć, ale uprzedził go Brent:

— Nie, James. To był okręt podwodny i gumowe dingi... Dajmy już spokój tym teoriom, najlepiej się Harry zapozna z dryfkotwą w praktyce. Powiedzcie mi: gdzie my teraz jesteśmy mniej, więcej?

— Według ostatnich namiarów, jakie brałem rano, gdzieś w połowie odległości między Wyspami Sabalan i większą wyspą Tana Dżampeja, wprost na północ od atolu, z którego wypłynęliśmy. Tak daleko zaniósł nas morze w ciągu tych pięciu dni...

Słowa jego przerwało mocne uderzenie wyraźnie chłodnego wiatru.

— Ach, jaka to przyjemna rzecz taki chłodny wiaterek — ucieszył się Harry. — Szkoda tylko, że tak go mało...

— Poczekajcie, za chwilą będzie go grubo więcej, aż wam w końcu obrzydnie — dorzucił z powagą White.

Na razie nic nie potwierdzało słuszności jego słów. Po pierwszym, właściwie dość słabym uderzeniu wiatru, znów zaległa cisza. White wydobywszy z kieszeni mały barometr chwilę

obserwował go z bliska, by sprawdzić dokładnie fosforyzującą wskazówkę i tarczę, potem podsunął go tamtym. Harry, który widział barometr przed chwilą, teraz ze zdumieniem wpatrywał się w wskazówkę: tworzyła znaczny kąt z nieruchomym punktem na podziałce, mimo iż przedtem pokrywała go dokładnie.

— A tak, ciśnienie spadło o dobry cal — stwierdził White, widząc jego zdumienie.

— To znaczy, że będzie burza? — dopytywał się zciekawiony Brent.

— Nie burza, ale cyklon idzie od brzegów Indii, pułkowniku — spokojnie sprostował White.

— Cyklon!... — syknął zaskoczony Harry.

Przypomniał sobie, iż nieraz czytał o wielkich, wielotysięcznych statkach, rzucanych siłą cyklonu na brzeg.

— Nie będę czekał, pułkowniku, rzuć tę dryfkotwę od razu — odparł White i z pomocą Harrego przerzucił długi worek przez burtę na dziobie.

Worek niemal całkiem zanurzył się w wodzie, mały tylko kawałek wystawał nad poziomem morza. Trzymał się tuż przy burcie — większa część liny, którą był przymocowany, została na pokładzie.

— Na razie nic innego zrobić nie możemy. Początkowo wiatr będzie zachodni, a więc wyraźnie nieprzychylny. Co będzie później, tego panu nikt zawczasu określić nie potrafi, pułkowniku — mówił kapitan. — Wszystko zależy od tego, w jakim punkcie cyklonu się znajdziemy. Wypadałoby życzyć sobie, aby nie na drodze, którą przejdzie trąba powietrzna i wodna... I byśmy byli dość daleko od brzegu, o który wichur mógłby nas roztrzaskać jak łupinę orzecha.

Harremu już zupełnie przeszła ochota do spania; w chwilę później nikt zresztą już nie spał na pokładzie barki. Porywiste uderzenia wiatru szły jeden za drugim, a powtarzały się tak często, że gładka dotąd powierzchnia morza zaczęła się burzyć, wysokość fali rosła z każdą chwilą. Barka kołysała się nieprzyjemnie — gwałtowne jej skoki postawiły na nogi najgorszych nawet śpiochów. Powietrze ochłodziło się znacznie; ludzie szybko naciągali nieprzemakalne płaszcze.

— Aha, jest już dryfkotwa! Ho, ho, White to stary wilk morski. O niczym nie zapomni — z uznaniem mówił Dick, stojący wraz z grupą kolegów na dziobie, skąd White właśnie odszedł na rufę, do steru.

— Skąd ty wiesz, że już jest dryfkotwa? — zaatakował go wiecznie nieufny Harry. Daremnie przecież wpijał wzrok w ciemności, by dostrzec wynurzający się brzeg płóciennego worka. Nigdzie ani śladu, przepadł zupełnie wśród grzebieni fal.

— Nie warto patrzeć — zaśmiał się głośno Dick. — Dajcież tu rękę.

Schwyciwszy palce Harrego położył je na linie łączącej worek płócienny z przednią stwą. Na twarzy Harrego odbiło się nieklamane zdumienie: lina naprężona była jak struna, aż warknęła pod palcami.

— To wprost nie do wiary — mruknął. — Naprawdę tak wygląda, jakby coś sunęło przed nami i ciągnęło za sobą...

Wiatr nie ustawał ani na chwilę, chłopcy na dziobie dobrze musieli trzymać się nadburcia, by oprzeć się jego uderzeniom. A uderzenia te powtarzały się raz po raz, osiągając już siłę orkanu. Wichura porywała słowa od ust i niosła je gdzieś w ciemności. Harry, chcąc porozumieć się ze stojącym ledwie o dwie stopy dalej Dickiem, musiał krzyczeć z całej siły. Fale biły o dno łodzi, rozбивały się o stępkę, przewalały się jedna przez drugą, rozpryskiwały się i wspinały tak wysoko z obu stron łodzi, że Harry nie ustannie miał wrażenie, iż te góry wodne zwałą się na nich i pogrzebią pod sobą. Dziwna rzecz jednak; White miał rację — przez niskie nadburcie nie przeleciała ani jedna kropla wody. Barka spływała zgrabnie po stromych zboczach gór wodnych, zapadała w głębokie wąwozy między dwiema falami

i znowu po przeciwległym zboczach wspinała się powoli na kolejny szczyt. Tak przynajmniej wszystko to rysowało się w oczach Harrego...

Jakaś tajemnicza siła ciągnie łódź naprzód, fale prześlizgują się pod nią... Rozcinane stępką, która tnie je tak jak nóż tnie bochenek chleba, posłusznie niosły starą barkę na grzbietach.

— Świetna ta wasza dryfkotwa — krzyczał Harry do Dicka z wielkim uznaniem. — Może człowiek naprawdę spać spokojnie, a nawet całą burzę przespać. Choćby i czternaście dni trwała...

Dick uśmiechnął się w ciemnościach. Nie chciał odbierać koledze przyjemnych złudzeń, wiedział jednakże, że sytuacja nie przedstawia się tak różowo, bo niechby tak lina pękła — w ciągu paru sekund pochłonie ich wszystkich morze. W tych warunkach nikt na całym świecie nie potrafi postawić żagla i zwrócić łódź na wiatr, pierwsza lub druga fala od razu przewróci ją na bok. Prócz tego wiatr każdej chwili może przeskoczyć — co przy burzach tego rodzaju bardzo często się zdarza — a potem będzie już to samo, co przy pęknięciu liny: łódź nie zdąży obrócić się z wiatrem, a on już zwali olbrzymią falę na jej burtę, zamiast pędzić ją na dziób, i bezapelacyjnie ją przewróci.

Oczywiście Harry o śnie mówił tylko w przenośni — w rzeczywistości nie podobna było o spaniu myśleć nawet. Szaleńcza muzyka wichru i morza nie ustawała ani na chwilę. I na dodatek jeszcze włączyło się do tego niebo: groźnymi strumieniami wody runęła z góry straszliwa ulewa, która zatopiłaby ich bardzo szybko, gdyby się nie bronili.

— Patrzcie tylko, co tu naraz tej wody! — zrzędził Harry czerpiąc szybko wodę z barki przy pomocy pustej puszkę od konserw.

— Tylko że niewiele warta, sprawdźcie jaka ciepła! — odezwał się pracujący tuż obok niego Dick.

Harry nabrał wody w dłoń: istotnie była obrzydliwie ciepła. Gdy wziął ją do ust, wydało mu się, że pachnie siarką.

— Coś ty taki wybredny?... Wczoraj smakowałyby ci i taka... I to jak jeszcze! — przygadywał Dickowi.

Zabrał się znowu do wyczerpywania wody, ale stale miał wrażenie, że wody tej nie ubywa wcale. Chociaż cała załoga dzielnie walczyła z ulewą, barka pełna była aż po same brzegi. Harry pracował jak galernik, pot lał się z niego strumieniami. Płaszcz zrzucił już dawno — czyż to nie wszystko jedno kąpać się we własnym pocie, czy w zalewających ich nieustannie strugach deszczu?

— I co z tego, że z morza nie prysnie nam tu ani kropla wody, kiedy ten deszcz nas zatopi?... — mamrotał.

— Ej, zawsze różnica jest... Z deszczem mamy sobie jakoś radę, a z falami... szkoda gadać! Spójrzcie tylko!

Harry rzucił okiem na potężne, wysokie bryły fal, przewalające się tuż obok barki. Goniły niezmordowanie jedna za drugą, każda z nich niosła setki galonów wody. „Nie dalibyśmy rady ani jednej — rzekł sobie w duchu — gdyby przelała się przez burtę. Nawet jeśli te dalsze już pozostawiły nas w spokoju...” I z nową energią zabrał się do wyczerpywania wody deszczowej.

Na szczęście tropikalna ulewa skończyła się niedługo; deszcz wprawdzie jeszcze padał, ale wody w barce już nie przybywało tak wiele. Mogło ją teraz wyczerpywać kilku ludzi na zmianę.

— Spójrzcie w tę stronę! — krzyknął nagle Dick do Harrego, który po ciężkiej pracy rozprostowywał bolące kości.

Tamten odwrócił się i spojrzał: na południowym zachodzie zjawiała się nagle jakaś dziwna, czerwona jasność, która szybko przesłaniała całą połowę nieba. Nie dosięgła jeszcze zenitu, a już na krańcach horyzontu, w punkcie gdzie się owa jasność zrodziła, wstał mglisty,

ledwie widoczny cień. Kształty jego stawały się z każdą chwilą wyraźniejsze: zbliżał się szybko, ciemniał coraz bardziej, podobny do ogromnej, strasznej klepsydry. Wirował dokoła swej własnej osi, przechylał się i znowu prostował, jak jakaś koszmarna zjawia nie z tego świata. Przeleciał o dwie mile od lewej burty barki, podnosząc na swej drodze fale morza wysoko aż do nieba.

Wsteczna fala szła na lewą burtę barki. White z całej siły napierał na rumpel steru. Usłuchać steru jak zwykle barka nie mogła, ponieważ brak było siły pędzącej ją przeciw fali. Jednakże mocno odwrócone pióro steru schwyciło pewną część idącego z boku naporu i zmusiło barkę do wykorzystania tej siły ataku na częściowe przynajmniej wyrównanie pozycji. Niezupełnie się to powiodło, ale przynajmniej tyle, że fala wywołana trąbą wodną — która przepadła tymczasem gdzieś w ciemnościach nocy na wschodzie — nie dosięgnęła barki z boku, nie zdołała jej więc przewrócić na drugą burtę.

Wprawdzie prawa burta barki zniknęła na ułamek sekundy pod wodą, która lunęła do wnętrza, ale wnet wydostała się na powierzchnię, a łódź wyprostowawszy się stanęła znowu dziobem do fali.

Szybko też ucichły okrzyki przerażenia. Ludzi nie przygotowanych fala rzuciła na deski.

— Nie brak nikogo? — krzyknął Brent starając się przekrzyczeć huk burzy.

Posypały się chaotyczne meldunki — okazało się, że są wszyscy.

— Do pioruna, a już niewiele brakowało! — westchnął z ulgą Dick do Harrego. — Znaleźliśmy się niemal bezpośrednio w oku cyklonu! Ależ ten White to majster! Gdyby nie on, już bylibyśmy w wodzie!

— Wszyscy do czerpania wody! Stanton, Warren i Connor do żagli! — wołał ten właśnie majster od steru, zdając go sternikowi.

Harrego uderzył fakt że głos White'a brzmi jakoś bardzo donośnie. Teraz dopiero zauważył, że wiatr — jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — ucichł zupełnie, tylko fala wzdymała się jeszcze wysoko. „Tanah” pozbawiona siły wiatru, która trzymała ją przy dryfkotwie, smętnie zataczała się na falach, biorąc raz po raz solidny tusz.

Teraz dryfkotwa była już niepotrzebna; White podszedłszy, by pokierować stawianiem żagli, kazał ją wyciągnąć na pokład.

— Sądzi pan, że obejdziemy się już bez niej? — spytał Brent.

— Na nic już się nam nie przyda — odparł White. — W tej chwili jest cisza, ale za chwilę znowu się zacznie, tym razem od wschodu. Trzeba wykorzystać ten wiatr, by dotrzeć gdzie należy. Zresztą i tak musimy to zrobić. Wiatr wzburzy morze w przeciwnym niż dotychczas kierunku, fale będą się krzyżowały na wszelkie możliwe strony.

To już nie będzie jednokierunkowa fala, nieodzowna, by dryfkotwa mogła działać.

Rzucił wyjaśnienia urywanymi zdaniami na przemian z rozkazami dla ludzi stawiających żagle. Najpierw kazał postawić fok na dziobie; chociaż wiatr był jeszcze słaby, dziki taniec barki złagodniał nieco, ustały także gwałtowne bryzgi wody. Zrefowany do połowy grot postawiono tak, aby nie chwycił pełnego wiatru.

Niemal wszystko już było gotowe, gdy od wschodu nadeszło pierwsze uderzenie wiatru. Krótki, gwałtowny poryw napał na żagle, liny zajęczały głucho — płótno z głośnym łopotem chwyciło wiatr. Przez sekundę zdawało się, że liny popękają jak cienkie sznurki, na szczęście jednak wytrzymały: barka stękając żałośnie wspięła się na fale jak koń zdopingowany ostrogą jeźdźca. I natychmiast podjęła szaleńczy wyścig z falami.

Trwał on aż do wczesnych godzin rannych.

Chociaż łódź szła pod zrefowanym żaglem, płynąc zaledwie połową siły wiatru, gnała jednak jak jacht regatowy. Daremnie fale starały się ją dogonić: wiatr pędził ją z szybkością co najmniej piętnastu mil kursem wprost na zachód. White miał w tej chwili tylko jedno gorące pragnienie: by szeroko rozrzucone Wyspy Sabalan zostały po lewej stronie barki i nie zagroziły jej drogi skałami podmorskimi. Powinny tam jeszcze być gdzieś z boku rafy De

Brila, niezbyt co prawda rozległe — ale trzeba by już specjalnego pecha, by właśnie musieli się na nie natknąć.

Tej nocy nikt już nie spał. Gdy wstawał blade światło — a dzień zapowiadał się pochmurny i słotny — ludzie z podwachtę pokładli się spać. White rozdzielił załogę tak, że do obu wacht wchodziła jednakowa ilość zawodowych marynarzy. Ponieważ teraz powodzenie całej wyprawy zależało od prowadzenia barki, za zgodą Brenta postawił na czele drugiej wacht wytrawnego starszego bosmana, Connora. Sam starał się sypiać jak najmniej, ale gdy rankiem wiatr złagodniał trochę i fala opadła, musiał pójść odpocząć. Connor chciał, by White dobrze się wyspał. Gdy wiatr zelżał jeszcze bardziej, po radzie z Brentem kazał rozwinąć grot całkowicie i chwycić pełny wiatr, by jak najbardziej wykorzystać jego przychylny kierunek. Przechylona lekko na prawą burtę barka płynęła na zachód z nieznacznie tylko mniejszą szybkością. Connor na maszcie rozglądał się uważnie, wypatrywał na północ i południe, szukając raf De Brila i Wysp Sabalan. Nie widząc ich nigdzie doszedł do przekonania, że zapewne minęli je jeszcze w nocy. Położenia ich nie mógł wyznaczyć, gdyż tego dnia słońce ani na chwilę nie ukazało się spoza chmur, które ciemnymi zwałami przeganiały po szarym, mglistym niebie. Ale jeszcze przed południem zauważył grupę wysp na południu, a w znacznie większej odległości na północ szarawą, niewyraźną smugę stałego lądu. Przypuszczał więc, że znajdują się między Wyspami Kangean i przylądkiem Selatan, najbardziej na południe wysuniętym cyplem olbrzymiej wyspy Borneo.

Informacja ta ogromnie ucieszyła Brenta. Wydał rozkaz nie zmniejszania szybkości łodzi i utrzymywania się na dotychczasowym, zachodnim kursie.

A jednak w godzinę później trzeba było obudzić śpiącego po męczącej, bezsennej nocy White'a — okazało się, że do barki dostaje się woda.

— Szczelina na rufie, gdzieś nad stępką — zdecydował White obejrawszy pobieżnie, gdzie barka przeciekała. — Musimy dostać się do brzegu i to szybko.

Polecił uruchomić obie pompy ręczne; mimo wszelkich wysiłków wody przybywało powoli lecz stale. Nie podobna było usunąć podłogi i dostać się do stępki — taką rzecz można było wykonać tylko przy brzegu. Już dwaj ludzie musieli pomagać wiadrami wyczerpywać wodę; ostatecznie wspólnym wysiłkiem wiader i pomp udało się utrzymać poziom wody w barce stale na wysokości pół stopy. Ale woda ta tak zwiększyła ciężar barki, że szybkość jej wyraźnie zmalała.

Podjmując walkę z żywiołami byli o tyle przynajmniej w lepszej sytuacji, że na razie ludzie pozostawili ich w spokoju. Morze i niebo były idealnie puste — pogoda nie sprzyjała bynajmniej akcji lotników, nie kusiła marynarzy do wypływania z portów. Tuż przed południem ląd był już tak blisko, że widać było płaskie, gęste zarosłe brzegi — wylegarnia malarii bagiennej.

White ominawszy szeroką, otwartą zatokę — przypuszczał, że to Kota Waringen, gdzie ujście kilku rzek tworzy olbrzymie bagniska — skręcił na zachód, sądził bowiem, że tam brzeg będzie twardszy. Wyszukał wąską, małą i dość głęboką zatokę u ujścia małej rzeczulki; wykorzystując przyływ tak zręcznie wprowadził „Tanah” daleko w rzeczkę, że wreszcie zaryła dziobem w drobny piasek rzecznej koryta.

XVII

ŁOWCY GŁÓW

Zabezpieczwszy barkę oderwali część podłogi na rufie i dostali się do miejsca, gdzie na długości paru stóp rozstały się klepki. W powstałą w ten sposób szczelinę swobodnie można było włożyć rękę. Żebro, które w tym miejscu stanowiło wzmocnienie klepek, było pęknięte, z grepla uszczelniającego nie zostało ani śladu.

— Aż dziwne, że ta barka wytrzymała dotąd — mruknął White oglądając szparę tuż nad stępką.

— Da się to naprawić? — pytał Brent z powątpiewaniem w głosie.

— Oczywiście, tylko że to potrwa czas jakiś... Będziemy mogli pracować jedynie podczas odpływu.

Ale White nie czekał nawet na odpływ: gdy załoga przełknęła szybko zimny, mocno spóźniony obiad, kazał z łodzi powynosić wszystko na brzeg, by zmniejszyć jej zanurzenie. Potem przycumował ją mocno do grubych, rosnących blisko nad brzegiem drzew. W dużym promieniu wokoło wycięto bujnie rosnącą tam trawę.

W tej ostatniej robocie brali udział wszyscy; pozbyli się w ten sposób obrzydliwego, wszędzie docierającego robactwa, nie udało im się jednak pozbyć komarów. A te bezczelnymi atakami starały się wygnać ich z miejsca, które dotąd prawdopodobnie było ich niepodzielnym królestwem.

Sądząc po brzegu teren był bezludny. Jak wyglądała sprawa w głębi ładu, nie wiedzieli. Brzeg wznosił się w górę łagodnie, porośnięty był gęstym lasem, poprzegradzanym stepem i zaroślami.

Jeszcze przed zachodem słońca całe komando pułkownika Brenta zabrało, się do pracy. Kierownictwo objęli dwaj ludzie obeznani ze stolarstwem i dlatego właśnie zabrani na wyprawę. Najpierw trzeba było ściąć odpowiednie drzewo i przygotować z niego deski, dalej wyciosać także zastępcze żebro na miejsce złamanego.

— To doprawdy robinsonowska robota! — przygadywał Harry, wcale zręcznie poczynając sobie ciesielskim toporem.

Zapadająca noc zagnała ich do namiotów, gdzie pod cienką moskitierą dusili się wprost z gorąca.

— Sam już człowiek nie wie co lepsze: powietrze z moskitami, czy ta łaźnia parowa bez moskitów — skarżył się Dick Harremu, z którym razem nocował w namiocie.

— Żeby ten nasz pułkownik dał się namówić i pozwolił rozpalić porządny ogień — wtórował mu Harry, który spał bez moskitiery i drapał się nieustannie.

Ale Brent był nieubłagany, mimo że krwiożercze moskity nie oszczędzały go wcale. Wiedział, że blask ognia widoczny daleko z morza jak latarnia morska, może przywabić japoński kuter strażniczy. Tak więc noc upłynęła w bardzo nieprzyjemnych warunkach. Nazajutrz wszyscy opuchnięci i w kiepskich humorach stanęli do pracy.

— To tylko tak pierwszy dzień, potem się przyzwyczaię — pocieszał Brent tych, którzy nie zetknęli się jeszcze nigdy z takimi maleńkimi drapieżnikami.

— Mam nadzieję, że jutro będziemy już daleko — bąknął niechętnie Harry raz po raz przerywając pracę, by poskrobać się w swędzące miejsce.

Ale nadzieje jego się nie spełniły. Praca posuwała się znacznie wolniej, niż się tego White spodziewał. Przez szczelinę wdzierał się nieustannie do barki drobnutki piasek dna rzecznoego. Kiedy odpływ kładł barkę na bok, trzeba było rozpoczynać od usuwania piasku. Prócz tego od chwili przybycia do zatoki ustaliła się pogoda: słońce prażyło nieznośnie, dni były zabójczo upalne, wydajność pracy białych ludzi nie przyzwyczajonych do dusznego, wilgotnego klimatu tropikalnego spadła do minimum. Prócz tego drugiego dnia pobytu w zatoce doszło do zajścia, które znacznie przedłużyło ich pracę.

W trakcie krótkiego odpoczynku połączonego z obiadem, który gotował się na ogniu, załoga siedziała pod płóciennym daszkiem, gdy nagle z najgłębszej gęstwiny wysunęli się trzej tubylcy; zbliżali się ku nim powoli. Jeden z nich przewyższał dwóch innych o głowę; ubrany był w podartą, brudną kurtkę i krótkie spodnie — zarówno jedno jak drugie stanowiło kiedyś w dalekiej przeszłości własność białego kolonisty. Uzbrojony był w zupełnie nowoczesny karabin wielostrzałowy — jak bardzo szybko okazało się w praktyce. Dwaj jego towarzysze przybrani tylko w sarongi — szeroki pas barwnego płótna, owinięty malowniczo wokół ciała — uzbrojenie posiadali znacznie skromniejsze: długi oszczep i krótka pałka, zakończona kościaną głowicą.

Brent wstał i podszedł, by go uprzejmie przywitać, tymczasem ów chwata nie próbował nawet wykonać jakiegoś gestu powitania.

— Dzień dobry — pozdrowił go spokojnie w języku holenderskim Brent. — Ty jesteś naczelnikiem na tym terenie?

Mężczyzna z karabinem w rękę dobrą chwilę wpatrywał się w niego ponuro, zanim raczył odpowiedzieć:

— Jestem Senamang, naczelnik. A ty kto jesteś? Jak się tu dostałeś?... — mówił powoli i wcale nie najgorzej po holendersku.

Ludzie z załogi podnieśli się i półkolem otoczyli pułkownika. Ciekawie przysłuchiwali się rozmowie, którą rozumieli doskonale, gdyż w australijskich obozach szkoleniowych na język holenderski kładziono największy nacisk. Harry nieznacznie sięgnął do tylnej kieszeni spodni i przełożył pistolet do prawej bocznej kieszeni. Odsunął palcem bezpiecznik i trzymając w ciągu rozmowy pistolet w rękę, mierzył lufą przez cienkie płótno spodni wprost w naczelnika.

— Burza nas tu przygnała. Jak widzisz, łódź moja jest uszkodzona. Gdy tylko ją naprawię, natychmiast ruszam w dalszą drogę. Spodziewam się, że nie będziesz miał nic przeciw temu... Skoro teren ten do ciebie należy, chętnie złożę ci za to dary — tłumaczył mu Brent.

Naczelnik wykonał gwałtowny gest sprzeciwu.

— Schowaj sobie swoje dary, Senamang ich nie potrzebuje. Nie kocha ani tęgich białych ludzi, którzy zajęli ten kraj dawno przedtem, nim się Senamang urodził, ani tych małych, żółtych ludzi, co przyszli tu niedawno. Chcę, abyś z łodzią odjechał stąd zaraz! — rozkazał władczo.

— Nie należę ani do tych białych ludzi, o których mówiłeś, ani też do żółtych — zaprotestował Brent. — Pochodzę z dalekich wysp, a moi ludzie także. Zaraz nie odjadę, bo jak widzisz łódź moja płynąć nie może!

— Wszyscy obcy są jednakowi! Nie wierzę ci!... — warknął groźnie naczelnik opierając się na karabinie. Najwidoczniej był przekonany, że przybysze nie posiadają broni, dlatego też poczynał sobie tak zuchwale.

Harrego wyraźnie złość już porwała, ale jeszcze panował nad sobą.

— Chcecie od nas podatków — ciągnął dalej ze złością naczelnik — i wykradacie nam ludzi. Wysyłacie ich potem na pola, gdzie rośnie trzcina cukrowa, albo w doliny, na których cieknie śmierdząca woda... — Widocznie miał na myśli źródła ropy naftowej w Sarawak. — Zabieracie ich na swoje statki... muszą pracować jak niewolnicy i szybko umierają. Odpływaj natychmiast, bo inaczej cię do tego zmuszę! — rozkazującym gestem wyciągnął rękę w stronę niższego wzrostem Brenta.

Tu cierpliwość Harrego już się skończyła. — Milcz! — krzyknął surowo. — Pozwól mówić teraz memu naczelnikowi.

Senamang wybuchnął pogardliwym śmiechem i zwrócił ku niemu lufę karabinu.

Dłużej już Harry nie wytrzymał. Był mistrzem w strzelaniu, umiał bez celowania trafić do każdego celu, teraz więc nie wyjmując pistoletu z kieszeni — strzelił. Karabin wypadł z rąk naczelnika i zatoczywszy szeroki łuk padł na ziemię. Przedtem jeszcze zadał kolbą naczelnikowi pod żebra taki cios, że ten dobrą chwilę nie mógł tchu złapać. Karabin natychmiast znalazł się w rękę Harrego.

Naczelnik i jego towarzysze, oszołomieni strzałem, który ich zdaniem padł z powietrza, początkowo nie próbowali nawet protestować. Potem dopiero ochłonawszy trochę naczelnik zaczął się hałaśliwie domagać zwrotu broni, jego zaś ludzie wymierzili w Harrego oszczepy. W tej samej chwili na rozkaz Brenta skierowało się na nich dwanaście pistoletów. Broni tej tubylcy najwyraźniej nie znali, gdyż groźnie wzniesione oszczepy opadły od razu. Naczelnik umilkł, ale dalszych słów Brenta słuchał z wściekłą miną. — Posłuchaj tego co powiem

i zapamiętaj sobie dobrze — spokojnie i bez złości mówił pułkownik do Senamanga. — Zostanę tu jeszcze najwyżej dwa lub trzy dni, potem odpłynę, pozostawiając na brzegu twój karabin i dary. Jeśli zamiast darów wolisz pieniądze, to mi powiedz. Ale zrobię to tylko wtedy, gdy pozostawicie nas w spokoju. Na wszelkie wrogie kroki z waszej strony odpowiemy ogniem i żelazem. I będziemy celować już nie w waszą broń, jak to zrobił mój towarzysz, tylko w ludzi! Skończyłem.

Naczelnik chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, potem odwrócił się i krzyknąwszy krótko na swoich odszedł. Cała trójka zniknęła w gęstwinie, a biali nie próbowali im w tym przeszkodzić.

— Łowcy głów, tylko trochę zmodernizowani! — skonstatował drwiąco Harry. — Sądzi pan, pułkowniku, że nie powinienem być strzelec?

— Nie, dobrze się stało. Byli już zbyt bezczelni — odpowiedział zamyślony Brent. — Czy w tym stanie wypłynąć nie możemy? — zwrócił się z pytaniem do White'a.

— Najzupełniej wykluczone — kapitan zaprzeczył energicznym ruchem głowy. — Musieliśmy znacznie powiększyć szczelinę, by całą reperację wykonać solidnie. W tym stanie barka nie przepłynie ani jednego kabla¹⁷, natychmiast zatonie.

— To trudno, nie ma rady... Ale od dziś musimy się mieć na baczności — westchnął Brent.

Opinia jego przyjęta została przez młodych członków załogi z wyraźnym niedowierzaniem. Lekceważąc całą sytuację popierali zdanie Harego, że ten karabin to jedyna broń palna całego szczepu. Niektórzy z nich wątpili nawet, czy istnieje w okolicy jakiś szczep; jako argument podawali, iż nie ma tu warunków dla osiedlenia się szczepu, gdyż teren na znacznej przestrzeni jest gęsto porośnięty lasem.

Ale w ciągu jeszcze tej samej doby musieli przyznać rację pułkownikowi. Właśnie Dick Stanton z Fredem Harperem gotowali smołę, gdy kula karabinowa przeleciała między nimi i zaryła się w piasek. Obaj chłopcy zachowali się bardzo rozsądnie: padli na ziemię kryjąc się za kawałkiem kłody drzewa, które służyło im do produkcji desek. Początkowo pracujący na barce ludzie nie zorientowali się, co zaszło, toteż następna, w ślad za pierwszym strzałem salwa zraniła dwóch członków załogi, na szczęście lekko. Łowcy głów zdołali obsadzić odległą o dwieście kroków od brzegu kępę drzew mangrowych i strzelali stamtąd dosyć celnie.

— Do wody! — zakomenderował Brent.

Wszyscy z załogi wraz z obu rannymi natychmiast wykonali rozkaz. Znaleźli się aż po szyję w wodzie, dobrze ukryci za wysokim brzegiem rzeczki. Teraz kule przelatywały nad ich głowami, padały w morze lub dudniły po starych deskach nieszczęsnej barki.

— Ci hultaje gotowi nam jeszcze łódź rozwalić! — irytował się White.

Tymczasem Harry wypytywał kolegów, w którym miejscu na brzegu złożyli skrzynkę z granatami zapalającymi.

— To dobra myśl, Harry — zainteresował się Brent usłyszawszy jego pytanie. Ten las, z którego strzelają, jest dosyć odosobniony, więc też nie pozostaje nam chyba nic innego, skoro chcemy ich stamtąd wykurzyć...

Wraz z Harrym i jeszcze dwoma chłopcami wszedł do dingi. Pod osłoną wysokiego brzegu rzeczki dotarli do morza, skreśliли wzdłuż zatoki. Wiosłując schylali się tak nisko, by strzelający z lasu nie mogli ich zauważyć. Tak dotarli do bardzo wysokiego, stromego brzegu, który od strony lasu krył ich całkowicie. Cała droga nie trwała dłużej jak dziesięć minut; dalej jednakże akcja rozwijała się już w powolniejszym tempie.

Od samego brzegu rosła tu gęsta, wysoka trawa, tak że z dingi na ląd wydostali się niepostrzeżenie. Potem zaczęli czołgać się wśród trawy aż do miejsca, gdzie leżała skrzynka z granatami. Tę część drogi odbywali bardzo powoli — najmniejszy ruch trawy nie powinien

zwrócić uwagi nieprzyjaciół. A tymczasem w obozowisku ostrzeliwanie barki i dwóch kryjących się koło ognia ludzi trwało w dalszym ciągu.

Czołganie się przez trawę miało jeszcze drugą nieprzyjemną stronę. Harrego dwukrotnie uciał skorpion tak, że ręka spuchła mu porządnie. Terry Ronney nagle aż syknął z bólu; zauważył u siebie na nodze potężną, na stopę długą pijawkę.

— Iii... taka tam stonoga — skrzywił się z gniewem Harry, gdy Terry skarżył mu się na ból. — A co ja mam mówić?... Dwa razy dostałem od skorpiona, a ręka pali mnie jak ogień. Możesz z całym spokojem taszczyć tę pijawkę ze sobą. Jak będzie czas, to cię od niej uwolnimy.

Do skrzynki z granatami i materiałami wybuchowymi dotarli właśnie w chwili, gdy łowcy głów — rozzuchwaleni faktem, że na ich strzały nikt nie odpowiada — zdecydowali podjąć atak. Z piekielnym wrzaskiem wypadli z lasu w sile jakichś stu ludzi rozmaicie uzbrojonych: większa grupa skierowała się ku barce, mniejsza pędziła ku dwóm chłopcom leżącym w trawie.

— Tam leży Dick Stanton z Fredem Harperem! — krzyknął Harry.

Odsunawszy skrzynkę z granatami zapalającymi szybko czegoś szukał. Ponapychał w kieszenie małe granaty w kształcie gruszek i nie oglądając się na kolegów biegiem ruszył za pędzącą w stronę chłopców grupą. Łowcy głów byli bliżej celu niż biegnący za nimi Harry, ale przyjaciel Dicka nie zwracał na to uwagi. Przy pomocy swych długich nóg starał się nadrobić odległość dzielącą go od mieszkańców Borneo — resztę drogi musiał już wykonać granat. Tymczasem łowcy głów zatrzymali się na trzydzieści kroków przed słabo zasłoniętymi chłopakami i zasypali ich gradem oszczepów. Chociaż mierzyli dobrze, większość oszczepów przeleciała górą, nie czyniąc obu chłopcom większej szkody. Jeden z nich tylko zranił Freda w ramię, grot drugiego zdarł Dickowi kawałek skóry z czoła. Ale krew popłynęła strumieniem przesłaniając mu oczy czerwoną zasłoną tak szczelnie, że przestał widzieć, co się koło niego dzieje. Nagle uszu jego doleciał huk pękającego granatu, potem okrzyki bólesci wśród tubylców, szybkie wystrzały kilku naraz pistoletów i znowu głośnie wrzaski.

— Patrz, patrz! — wołał w uniesieniu Fred Harper.

Przytrzymawszy ręką krwawiącą ranę Dick otarł oczy i spojrzał na plac boju. Grupa, która ich atakowała, zniknęła już w lesie, zostawiając w trawie kilka nieruchomych ciał. W ślad za tamtymi uciekały i siły główne, także już trochę przerzedzone. Aż do lasu ścigały ich strzały pistoletowe grupy White'a. A tymczasem Brent, Harry, Ronney i Wilkinson biegli w równej z tubylcami linii, tylko nieco z boku. Trzymali w rękach czarne, kuliste przedmioty, w których Dick domyślił się granatów ręcznych.

— Harry ciska te gruszki jak cyrkowiec — chwalił Fred starego wygę. — Gdyby nie to, że rzucił ich już parę w tych rzezimieszków, byliby nas roznieśli w strzępy!

Dick nie zareagował na te hymny pochwalne pod adresem przyjaciela. W wielkim skupieniu obserwował, co dalej robi Brent. W pewnej chwili podniósł się nawet do połowy ciała i już chciał biec tamtym na pomoc, ale Fred szybko ściągnął go na ziemię — szczęśliwie na czas, bo właśnie dwie lub trzy kule z lasu przeleciały nad jego głową.

Na rozkaz pułkownika oddział zatrzymał się na jakieś sto stóp przed lasem, z którego właśnie padły strzały. W las poleciały granaty, ludzie szybko padli na ziemię. Ciemne, kuliste przedmioty śmignęły nisko nad ziemią... Zanim jeszcze spadły na rosnące na skraju lasu zarośla, strzeliły z nich jasne, żółte płomienie.

— Granaty zapalające! — wykrztusił Dick.

— No tak! — potwierdził kolega. — Spójrz, jak świetnie ogień chwycił!

Zarośla paliły się jasnym płomieniem, który szybko przenosił się na drzewa. Strzelanina ucichła; z lasu dobiegały tylko okrzyki przerażenia zmykających tubylców. W pewnym

momencie Brent obawiał się, że zechcą może szukać ucieczki przed ogniem na brzegu zatoki, ale widocznie łowcy głów woleli uciekać w głąb łądu.

Pożar trwał jeszcze dobrą godzinę, ponieważ jednak nie było ani odrobiny wiatru, więc nie przeniósł się na dalsze partie lasu. Skończyło się na spaleniu niewielkiego lasu, w którym ukrywali się napastnicy: pozostał z niego tylko szary popiół i sterczące gdzieś resztki pni i grubszych gałęzi — niby obdarte z ciała szkielety.

XVIII ATAK

Utarczka z tubylcami ogromnie przygnębiła Brenta. Martwił go fakt, że trzeba było strzelać do tych prymitywnych ludzi, jakkolwiek w obronie własnej. Rozumiał doskonale, że nie mają powodu kochać zarówno kolonizatorów holenderskich, którzy eksploatowali ich do niedawna, jak i okupantów japońskich. Japończycy, jakby czując, że panowanie ich w Indiach Holenderskich nie potrwa długo, wprowadzili niesłychanie brutalny system niewolnictwa. Całe zajście przykre było także i z tego względu, że łatwo mogło przywabić jakiś patrolujący kuter strażniczy, którego wizyty Brent, mimo wszelkich możliwych papierów, wcale nie pragnął. Znając przy tym zawziętość łowców głów był przekonany, że nie był to ich ostatni atak. Wszystko to razem niepotrzebnie przedłużało ich pobyt na wyspie, który w każdym innym wypadku trwałby najdłużej czterdzieści osiem godzin.

Po odparciu ataku pierwszą sprawą było pogrzebanie zabitych. Wszystkich ośmiu leżących w trawie nieboszczyków ludzie z załogi wywieźli zwyczajnie w dingi na zatokę i przywiązawszy kamienie u nóg rzucili w morze o paręset stóp od brzegu. Na kopanie wspólnej mogiły nie było czasu, trzeba było myśleć przede wszystkim o zabezpieczeniu własnej skóry. Wokół barki, która podczas odpływu leżała niemal zupełnie na łądzie, wykopali jeszcze przed zachodem słońca płytki rów. Potem zabrali się do ścinania drzew, by zrobić przed okopem palisadę, która zdołałaby zatrzymać kulę z nowoczesnego karabinu.

— Bardzo rad bym wiedzieć, kto to tym dzikusom dostarcza nowoczesną ręczną broń maszynową?... — zrzędził Harry ciągnąc z trudem zwalone drzewo w stronę łodzi — Gdyby mieli te stare muszkiety, które spotykało się tutaj jeszcze przed pierwszą wojną światową, nie musielibyśmy teraz harować jak drwale. Tamte niosły zaledwie na dwadzieścia kroków, byle gruba skóra wołowa dawała przed nimi dostateczne zabezpieczenie.

— Ba, kiedy tu i wołów nie ma, nie możemy więc zrobić sobie z ich skór osłony — śmiał się Dick. Przewiązana kawałkiem płótna rana zupełnie nie przeszkadzała mu pracować.

Robotę przerwał zachód słońca. Noc spędzili w okopie, pod strażą dwóch zmieniających się co dwie godziny wartowników. Jasne niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd — blask ich w czystym powietrzu taki był silny, że widać było dobrze na odległość paruset kroków, mimo iż nie było księżyca, który zjawił się dopiero nad ranem.

Noc przeszła spokojnie, pierwsza połowa następnego dnia także. Dzięki wyteżonej pracy udało im się jeszcze przed obiadem ustawić wokół łodzi palisadę. Moc tej osłony Harry sprawdził osobiście, strzelając z broni naczelnika z odległości najbliższego lasu. Ani jedna kula nie przebiła potężnych pni; komandosi pułkownika Brenta mogli być dumni ze swego okopu.

Dnia tego nie wykorzystali do pracy przy barce pierwszego odpływu. Za to podczas drugiego całą duszą zabrali się do roboty i pracowali aż do nocy przyświecając sobie pochodniami. Tubylcy na razie ich nie zaczepiali, ale zarówno Brent jak Harry bynajmniej nie cieszyli się z tego.

— Już oni tam coś knują, zobaczycie! — prorokował Harry.

Brent był tego samego zdania.

— Ach, mniejsza z tym — machnął ręką White. — Jeszcze tylko cztery, pięć godzin roboty, którą możemy już wykonać każdej chwili, nie czekając nawet na odpływ, i wyniesiemy się z tej przeklętej dziury raz na zawsze.

A jednak okazało się, że optymizm swój posuwał zbyt daleko. Chociaż wstali wcześniej i pracowali bez wytchnienia do południa, dopiero tuż nad wieczorem zakończyli pracę ostatecznie. Zmordowani i wyczerpani pokładli się podczas spóźnionego obiadu, który nikomu z osłabionych wielkim wysiłkiem ludzi nie smakował. Nagle przy wschodnim cyplu ukazała się pierwsza tubylcza kanoe z załogą dwudziestu mężczyzn.

Ludzie z komanda zerwali się natychmiast, nie czekając na rozkaz Brenta; każdy z nich schwyciwszy co było pod ręką biegł ku barce. Harry odstawił skrzynkę z granatami zapalającymi i sięgnął po wypróbowaną wczoraj strzelaniem do palisady broń Senamanga. Niosła znacznie dalej niż ich pistolety — w magazynku zostało jeszcze trochę naboju. Pierwszym wystrzałem z odległości dwunastu jardów zwałił stojącego na rufie kanoe człowieka, który naglił wioślarzy do pośpiechu.

— Dajcie temu spokój, Harry! — wołał na niego Brent.

— Pomóżcie raczej przenosić rzeczy na łódź! Musimy próbować przebić się przez nich!...

Harry zrezygnował z dalszego strzelania, które w tej chwili było zresztą niecelowe: za pierwszą kanoe zjawiała się druga, trzecia i następne. Brent oszacował na oko, że Senamang zmobilizował do walki przynajmniej czterystu do pięciuset ludzi.

Naczelnik rozumiejąc doskonale, że atak od lasu na małą fortecę nie ma szans powodzenia albo też będzie kosztował zbyt wiele ofiar, zdecydował się uderzyć na białych od strony morza, skąd nie mieli żadnej osłony.

W ciągu kilku minut wszystkie rzeczy złożone na ziemi znalazły się z powrotem na barce. Brent dał rozkaz przecięcia lin, którymi barka umocowana była do drzewa. Pierwsze kanoe były już w zasięgu strzału pistoletowego, ale na razie tak biali jak tubylcy nie rozpoczęli ognia.

Gdy rozkaz Brenta został wykonany, White kazał postawić żagle, by schwycić słaby wiatr, dolatujący przez południowy brzeg zatoki. Ale stępka barki zazgrzytała tylko po piasku.

— Usiedliśmy na dobre — z całym spokojem stwierdził White nie zwracając uwagi na pierwszą salwę, która zresztą padła dość daleko od celu. Łowcy głów strzelali pospiesznie i nie mierzyli dokładnie: po pierwsze strzelali z rozchybotanych łodzi, po drugie ponosiła ich wściekłość, że zdobycz gotowa im umknąć.

— To nie da się zepchnąć barki? — spytał Brent.

— Bez przyływu nie ruszymy się, a przyływ będzie aż o północy.

Brent rzucił okiem na zegarek: było wpół do piątej, czyli należało wytrzymać atak co najmniej sześć godzin. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie.

— Żagle precz! Strzelać salwami, potem wszyscy do okopu! Kryć się za barką! — spokojnie wydawał rozkazy.

Nieregularna salwa, jaka nastąpiła natychmiast po jego słowach, zmusiła tubylców do cofnięcia się za linię strzału. Nie wycofali się jednak zupełnie, nie pozostali także dłużni odpowiedzi: następne ich strzały zraniły dwóch ludzi. Teraz połowa kanoe ruszyła naprzód, objeżdżając „Tanah” wielkim łukiem.

Tubylcy postanowili wziąć łódź w dwa ognie. Zanim jeszcze zdążyli wykonać ten manewr, komando Brenta bez dalszych już strat dotarło do okopu i natychmiast zaczęło go pogłębiać.

Harry nie oglądając się na to, że pierwsza lepsza kula może wyprawić go do nieba naprawdę jak biblijnego Eliasza „na wozie ognistym”, ciągnął za sobą skrzynkę z granatami. Znalazłszy się w okopie, uszczęśliwiony zaczął je rozdawać kolegom „na czarną godzinę” — jak powiadał. Ale lwią część granatów zachował jednak dla siebie.

Brent rozejrzawszy się po okopie spochmurniał — nie miał wielkiej wartości jako pozycja obronna w ataku od strony morza. Tworzył on półkole, którego średnicą była rzeczulka, ta jednak nie stanowiła wcale przeszkody dla nieprzyjaciół atakujących przy pomocy czółen. Tyle tylko, że leżała w niej unieruchomiona barka, która pozornie tylko osłaniała ludzi w okopie. O ile tubylcy zechcą zdobyć barkę — a bez znacznych ofiar w ludziach, komando nie zdoła jej obronić — to z stosunkowo wysoko położonej nad ziemią łodzi będą mieli świetną pozycję do ostrzału kryjących się w okopie ludzi. Bronić się na barce też nie było celu, ponieważ burty łodzi nie stanowiły osłony przed pociskami z nowoczesnej broni.

— Tak źle, tak jeszcze gorzej... Zupełnie jak w tej bajce... — warknął Harry, zorientowawszy się na równi z pułkownikiem we wszystkich fatalnych stronach ich obecnej sytuacji.

Palisada kryła ich dobrze od strony lasu, ale od tamtej strony nikt przecież nie atakował. Nonsensem byłoby także przebiec poza palisadą i odgrodzić się nią od tubylców — przecież tubylcy mogą wylądować na dowolnie obranym miejscu i zaatakować ich od tyłu, gdzie już nie będzie żadnej osłony.

Tymczasem łowcy głów przerwali na chwilę działania zaczepne; otoczywszy pozycję białych szerokim kręgiem czółen poza zasięgiem strzałów, otwierali ogień tylko od czasu do czasu, gdy wydało im się, że jakiś cel ukazał się nad okopem. Załoga „Tanah” nie odpowiadała na strzały ponieważ nie dałoby to żadnych rezultatów. Woleli oszczędzać ładunków na ten moment, gdy cel znajdzie się bliżej.

— To cwaniaki! — szepnął Harry do pułkownika w chwili, gdy spoza niewielkiego pagórka usypanej przed okopem ziemi oglądali nieprzyjacielskie pozycje. — Czekają aż się ściemni.

Brent skinął głową. Z rozpaczą patrzył, że cała jego tak dotąd pomyślnie przebiegająca impreza wali się w gruzy, lecz mimo to zachował kamienny spokój. Gorączkowo tylko szukał w myśli sposobu, jak uniemożliwić dzikusom dostęp do łodzi, gdzie znajdują się rozmaite nieodzowne rzeczy, które albo ulegną zniszczeniu w walce, albo staną się ofiarą grabieży...

Ale nic nie mógł wymyślić.

Czerwona tarcza słońca zapadała w morze dokładnie między obu cyplami. Przez chwilę zawisała jeszcze naprzeciwko obozowiska. Brent rzuciwszy okiem w tę stronę nie mógł otrząsnąć się z przykrych myśli: ilu z jego ludzi ujrzy nazajutrz zachód słońca?... O sobie nie myślał, zdecydowany był zginąć raczej w walce, niż przeżyć klęskę swej wyprawy.

— No tak, teraz się zacznie — rzekł Harry bez cienia jakiegokolwiek sentymentalizmu.

Wziąwszy lornetę nocną próbował wśród szybko zapadającego zmierzchu zorientować się, co robi nieprzyjaciel. Widział tylko część kanoe, resztę zasłaniała barka. Czółna widocznie stały w miejscu, zachowując stale tę samą od białych odległość. Ale był przekonany, że inne, niewidoczne kanoe nie marnują czasu. Poprosiwszy o ciszę nastawił bacznie uszu. Mimo iż tubylcy wiosłowali bardzo ostrożnie, słyszał jednak od czasu do czasu pluśnięcie wiosła.

— Idą! — szepnął.

— Na barkę? — spytał skulony obok niego Dick Stanton.

— A dokąd?

— Trzeba im tam rzucić parę gruszek. To blisko, nawet przy tym marnym świetle łatwo będzie trafić... — zaproponował Dick i już sięgał do kieszeni po granat.

Chwycił zapalnik, by go otworzyć, gdy nagle rozkaz Brenta powstrzymał go w ostatniej chwili:

— Nie wolno strzelać w stronę barki, a tym bardziej nie wolno rzucać granatów! — Rozkaz brzmiał bardzo stanowczo.

Odpowiedzią były okrzyki zdumienia.

— Jak to? Więc pozwolimy wystrzelać się jak kaczki, nie będziemy się bronić? — padły pytania.

— Zastanówcie się, chłopcy! — odpowiedział zamiast Brenta Harry — chcecie sami zniszczyć barcę, bez której w ogóle leżymy?... Czy nie dosyć już tego, że nam te łajdaki wszystko z niej rozkradną?... Przecież jednego granatu dosyć, by cała barka rozleciała się w kawałki!

Malkontenci zamilkli. Przywarli mocniej do ścian okopu, kryjąc się wraz z głowami. Tylko Brent i Harry wypatrywali ze swego prymitywnego punktu obserwacyjnego, co się dzieje na „Tanah”. Tymczasem niebo pociemniało zupełnie, ukazały się jasne gwiazdy. W bladej poświacie zauważyli kilka ciemnych głów: wyrzały spoza barki i zaraz ukryły się znowu.

Tak trwało jakiś czas. Gdy z okopu Brenta i teraz nikt się nie odezwał, głowy zjawily się ponownie, a obok nich połyskiwały lufy karabinów. Padły pierwsze strzały; po chwili już pokład starej „Tanah” zamienił się w strzelnicę. Strzały z tak bliskiej odległości huczały głośno, na szczęście jednak nie pociągały za sobą ofiar. Skulona na dnie okopu załoga barki miała doskonałą osłonę. Minimalne dla niej niebezpieczeństwo stanowić mogły tylko kule z podwójnego rykoszetu: od pni palisady i od ściany okopu po stronie rzeczulki.

— Jeśli mają choć trochę sprytu, to powinni zaprzestać tej strzelaniny a pod osłoną ognia z barki ruszyć do szturmu — szepnął Harry do Brenta.

Okazało się, że tubylcy są sprytni: strzały ucichły.

Brent schyliwszy się nad okopem, by ludzie dobrze go słyszeli, rzekł półgłosem:

— Baczość, chłopcy! Dojdzie do walki wręcz! Przygotujcie granaty. Na mój rozkaz wstać, rzucić je w napastników i zaraz potem paść na dno okopu! Uwaga: niech nikt nie rzuci granatem w barcę!

Cichy szmer przebiegł wśród kulących się w okopie ludzi. Sięgnęli po granaty, rękę trzymali na zapalniku. Na oddalonej o dwadzieścia zaledwie kroków barce panowała zupełna cisza.

W pewnej chwili Brent wraz z Harrym wyczuli raczej niż dostrzegli ciemną bryłę ciał gromadzących się na brzegu przy barce.

Padł krótki, gardłowy okrzyk, potem setka ludzi wariackim galopem ruszyła na okop. Jeszcze parę sekund, a ta rycząca gromada samą wagą swych ciał rozdepta garstkę w okopie...

— Rzuć!... — padła ostra komenda Brenta, zagłuszająca okropne wrzaski tubylców.

Szereg ludzi podniósł się, zagwizdały w powietrzu granaty, padły w największą gęstwę ludzką. Moment był dobrze wybrany: napastnicy byli już tak blisko, że ich ziomkowie na łodzi zaprzestali ognia, by nie razić swoich. Zresztą cel ukazał się na tak nieznaczny ułamek Sekundy, iż nie było czasu oddać strzału. Natychmiast po rzuceniu granatów ludzie Brenta padli na dno okopu. A czas był najwyższy.

Zaraz niemal po rozkazie rozległ się ogłuszający huk wybuchu. Granaty rozrywały się w tak nieznacznej odległości od rzucających, że rozpryskujące się na wszystkie strony odłamki stalowe gęsto gwizdały nad głowami skulonych na dnie okopu.

Ledwie ustał gwizd ułamków, głowa Harrego wysunęła się na punkt obserwacyjny. Żniwo granatów było straszliwe. Wzdłuż całego okopu leżała sterta nieruchomych ciał ludzkich, za nią drobne grupki rozbiegały się w popłochu na wszystkie strony, krzycząc z bólu i przerażenia.

Nagle uwagę Harrego przykuło zupełnie co innego: w odległości niecałej mili, tuż u wjazdu do zatoki, spoza brzegu wystrzeliła w niebo czerwona rakietka. Powoli wzniosła się wysoko nad barcę, pękła z sykiem i sypnęła wokoło żółtymi iskrami.

— Statek jakiś płynie, sygnalizuje rakieta! — zawiadomił Harry kolegów, którzy na tę wiadomość natychmiast zaczęli wychylać się z okopu.

Stojący obok Harrego Brent miał ochotę ostrym rozkazem zagnać ich z powrotem do schronu. W świetle następnej, tym razem jaskrawobiałej rakiety, która niby południowe słońce oświetliła na parę sekund całą zatokę, dostrzegł rozpaczliwie uciekające z zatoki kanoe tubylców.

Nieznany statek nie zadowolili się sygnałami; na pokładzie trysnął czerwony strumień ognia, w sekundę później dobiegł odgłos wystrzału z działa, powtórzony wielokrotnym echem przez pobliskie lasy.

— Trzeba im dać sygnał, bo inaczej zaczną nas tu bombardować — rzekł ponuro Brent.

Harry nie czekając na sprecyzowanie rozkazu podpalił zapalniczką suchy chrust, pozostały w obozowisku od czasu obiadu. Za chwilą paliło się już na samym brzegu potężne ognisko, obok niego stało komando czekając na dalszy rozwój wypadków. Brent dawał jeszcze ostatnie instrukcje, Harry, Dick i Ronney pospiesznie usuwali z barki wszystko, co w oczach japońskich organów kontrolnych mogłoby wywołać potężne zdumienie. Przedmioty te ukryli w kącie okopu, przysypując je po wierzchu cienką warstwą ziemi.

Niedługo czekali. „Wśród ciszy nocnej odezwały się regularne wybuchy motoru benzynowego — zbliżały się coraz bardziej, wreszcie tuż w pobliżu ogniska ucichły. Obok brzegu przystanęła długa, wąska jola motorowa. Z łódki wyskoczył oficer z pistoletem w ręce, za nim z małpią zręcznością biegło sześciu ludzi z karabinami gotowymi do strzału. Stworzyli wokół ogniska groźne półkole z oficerem pośrodku. Brent ruszył ku nim wyciągając odwrócone dłońmi do góry ręce na znak, że nie posiada broni.

XIX

KRAŻOWNIK „JUBARI”

— Kto jesteście? — spytał oficer.

Dick Stanton, który obserwował go spoza pleców pułkownika, nic nie mógł z tej twarzy wyczytać. Obojętna, stereotypowa twarz Japończyka, taka sama jak miliony innych twarzy japońskich — tak się przynajmniej Dickowi zdawało. Nie dostrzegł w niej uczuć przyjaznych ni wrogich, nie zauważył nawet zdziwienia, chociaż w jasnym blasku ogniska trudno było nie spostrzec sterty ciał zabitych. Oficer miał twarz idealnie obojętną — w ciągu całej rozmowy nie drgnął w niej żaden nerw.

— Nazywam się Pieter Boosche, jestem kapitanem barki „Tanah” z Tegalalu na Jawie. Barka stanowi własność firmy Martin van Helmer, płynie do Pontianaku po ładunek kopry z firmy eksportowej Hendryk van Leuwen, dla Batawii — na postawione w języku angielskim pytanie Brent odpowiedział po holendersku.

— Pan nie mówi po angielsku? — pytał oficer teraz już w języku holenderskim, ale po wymowie jego znać było, że język ten sprawia mu pewne trudności.

— Kiepsko, ale jakoś się dogadam — Brent przeszedł już na angielski.

Dick słuchał z podziwem: jakże wspaniałe pułkownik potrafił w tych paru słowach okaleczyć swój język ojczysty!

— Well, więc będziemy rozmawiać po angielsku. Gdzie pańskie papiery? — Oficer wyrażał się poprawną, twardą angielszczyzną, jakiej wyuczono go w szkole marynarki wojennej.

Brent wydobyl powoli z kieszeni na piersiach stary, wyświechtany portfel skórzany i bez dłuższego szukania wyjął z niego parokrotnie złożone dwa dokumenty. Jeden stanowił dowód pochodzenia barki, drugi był normalną przepustką japońskich władz wojskowych, na której uwidocznił się zgodny ze słowami pułkownika cel drogi barki.

Oficer zbliżył się do ogniska, by łatwiej odczytać papiery.

Dick czuł, że nadszedł stanowczy moment, który zadecyduje o ich życiu. Słyszał własny przyspieszony oddech; spojrzawszy na boki zauważył na twarzach większości kolegów takie samo napięcie. Tylko Brent, Harry, White i Connor zachowywali się absolutnie obojętnie.

Japończyk przestudiował papiery bardzo uważnie, od nagłówek aż po podpisy kompetentnych władz. Specjalnie dokładnie sprawdzał pieczęcie. Ale to jeszcze wszystko mało: wydobywszy z kieszeni kurtki okazały notes, chwilę przewracał w nim kartki, potem jedną z jego kartek skrupulatnie porównywał z dokumentami Brenta.

— Trzynastu ludzi załogi, z których siedmiu ma pozostać w firmie van Leuwen w Pontianaku? — badał dalej, szybko wzrokiem licząc załogę.

— Tak jest, panie poruczniku — brzmiała odpowiedź Brenta.

Porucznik opuścił rękę z papierami; wcale się jakoś nie kwapił zwrócić ich Brentowi.

Serce Dicka biło coraz szybciej. Zauważył, że porucznik najwyraźniej powziął jakieś podejrzenie. Następne pytanie Japończyka dowodziło, że się nie mylił.

— Co to stąd było słyhać za wybuchy? Armatę jakąś macie na swojej barce?...

Brent obserwował uważnie badawcze spojrzenie Japończyka, ale nie tracił spokoju:

— To granaty ręczne, poruczniku. Nie mogliśmy inaczej obronić się przed tubylcami... Gdy przybiliśmy do brzegu, by naprawić łódź zajęli wobec nas zdecydowanie wrogą postawę... — Brent mówił powoli niemilościwie kalecząc język.

— A z jakiego tytułu posiadacie granaty ręczne? Kto wam je dostarczył?... Macie pozwolenie? — z kolei porucznik zasypał szybko rzucanymi pytaniami stojącego obok Harrego.

— Nie rozumiem... Znam tylko język holenderski... Niech pan pyta patrona — odparł Harry wskazując na Brenta.

Zaskoczony sytuacją Dick machinalnie cofnął się o krok, by przypadkiem Japończyk nie zwrócił się do niego z jakim pytaniem. Wątpił, czy udałoby mu się znaleźć szybko tak trafną odpowiedź, jakiej oficerowi udzielił Harry.

— Mam pozwolenie na pistolet dla każdego z członków załogi oraz na dwa tuziny granatów, oto jest... — Brent wydobył z portfela następny dokument. — Wielokrotnie podczas naszych podróży byliśmy atakowani przez tubylców, raz nawet straciliśmy towar i łódź.

Nowy dokument Japończyk przestudiował równie sumiennie jak oba poprzednie, potem złożywszy wszystkie trzy arkusze razem wsunął je do kieszeni.

— Zatrzymuję je na razie — odezwał się do Brenta.

Dickowi w tym momencie mocno zrzędała mina.

Porucznik podszedł do sterty trupów i przyglądał się im chwilę. Potem zawrócił ku barce.

— A co to z tą waszą łodzią?... Jakże to się stało, że zboczyliście tak bardzo od kursu Tegal-Pontianak?... — zapytał...

Łamaną, brzmącą z minuty na minutę gorzej angielszczyzną pułkownik zaczął mu tłumaczyć, że to niedawny cyklon zagnał łódź tak mocno na wschód od ustalonego kursu i że wówczas także powstała na rufie barki szczelina.

— Czy reperacja skończona?

Nie czekając na odpowiedź porucznik zbliżył się do barki i z kocią zręcznością, charakteryzującą każdy jego ruch, przeskoczył przez nadburcie, chociaż znajdowało się ono tak wysoko, iż ledwie mógł je ręką dosięgnąć. Rzucił jakiś rozkaz przez ramię; dwóch żołnierzy natychmiast ruszyło za nim. Skontrolowali barkę od dziobu aż po rufę, a robili to tak wprawnie, że w ciągu paru minut rewizja była skończona.

Brent ani na chwilę nie stracił równowagi. Wszystko, co mogło wydać się choć trochę podejrzane — łącznie z ulubioną lekturą pułkownika — spoczywało na dnie okopu pod warstwą ziemi. To zaś, co pozostało na barce, mogło tylko potwierdzić wiarygodność zarówno jego słów, jak i dokumentów.

Było widoczne, że rezultat rewizji zrobił na poruczniku dodatnie wrażenie: wprawdzie twarz jego nadal była kamienna i ton nie uległ zmianie, ale uważał już za właściwe przedstawić się Brentowi i rzucić parę słów wyjaśnienia co do własnego okrętu. Porucznik

Koidzumi był członkiem załogi lekkiego krążownika „Jubari”, który zatrzymał się tutaj dla uzupełnienia zapasu wody.

— Płyniemy także do Pontianaku, weźmiemy was na hol. Płyniemy małą szybkością, ponieważ mamy uszkodzenie w maszynach — mówił Japończyk patrząc bystro w oczy Brenta.

Tymczasem Harry zabawiając się rozmową w dobrym języku holenderskim z kapitanem Whitem — odpowiedzi tego ostatniego były już mniej poprawne — nachylił się nagle do ucha kapitana:

— Ta żółta mała wciąż ma jeszcze jakieś podejrzenia, chociaż zachowuje się już nieco przyzwoiciej.

— Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego zamiast prowadzić całe to śledztwo nie wyśle po prostu iskrówki do odpowiednich władz w Batawii, by sprawdzić, czy te nasze dokumenty są w porządku? — dał wyraz swemu zdziwieniu White.

— Może to jeszcze zrobić! Lepiej niech pan nie wywołuje wilka z lasu! — zmarszczył brwi Harry. — A jak przyjdzie co do czego, to już nam oni dadzą takiego łupnia, że będziemy pękali ze śmiechu!...

— Bardzo panu dziękuję za łaskawą propozycję — z całą serdecznością zwrócił się do porucznika Brent. — Ogromnie nam to ułatwi podróż i zaoszczędzi sporo czasu. Zmarnowaliśmy go już tak wiele.

— All right! — skinął głową Japończyk i wsiadłszy wraz ze swoim patrolem do motorówki szybko odjechał.

— No, na razie wybrnęliśmy jakoś — westchnął z ulgą Harry.

— Po pierwsze, jeśli już mówicie, to wyłącznie po holendersku! — rzucił szybko Brent. — Niech mi się nikt od tej chwili nie odezwie ani słowem po angielsku!... A teraz słuchajcie, co powiem. Czasu mamy niewiele, Japończycy lada chwila wrócą po wodę. Tego, co jest w okopie, nie możemy tu zostawić, to rzeczy nieodzownie potrzebne do wykonania zadania. Chodźcie szybko za mną!

Podeszli do barki, gdzie Brent wyszukał jedną beczkę z wodą. Była ona tak skonstruowana, że jedno denko można było wyjmować, a potem znów zamocować je szczelnie. Harry z Dickiem wylawszy z niej wodę zaczęli szybko wkładać niektóre przedmioty z okopu. A tymczasem Brent z Whitem w gorączkowym pośpiechu majstrowali coś pod uniesioną podłogą barki. Brent bez słowa wiercił świdrem natomiast White nie mógł powstrzymać pytania:

— Przypuszcza pan, że w tej baryłce wszystko się zmieści?

— Nie zmieści się, czołna gumowe musimy tu zostawić... Już powiedziałem Harremu — odparł krótko Brent.

— A jakże poradzimy sobie bez nich?

Pytanie to pozostało bez odpowiedzi.

Japończycy wrócili właśnie w momencie, gdy Harry wraz z Dickiem wtaczali po desce opartej o burtę barki ową baryłkę na wodę; wyglądała zupełnie niewinnie, była najzupełniej taka sama jak inne, a tymczasem w jej wnętrzu kryło się blisko trzysta funtów najstraszliwszego materiału wybuchowego — trinitrotoluolu. Tym razem przybili do brzegu wielką, motorową barkasą, napelnioną beczkami na wodę. Koidzumi jednak nie przyjechał z nimi — barkasą dowodził jego kolega. Zaprezentował się Brentowi jako Akijama, czwarty oficer krążownika „Jubari”.

— Gotowi do odplłynięcia? — zapytał Brenta krótko. — Bierzemy was na hol!

— Gotowi, panie poruczniku! Trochę nam tylko jeszcze szczelina przecieka... Nie mógłby nam pan dać trochę smoły? — poprosił Brent.

— Mogę, ale dopiero na krążowniku, tu jej nie mam. Chyba się nie potopicie?

Pułkownik zapewnił go, że tak krótki czas, jak droga przez zatokę „Tanah” — zresztą uszczelniona bardzo dokładnie — na pewno wytrzyma. Japończycy, załatwiwszy się szybko z napełnianiem baryłek wodą i ładowaniem, odbili barkasą, która prowadziła na holu „Tanah”. Barka tymczasem podczas odpływu łatwo spłynęła.

Szybko znaleźli się poza zasięgiem ogniska; przed sobą mieli tylko dalekie światła pozycyjne krążownika, cała zatoka pogrążona była w ciemnościach. Brent szeptem wydał rozkaz załodze przejścia na dziób barki. Manewr ten nie miał w sobie nic podejrzanego, najwyżej Japończycy mogli przypuszczać, że marynarze z „Tanah” nie mając nic do roboty z nudów stoją na dziobie i przyglądają się krążownikowi.

Gdy załoga przeszła na dziób barki, przód jej zanurzył się głębiej, rufa zaś uniosła się o dobre pół stopy nad wodę. W ten sposób otwór, wywiercony uprzednio przez Brenta i White’a w pawęży barki o kilka cali pod linią zanurzenia, znalazł się teraz nad wodą. Zasłonięci przez stojących na dziobie ludzi obaj oficerowie przetoczyli baryłkę z materiałami wybuchowymi na rufę. Z wielkim trudem przenieśli ją przez burtę i spuścili do wody, trzymając mocno cienką linkę, na której była uwiązana. Teraz już trzymanie linki nie wymagało specjalnego wysiłku, gdyż baryłka zanurzona w wodzie utraciła znaczną część swego ciężaru. Brent radził sobie z tym sam doskonale, White tymczasem zrzucił ubranie.

Schwyciwszy koniec linki włożył ją w zęby, przytrzymał jedną ręką burty i zręcznie ześliznął się przez rufę do wody. Wolną ręką namacał przebity w pawęży otwór i cicho polecił Brentowi wyjąć uszczelniającą go zatyczkę. Zręcznie przesunął przez otwór koniec liny, który szybko złapał Brent. Baryłka zanurzyła się głębiej pod wodą. Brent podciągnawszy nieco linkę przez otwór przywiązał ją węzłem marynarskim do małego, żelaznego kółka, które umocowali w pawęży nad otworem jeszcze przed przyplłynięciem barkasy.

— Gotowe — rzekł do White’a, który skończywszy robotę w wodzie wskoczył znów na pokład barki.

— No wylądowaliśmy jakoś — odparł kapitan szybko wkładając ubranie.

— Raczej właśnie zatopiliśmy, ale to na jedno wychodzi — uśmiechnął się Brent. — Jeśli jeszcze Japończycy dadzą nam smołę, zalejemy całe to miejsce wraz z otworem i kółkiem tak szczelnie, że bez rentgena nikt się niczego nie domyśli. Całe szczęście, że jak dotąd nie przeprowadzają jeszcze rewizji łodzi przy pomocy aparatów rentgenowskich.

Dno barki na rufie pozostawili odsłonięte. Gdy po przybiciu do „Jubari” porucznik Akijama kazał im spuścić na linie kociołek z gorącą smołą, zakończyli ostatecznie całą tą robotą pod samym nosem Japończyków.

Dźwigi niezwłocznie podniosły motorówkę na pokład; krążownik — który nawet nie rzucił kotwicy — odpłynął prowadząc „Tanah” na holu. Na jego pokładzie nikt nie przypuszczał zapewne, że pod rufą tej niewinnej barki wisi na linie pod wodą baryłka, a w niej tyle materiałów wybuchowych, że można by nimi wysadzić w powietrze okręty całej potężnej eskadry.

XX

MARYNARZ Z „NITTA MARU”

Od zatoki Ajer Itam, gdzie w małej odnodze doszło do nieszczęsnej utarczki załogi „Tanah” z tubylcami, do Pontianaku jest dobrych dwieście mil. Dla płynącego normalną szybkością okrętu wojennego to kwestia siedmiu lub ośmiu godzin. Ale krążownik „Jubari” nie spieszył się; dopiero przy dziennym świetle okazało się dłaczego. Oto znaczna część pokładu zdemolowana była przez bombę lotniczą — zniszczona była także kabina radiostacji wraz ze wszystkimi urządzeniami. Teraz więc wyjaśniło się także dłaczego Japończycy wzięli barkę na hol, zamiast po prostu wysłać przez radio depeszę do Batawii z zapytaniem, czy papiery Brenta są w porządku. Szczęśliwym dla komanda przypadkiem bomba trafiła w pokład tak, że zniosła go w pewnej części — pozostała tylko kabina oficera nawigacyjnego

i opancerzona sterownia. Bomba ta musiała być większego kalibru, gdyż znalazła sobie drogę i do wnętrza „Jubari”. Tak przynajmniej domyślali się wytrawni marynarze na pokładzie „Tanah”, wsłuchując się w chrapania i parskania turbiny, która z wysiłkiem obracała jedną tylko z dwóch śrub napędowych krążownika.

Okręt włókł się połową szybkości, robiąc wszystkiego dwanaście węzłów.

Termin ogłoszenia wyroku na oddział Brenta przedłużał się tym samym do szesnastu, siedemnastu godzin.

— Aż za wiele czasu, by zdążyć napisać testament — zaczął Harry z humorem stojącego obok niego w rannym słońcu Brenta. Przyglądali się z dziobu barki krążownikowi, na którego rufie obok pary dział spacerował uzbrojony wartownik i ani na chwilę nie spuszczał z oka barki. — A może w tym Pontianaku naprawdę istnieje firma eksportowa Hendryk van Leuwen, która weźmie nas na swoją odpowiedzialność?...

Brent uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Przeszedł powoli na rufę i wychylił się poza nadburcie barki. Chociaż przyglądał się bardzo uważnie, nie dostrzegł wiszącej parą stóp pod powierzchnią wody baryłki — nawis rufowy krył ją doskonale. Gorzej być może, gdy barka stanie na kotwicy w Pantianaku, Brent jednakże nie obawiał się, by ktoś wykrył istnienie ich tajemniczego ładunku. Musiałby dotrzeć do samej barki od tyłu, chociaż i wtedy nawet możliwości wykrycia były niewielkie, ponieważ zazwyczaj woda w portach, gdzie kotwiczy wiele statków, nie odznacza się ani czystością, ani przejrzystością.

Godziny płynęły powoli, podróż była monotonna i bez specjalnych atrakcji. Cały prawie czas nie tracili z oczu zachodniego wybrzeża Borneo — widocznie krążownik obrał najkrótszą drogą, choć musiał lawirować między licznymi tutaj wysepkami. Sporo także było szerokich mielizn, zwłaszcza między wyspami Maja i Karimata. Przez cały ten czas raz tylko spotkali mały konwój, idący pod osłoną kontrtorpedowców i kanonierek, z którymi „Jubari” wymieniał sygnały flagowe. Poza tym morze stałe było puste. Jeśli nawet w okolicach tych żyli jacyś rybacy, to trzymali się tylko przybrzeżnych mielizn. Większe statki natomiast zniknęły z oceanu zupełnie — okupacja japońska niemal całkowicie zlikwidowała handel międzynarodowy.

Była godzina mniej więcej czwarta po południu, gdy powoli, omijając pola minowe, wpływali do długiej, trójkątnej zatoki, na której wierzchołku, u ujścia rzeki Landak, leżało największe miasto na wybrzeżu zachodnim holenderskiego Borneo — Pontianak. Ów port równikowy, o nieprzyjemnym, wilgotnym i gorącym klimacie, którego nie mogło złagodzić nawet morze, rozległy był już przed wojną, bowiem większość handlu holenderskiego Borneo przechodziła albo tędy, albo też przez port Bandjermasin na wybrzeżu południowym. Japończycy rozbudowali jeszcze znacznie urządzenia portowe, tworząc z niego potężną bazę, którą liczne baterie dział przeciwlotniczych chroniły przed atakami amerykańskich fortów latających. Port był gęsto zastawiony; najrozmaitszej wielkości statki transportowe przewyższały znacznie ilością jednostki marynarki wojennej. Stały tu na kotwicy parowce dziesięcioletnie, ale także i barki nie większe od „Tanah”, służące przeważnie do transportu przybrzeżnego dla potrzeb miejscowej ludności.

Ledwie tylko zbliżyli się na odpowiednią odległość, „Jubari” zaczął nadawać sygnały chorągiewkami.

— Potraficie to odczytać? — zapytał Brent Leslie Browna.

Stali na dziobie barki przy lewej burcie zapatrzeni w port, pozornie nie zwracając uwagi na to, co się dzieje na maszcie sygnałowym prowadzącego ich na holu okrętu.

— Jak gazetę — odparł z pewną dumą Brown, znawca języka japońskiego. — Sygnały flagowe mają podobne do naszych. Wzywają policję portową. No, teraz trzeba będzie to jakoś wytrzymać!

W chwili gdy krążownik rzucał kotwicę o kilka kabli od mola portowego, podjechała gęsto obsadzona przez policjantów z wielkimi rewolwerami motorówka policyjna. Podczas

gdy oficer policji prowadził pertraktacje z dowódcą krążownika, marynarze z „Jubari” przerzucili linę holowniczą barki na motorówkę. Dowódca motorówki niedługo zabawił na krążowniku. Rzuciwszy pobieżnie okiem na barkę i jej załogę, wszedł do swej motorówki i dał rozkaz do powrotu. Motorówka szła szybko holując barkę szerokim łukiem wokół dużego skupiska wielkich parowców transportowych, zakotwiczonych dość daleko od mola. Dopiero na samym niemal końcu północnego nabrzeża zatrzymała się przed niskim, wstępnym budynkiem betonowym z okratowanymi oknami, nad którym powiewała normalna flaga ze wschodzącym słońcem.

— Komisariat policji portowej — szepnął Brown do Brenta, odczytawszy tajemnicze zygzaki japońskiego pisma, wymalowane na białej desce nad wejściem.

— Wszyscy na górę! — rzucił oficer policji surowy rozkaz pod adresem załogi.

Policjanci stali już na nabrzeżu, broń mieli w kaburach, twarze najzupełniej obojętne. Wziąwszy ludzi z komanda pomiędzy siebie poprowadzili ich do długiej, wąskiej izby, gdzie dwóch ludzi w mundurach pisało coś na maszynach — czcionki grały nieprzerwanie w szybkim tempie. Podnieśli obojętne spojrzenia znad roboty i znów pochyłili się nad maszynami, nie zwracając uwagi na przybyszów, którzy na znak straży posiadali na niskich ławkach pod ścianami. Dwaj policjanci pozostali przy nich na straży, trzeci wyszedł wraz z Brentem i oficerem, inni zniknęli w niskich drzwiach wartowni, skąd przy otwarciu drzwi dobiegały głośnie rozmowy.

Brent na polecenie oficera wszedł wraz z nim w drzwi naprzeciwko i znalazł się w małej izdebce z jednym okratowanym oknem. Jedynym meblem w tej izbie była wkopana w ubitą ziemię drewniana ławka.

— Pan tu zostanie! — rzucił krótko oficer.

Brent z całym spokojem usiadł na ławce, policjant stanął przy nim, a oficer zniknął w następnych z kolei drzwiach. Pułkownik zaczął się swobodnie rozglądać po izbie, ogromnie przypominającej celę więzienną. Jedyną ozdobą wnętrza była tu wisząca na ścianie pożąłkła mapa Oceanu Spokojnego. Gdy przyjrzał się małym chorągiewkom, które oznaczały podboje japońskie na Pacyfiku, lekki uśmieszek ukazał się w kącikach jego ust. Japończycy pozostawili chorągiewki także i na tych Wyspach Salomona, które Sprzymierzeni mocno już trzymali w garści, a nawet i na wyspie Guadalcanal — słynnej z gwałtownych o nią walk — zajętej jeszcze w lutym. Stwierdził w duchu, że propaganda faszystowska wszędzie jednakowo posługuje się kłamstwem w stosunku do własnych obywateli, bez względu na to, kto ją szerzy: żółci Japończycy, płowowłosi Germanie Hitlera czy przybrani w czarne koszule ludzie Mussoliniego. Odwrócił wzrok do okna: zakurzone puste podwórko, otoczone niskim, betonowym murem. Nie mógł obronić się myśli: jeżeli zawiodło któreś z kółek Secret Service, puszczonych w ruch w związku z jego ekspedycją, to może już za chwilę znajdzie się pod tym murem wraz z swymi towarzyszami, którzy szli za nim z ślepym zaufaniem... I trzeba będzie wówczas spojrzeć w lufy karabinów plutonu egzekucyjnego... Szybko odegnał tę myśl i z chłodną rozważą zaczął obmyślać, co trzeba będzie zrobić, gdy się stąd wydostaną.

Drzwi otworzyły się cicho, wszedł oficer, za nim młody, wysoki i szczupły mężczyzna w białym cywilnym ubraniu, w hełmie tropikalnym na głowie. Brent podniósł się; oficer przystanąwszy na dwa kroki przed nim zwrócił się do cywila:

— Kto to jest? — spytał, wskazując na Brenta.

Po izbie przemknął lodowaty powiew śmierci, lecz na twarzy Brenta zwróconej w stronę młodego człowieka zjawił się miły uśmiech. Chciał coś powiedzieć, ale Japończyk stanowczym gestem nakazał mu milczenie.

— No, zna pan tego człowieka? — zniecierpliwiony dopingował cywila.

Szaroniebieskie oczy młodego człowieka bacznie wpatrywały się w spokojną twarz Brenta.

— Naturalnie że znam, nie wiem tylko, czy on mnie pamięta — zaczął powoli. — Spotkałem go kiedyś w Tegalalu, u van Helmera. O ile się nie mylę, to jest mynheer Boosche, jeden z kapitanów firmy Helmer. A pan przypomina mnie sobie, mynheer?

— Twarz pamiętam, tylko niestety nazwiska zapomniałem — odpowiedział Brent, ściskając serdecznie wyciągniętą rękę.

— Hans Diemen, księgowy firmy van Leuwen — prezentował się cywil. — Byłem u was podczas podróży służbowej przed dwoma laty, zaraz po upadku Singapuru.

— Dobrze, to w porządku — przerwał mu oficer. — Proszę za mną, mynheer, dam panu przepustkę dla tych ludzi i ich łodzi — zwrócił się do Diemena.

Coś jeszcze powiedział policjantowi, który pilnował Brenta, a ten natychmiast opuścił izbę, potem sam w towarzystwie Holendra wyszedł. Wystawiwszy przepustki z radością wsunął do kieszeni gruby banknot, przewyższający znacznie wysokość normalnej opłaty, zwłaszcza, że księgowy van Leuwena zapewnił go, iż nie potrzebuje fatygować się wydawaniem reszty. Nareszcie Brent w towarzystwie van Diemena opuścił budynek policji portowej. Zabrał ze sobą członków załogi i wszystkie odebrane mu przez porucznika dokumenty. Bez słowa schodzili po szczeblach żelaznej drabinki, wmurowanej w betonową ścianę mola. Weszli na pokład barki, obok nich siedł funkcjonariusz policji japońskiej, który jeszcze miał dokonać rewizji. Była ona niezmiernie powierzchowna i krótka; Japończyk po paru minutach wyniósł się z głębokim ukłonem, wzięwszy uprzednio łapówkę z rąk Diemena.

— Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, to przesuniemy barkę między nasze łodzie — zaproponował Diemen.

Pułkownik odpowiedział skinieniem głowy, potem nachyliwszy się szepnął mu do ucha po angielsku:

— Świetnie pan to wszystko załatwił, dziękuję panu w imieniu nas wszystkich!

— Już przed czterema tygodniami dostaliśmy wiadomość — tamten w odpowiedzi uśmiechał się radośnie. — Przyszła za pośrednictwem komórki podziemnej pułkownika Atena. U van Helmera przygotowaliśmy wszystko tak, by żadne zapytanie nie mogło spowodować wyspy. A sam van Helmer poszedł nawet tak daleko, że kazał Japończykom wystawić sobie autentyczne dokumenty na barkę „Tanah”... Oczywiście: nie te, które pan ma teraz przy sobie. Bo gdyby się co stało, zawsze mógłby się wykręcić, że barkę porwała mu jakaś grupa angielskich terrorystów... — śmiał się Diemen. — Ale przy tym wszystkim i tak miał pan szczęście — ciągnął dalej. — Bo nie wszyscy nasi pracownicy biorą udział w ruchu oporu, nie wszystkich obdarzamy pełnym zaufaniem. Gdyby przypadkiem wezwanie oficera policji portowej do stawienia się w komisariacie trafiło na kogoś z nie wtajemniczonych, wówczas sytuacja wasza byłaby tragiczna...

Rozmowa prowadzona była już dosyć głośno; barka, zgodnie ze wskazówkami Diemena, wydostała się z płataniny zakotwiczonych statków i płynęła do znacznie odległego końca północnego nabrzeża portu. Rozmowie tej przysłuchiwał się Harry wraz z Dickiem. Młody Australijczyk nie krył wyrazów podziwu dla wielkiej odwagi Diemena, na co stary, doświadczony kolega odpowiedział mu ze śmiechem:

— Drogi Dicku, jesteś rodem z takiego szczęśliwego kraju, który nie wie, co to inwazja wroga. Prawdę powiedziawszy to i ja także, ale nie po raz pierwszy przebywam w kraju podbitym przez nieprzyjaciela. Zawsze wśród miejscowej ludności znajdziesz fantastycznych bohaterów, którzy nie oglądają się na nic, nie myślą o tym, że może już nazajutrz czeka ich wraz z całą rodziną śmierć — za to tylko, że przenocowali pod swym dachem spadochroniarza lub członka takiego komanda jak nasze. Ludzie ci zasługują na najwyższy szacunek, drogi chłopcze. Mogę cię zapewnić, że tego rodzaju bezimienne, bynajmniej nie romantyczne, cywilne bohaterstwo znacznie bardziej cenię, niż to co robimy my, częściowo z racji naszego zawodu, częściowo z żądzy wielkiej przygody... Gdy będę miał kiedyś czas,

opowiem ci, co przeżywałem, gdy szliśmy z Brentem po tego niemieckiego generała na Krecie!

Dick milczał — nie we wszystkim zgadzał się z Harrym. Przede wszystkim nie mógł uwierzyć, by jakkolwiek z dowódców wojsk okupacyjnych kazał wystrzelać całą rodzinę za tak niewielkie stosunkowo przestępstwo, chociaż o Japończykach krążyły bardzo przykre wieści, zwłaszcza jeśli chodzi o ich stosunek do jeńców wojennych. Zresztą i rozbitkowie z „Sheldonu” twierdzili, że lotnicy japońscy strzelali do nich jeszcze wówczas, gdy już przestali się bronić, a okręt podwodny tonął... Ponieważ jednak Dick bardzo polubił Harrego, nie chciał mu przeczyć.

Barka zakotwiczyła obok dwóch mniejszych i jednego większego statku pod flagą holenderską. Diemen wyjaśnił, że to statki ich firmy, które czekają na ładunek kopry i rud.

— Całe szczęście, że jesteśmy tutaj trochę na uboczu, w razie potrzeby stąd łatwiej się wymknąć, niż z portu wewnętrznego — mówił wysiadając z łodzi, na której pozostawiono dwóch ludzi na straży.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba uciekać stąd na łeb, na szyję — odpowiedział Brent.

A jednak w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin okazało się, że tym razem nadzieje jego zawiodły...

Pułkownik nie tracił czasu: postarał się za pośrednictwem Diemena o inne czołna gumowe w miejsce tych, które pozostały w zatoce Ajer Itam, i najspokojniej zajął się ładowaniem kopry. Miał zamiar pozbyć się jej natychmiast, gdy tylko wypłyną na morze.

Naraz przylecieli zdyszani: Brown i Ronney.

— Pułkowniku, musimy wiać stąd i to jak najprędzej! — mówił Brown z trudem łapiąc oddech.

Na zapytanie pułkownika szybko powtórzył podsłuchaną rozmowę:

Wyszli mniej więcej przed godziną, gdy dostali od pułkownika pozwolenie na obejrzenie miasta. Nie znalazłszy nic ciekawego w Pontianaku, wracali powoli w stronę barki, gdy nagle uwagę ich zwrócił wielki statek transportowy „Nitta Maru”, który po południu przycumował do mola.

— Trudno wprost uwierzyć, że tu w tym porcie tak głęboko. Przy samym molo może rzucić kotwicę taka solidna krypa... — dziwił się Ronney. — Jak myślisz, ile ona może mieć? — pytał Browna.

Ten jednakże nie odpowiedział; zainteresował się rozmową dwóch marynarzy z „Nitta Maru”, którzy stojąc obok wielkiej sterty wyrzuconego na brzeg ładunku — przeważnie części maszyn górniczych — rozmawiali zupełnie swobodnie, licząc że „białe diabły” ich nie zrozumieją.

— Przyjrzałem jej się dokładnie, gdy przepływaliśmy obok — mówił młodszy z marynarzy wyciągając rękę w stronę, gdzie stała na kotwicy „Tanah” — głową dam za to, że to ta sama! Była własnością mego stryja, który nazwał ją „Krait”. Woził nią towary z Nowej Gwinei do australijskich portów.

— Chyba się mylisz — miał wątpliwości starszy marynarz. — Skąd by się tutaj wzięła?... Czy ten twój stryj gdzieś tutaj mieszka?...

— Właśnie że nie... I to jest najdziwniejsze. Pamiętam doskonale, że przed samą wojną sprzedał ją jakiemuś Australijczykowi.

— To świetna historia! — wybuchnął starszy gardłowym, typowym dla Japończyków śmiechem. — Australijska łódź w naszym porcie wojennym?... Coś ci się przywidziało!

— Nie przywidziało mi się — upierał się młodszy. Brown nie czekał już końca sporu. Schwyciwszy Ronneya za rękaw odciągnął go kawałek dalej, by zejść z oczu rozmawiającym, potem obaj ostro przyspieszyli kroku.

Opowiadanie Browna słyszał także księgowy firmy van Leuwen. Na twarzy jego odbił się wyraz niepokoju.

— Poczekajcie chwilę, skoczę obok na nasz statek „Buitenzorg” i zatelefonuję do firmy. Na razie dajcie spokój z tą koprą i ściągnijcie wszystkich swych ludzi!

Decyzja Brenta szła w tym kierunku: gdy tylko Diemen pobiegł, wysłał trzech ludzi po Harrego, który wraz z Dickiem wałęsał się gdzieś po mieście. W kwadrans później już wszyscy byli na miejscu. Tymczasem z „Buitenzorgu” spuszczone solidną motorówkę, mogącą pomieścić wygodnie sześć osób. Na razie jednak łódź była pusta; po chwili wskoczył do niej młody księgowy, łódź odbiła od statku. Zdyszany Diemen wołał na Brenta, by przydzielił mu do motorówki dwóch, trzech członków załogi i rzucił mu linę holowniczą. Na motorówkę przesiadł się sam Brent z Harrym i Dickiem, dowództwo na barce przejął White. Zresztą, na pokładzie barki nic nie było do roboty: holowała ją ze zwiniętymi żaglami motorówka z „Buitenzorgu”. Diemen zapuścił motor, obie łodzie powoli ruszyły. W miarę jak odległość między nimi a portem rosła, Diemen zwiększał szybkość. Jeszcze parę razy rzucił zaniepokojone spojrzenie w stronę portu — zdawało się, że nikt na ich odjazd nie zwrócił uwagi.

— Zatelefonowałem do biura, że jadę w podróż służbową do Bandjermasin — tłumaczył się Brentowi. — Obojętne, czy Japończycy uwierzą w to, czy nie. Będą chcieli oczywiście sprawdzić. Jasne jednak, że już zostać nie mogłem. Na szczęście jestem kawalerem, rodziców i rodzeństwo mam w kraju. Przypuszczam, że im nic nie grozi, chyba żeby Japończycy odnieśli się z tym do niemieckich władz okupacyjnych, ale w to wątpię. Za wiele mają kłopotów na Oceanie Spokojnym, na Europę zabraknie im już czasu. Przypuszczam, że zabierze mnie pan ze sobą?... — Słowa młodego księgowego rwały się w takt kołysania się holującej barkę motorówki.

— Z największą przyjemnością, tylko że czeka nas bardzo niebezpieczne zadanie — odpowiedział serdecznie Brent.

— Nic gorszego jak śmierć spotkać mnie tam chyba nie może! — roześmiał się wesoło Holender. — A tu mam ją zagwarantowaną... I w dodatku nie przyniosłaby nikomu najmniejszej korzyści...

Na dalszą rozmowę nie było już czasu — zbliżali się do zamykających port pół minowych. W pewnej chwili podpłynął do nich kuter strażniczy; dowódca kutra powoli i dokładnie przeglądał dokumenty. W trakcie tego Brent zauważył, że Diemen i Dick Stanton wiercą się niecierpliwie rzucając nieustannie ukradkowe spojrzenia w stronę portu. Wreszcie Japończyk zwrócił Holendrowi dokumenty z uwagą, że wszystko jest w porządku.

— Jak głębokie macie zanurzenie?... — Otrzymawszy od Diemena wyjaśnienie, pouczał ich jeszcze: — Trzymajcie się północnego brzegu, nie oddalajcie się od niego dalej jak na kabel! — przestrzegał.

Kuter już odbijał, gdy nagle z portu odezwała się syrena. Na pierwszy jej dźwięk Diemen poczuł, że serce w nim zamiera, po chwili jednak odetchnął z ulgą.

— Alarm lotniczy!... Kryć się przy brzegu!... — wołał kapitan kutra strażniczego i sam ruszył natychmiast pod południowe nabrzeże.

Diemen zgodnie z rozkazem skręcił pod północny brzeg, jednakże nie zatrzymał motorówki, jak to było jego obowiązkiem. Przeciwnie: całą szybkością gnał na pełne morze, jak gdyby nie słyszał ostrzegawczych sygnałów gwizdka z kutra strażniczego. A kuter ten był jeszcze niedaleko. Brent w pewnej chwili zauważył, że kuter zatrzymał się nagle, jakby chciał zawrócić. Jeśli nawet Japończycy mieli taki zamiar, to na wykonanie go zabrakło im już czasu: nad zatoką pojawił się zespół bojowy samolotów amerykańskich B-29 — powitany z gorącym entuzjazmem przez załogę barki — i zaczął siać śmierć. Dziwnym zbiegiem okoliczności jedna z pierwszych bomb małego kalibru — jakie zazwyczaj poprzedzają potężne, wielosetfuntowe — trafiła w dziób kutra strażniczego, który w parę sekund później

zniknął bez śladu pod wodą. Drugi kuter strażniczy, pełniący służbę poza zaporą minową, popłynął mu szybko na pomoc. Siedzący przy sterze motorówki Diemen odetchnął z ulgą.

Już Pontianak zniknął im powoli z oczu za wielkim łukiem zalesionego wybrzeża, gdy wycie syreny portowej odezwało się po raz drugi.

— Czyżby odwołanie alarmu?... Dziwna rzecz, przecież latające fortece krążą jeszcze nad portem! — dziwił się Brent.

Głuche salwy baterii przeciwlotniczych grały nieustannie, napęliając hukiem i łoskotem całą zatokę.

— To nie odwołanie alarmu, lecz rozkaz zamknięcia portu! To odnosi się do nas — odpowiedział Diemen. — Tylko że nam to już teraz obojętne! — dodał zadowolony. — Jaki kurs pan każe, pułkowniku?

Brent zastanawiał się chwileczkę.

— Zachodnio-północno-zachodni!

— All right! — odpowiedział księgowy zgodnie z rozkazem nastawiając według kompasu koło sterowe, ale w głosie jego zabrzmiało nietajone zdziwienie.

XXI

WYSPA TEKONG BESAR

Południowy cypel Półwyspu Malajskiego był własnością sułtana dżohorskiego od chwili, gdy Anglia — za pośrednictwem swego gubernatora, sir Stamforda Rafflesa — nabyła od niego wyspę singapurską, przylegającą niemal do lądu od strony najbardziej na północ wysuniętego pobrzeża. Wyspę tę dzieli od lądu tylko wąski pasek morza, miejscami zaledwie pół mili angielskiej, czyli osiemset metrów szeroki. Transakcja ta, zawarta w roku 1819, obejmowała nędzną wysepkę, wszystkiego pięćset metrów kwadratowych powierzchni, znane siedlisko piratów. Sułtan dżohorski, otrzymawszy za nią sumę sześćdziesięciu tysięcy dolarów hiszpańskich i dożywotnią pensję w wysokości dwudziestu czterech tysięcy dolarów rocznie, od tego czasu przestał właściwie być panem swego małego państwa, gdyż Anglicy zaczęli natychmiast budować tu potężny port wojenny, dając mu nazwę od nazwy wyspy — Singapur.

Port ten stał się bazą kluczową wszystkich ich posiadłości w Indiach Zachodnich i na Półwyspie Malajskim oraz potężną bramą wypadową do ich posiadłości na Oceanie Spokojnym. Nic więc dziwnego, że wzmacniali tu nieustannie fortyfikacje i stale zmieniali liczne baterie dział dalekosiężnych, ilekroć były już zbyt przestarzałe.

Przed drugą wojną światową wykończyli komplet nowych, ukrytych pod ziemią bunkrów betonowych, ze stalowymi wieżami, uzbrojonymi w działa największego kalibru. Zmieniło to Singapur w nowoczesną twierdzę pierwszego rzędu — „niezdobyty bastion,” jak powszechnie mówiono. W trakcie tej budowy popełnili wszakże jeden błąd: liczyli mianowicie, że Półwysep Malajski i jego cypel południowy, sułtanat dżohorski, na zawsze pozostaną w ich rękach, tworząc bezpieczne zaplecze dla fortecy w Singapur, którą w każdej chwili będą mogli dowozić ludzi, materiały i zapasy. I dlatego właśnie twierdzę swą ustawili frontem do morza, które wyspę Singapur otacza z trzech stron — jeśli oczywiście nie brać pod uwagę wąskiej cieśniny dzielącej wyspę od lądu stałego. Trudno zresztą przesmyk ten nazwać morzem, skoro pod względem szerokości przewyższa go w wielu punktach nawet Wełtawa.

Japończycy — włączywszy się do wojny światowej w sposób zdradziecki, bez wypowiedzenia wojny, miażdżącym atakiem na port Pearl Harbour na Wyspach Hawajskich — od pierwszych dni wojny nosili się z zamiarem zdobycia Singapuru, ponieważ plany ich były nie mniej śmiałe od planów ich europejskiego sprzymierzeńca — Hitlera. Nie chcąc sprawdzać słuszności opinii angielskiej, że Singapur od strony morza jest twierdzą nie do zdobycia, zaatakowali go od strony lądu.

Na dobrych parę miesięcy przedtem, zanim atakiem na Pearl Harbour podjęli wojnę z Anglią i Ameryką, Japończycy z ich specyficzną przebiegłością przygotowywali śmiertelny cios dla Singapuru. Zdradziecki gubernator Indochin Francuskich, posłuszny kolaboranckiemu rządowi Petaine'a w Vichy, już z końcem czerwca 1940 roku zgodził się na wpuszczenie ich agentów do tej najważniejszej kolonii; we wrześniu odstąpił im trzy lotniska i bez jednego wystrzału pozwolił, by do kraju tego wmaszerowało sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy japońskich. W ich ręce wydał także ważny port Saigon, położony o zaledwie sześćset mil na północ od Singapuru, a Japończycy oczywiście zamienili go natychmiast w pierwszorzędną bazę morską.

Jeszcze chętniej niż tchórzliwy gubernator francuski przyjął protektorat japoński graniczący z Indochinami Francuskimi Syjam — skuszony pozornymi ustępstwami terytorialnymi. Jesienią 1941 roku w dawnych koloniach francuskich zgromadzono ponad dwieście tysięcy wojsk japońskich, zaprawionych specjalnie do walk w dżungli. Dalsze poważne rezerwy oczekiwały na Formozie i w obsadzonych przez Japończyków Chinach.

Natychmiast po uderzeniu na Pearl Harbour nastąpiło lądowanie na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Malajskiego. Miało to miejsce w nocy z dnia ósmego na dziewiątego grudnia 1941 roku. Anglicy, wiodący wówczas z Hitlerem walkę na śmierć i życie w Europie, nie mogli przyjść koloniom z pomocą, mimo iż w momencie, gdy byli już u kresu sił, atak niemiecki na rosyjskiego kolosa przyniósł chwilowe odprężenie. Dla długiego półwyspu jedenasta angielska dywizja królewska słabą tylko stanowiła osłonę. Japończycy, wyposażeni w lekkie czołgi i wozy pancerne, specjalnie przystosowane do akcji w dżungli, łatwo dali sobie z nią radę. Trzema klinami wbili się w głąb kraju, parli naprzód — szybcy, niezmordowani, uparci jak olbrzymia chmara żarłocznej szarańczy, przed którą nie ma obrony, gdy spada na pola i niszczy wszelkie plony. Ci mistrzowie podstepu, których nie podobna było odróżnić od dobrodusznym tubylców, małymi grupkami, z ukrytą bronią jak dywersanci, szli nieustannie naprzód, niepostrzeżenie otaczając angielskie pozycje.

Co prawda trzeba przyznać, że Japończycy nie tylko liczebnie silniejsi byli od Sprzymierzonych, ale żołnierz ich lepiej był wyćwiczony, ich dowództwo było lepsze, z tego chociażby tytułu, że było jednolite. Natomiast naprzeciw nich stały rozproszone chińskie oddziały Czang-kai-szeka, odcięte od angloindyjskiej armii Wavella, nie posiadające wspólnej organizacji obronnej. Na domiar klęski japońskim lotnikom udało się dnia dziesiątego grudnia zniszczyć bombami okręt liniowy „Prince of Wales” oraz ciężki krążownik „Repulse”. W ten sposób możliwości japońskiego transportu morskiego wzrosły znacznie. Japończycy byli absolutnymi panami w powietrzu — mimo iż atakowali Singapur formacjami po trzydzieści do czterdziestu maszyn, Anglicy nie mogli stawić im czoła, chociaż ściągnęli wszystkie maszyny z całego Półwyspu Malajskiego i uzupełnili je jeszcze eskadrą „Hurricaneów.” W miejsce strąconych samolotów nie mogli jednak wstawiać nowych, a tymczasem Japończycy straty uzupełniali wciąż nowymi maszynami.

Pod koniec grudnia wojska japońskie rozlały się po ryżowych polach i lasach kauczukowych Dżohoru, potem zebrały się o sto mil na północ od Singapuru, przygotowując się do ostatniego skoku. Przerwa w działaniach nie trwała długo. W połowie stycznia 1942 roku Japończycy zjawili się nad wąską cieśniną, dzielącą wyspę Singapur od lądu. Ustawili baterie na gruzach dawnego wschodniego miasta Dżohor Baru, pod osłoną ulewy stali przeszli cieśninę i na angielskim brzegu wyspy, w zbombardowanym forcie Kranz zbudowali potężny przyczółek.

Inne oddziały lądowały na wschód i zachód od tego punktu; rozbiwszy opór angielski opanowali dostarczając wody dla twierdzy wodociąg. Dnia piętnastego lutego 1942 roku — w siedemdziesiąt niemal dni od pierwszego ataku na Półwysep Malajski — Singapur poddał się bezwarunkowo. Do niewoli dostało się wówczas siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

Przez zdobycie Singapuru Japończycy wbili klin między Indie i Półwysep Malajski, zyskując zarazem odskocznia do ataku na Indie Holenderskie, których zdobycie było już teraz kwestią najbliższych dni.

Początkowo, gdy Japończycy oczyszczali zdobyte tereny z rozproszonych sił nieprzyjacielskich, wszędzie roilo się wprost od ich żołnierzy, placówki ich były na każdej, najmniejszej nawet wysepce, przede wszystkim zaś w bliskich okolicach Singapuru i na licznych wyspach i wysepkach zagradzających drogę na Sumatrę. Ale półtora roku wojny znacznie uszczupliło ich rezerwy — musieli zacząć ściągać swe placówki z mniej ważnych obiektów. Jednym z nich był niedostępny kanał z Zatoki Dżohorskiej. Wyspa Tekong Besar, czyli Wielki Tekong, zamyka go niemal całkowicie. Pozostała więc tu tylko nieliczna załoga japońska na oświetlonym statku, kotwiczącym przy wschodnim brzegu wyspy, który oznaczał niebezpieczną Cieśninę Belungkorską, szeroką zaledwie na pół mili. Ruch tu był bardzo nieznaczny, ponieważ w głębi Zatoki Dżohorskiej istnieją tylko dwie osady: Dżohor Lama i Penczar. Z tej pierwszej miejscowości przyjeżdżała na Wielki Tekong raz w tygodniu wielka łódź motorowa, przywożąc zaopatrzenie i zmianę załogi.

Zadaniem załogi tego latarniowca było przeprowadzenie od czasu do czasu obchodu całej wyspy, ale zadanie to szybko uległo uproszczeniu, gdy stwierdzono powtórnie, że wyspa to przeważnie nieprzenikniona dżungla drzew mangrowych, absolutnie niezamieszkała, na której wszechwładnie i bezkarnie grasują sobie tygrysy i lamparty. Skończyło się więc objazdem wokół brzegów wyspy — około dwadzieścia mil drogi. Kiedy jednak motorówka parokrotnie rozbiła się na zdradnych rafach, nie zdolna pokonać siły prądów i wirów morskich, dowództwo w Dżohor Lama i z tych objazdów zrezygnowało. Od tego czasu zadowalało się tylko meldunkami samolotów wywiadowczych, które od czasu do czasu odbywały loty nad tymi bezludnymi terenami sułtanatu dżohorskiego.

Lecące szybko samoloty nie mogły jednakże wykryć małej barki, stojącej tuż przy brzegu malutkiej zatoki, gęsto wokoło obrośniętej wysokim lasem palm i akacji. Barka ukryta była tak dobrze, że nawet przebiwszy się przez liczne mielizny i wystające z morza rafy można by ją wykryć tylko wtedy, gdyby natknąć się na nią bezpośrednio. Była to „Tanah” pułkownika Brenta i jego oddziału, który powiększył się o młodego, zaradnego księgowego firmy van Leuwen z Pontianaku, Hansa Diemena.

Od wypłynięcia z Pontianaku szczęście sprzyjało im już nieprzerwanie. Nalot fortec latających uniemożliwił Japończykom wysłanie w pogoń kutra strażniczego. Gdy wreszcie pościg podjęto — „Tanah” była już daleko na morzu. Prowadzona przez motorówkę na hoku i gnana wiatrem płynęła w stronę Półwyspu Malajskiego z szybkością piętnastu mil. Nocą wiatr wzmógł się jeszcze, ciągnął od wschodu. Kiedy ze względu na brak benzyny zrezygnowali z motorówki i zatopili ją w morzu, barka nadal utrzymała tę samą szybkość.

W dwadzieścia godzin później, podczas rzęsistego deszczu, znaleźli się w pobliżu wyspy Wielki Tekong. Widoczność była tak mała, że kapitan White kazał zrefować żagiel; barka wlokła się powolutku wzdłuż południowego brzegu wyspy, omijając progi podmorskie, o które kil barki ocierał się raz po raz. Brent miał szczegółową mapę okolic wyspy, na której oznaczona była każda mielizna. Brytyjczycy planowali kiedyś urządzenie tu drugorzędnej fortecy, broniącej dostępu do Zatoki Dżohorskiej, dlatego też kazali sporządzić dokładne mapy wyspy i jej okolic. Później z zamiaru tego zrezygnowali, ponieważ się okazało, że nawet podczas przyływu nie mogą przepływać tutaj większe statki, a nieodzowna w tych warunkach regulacja dna morskiego byłaby niesłychanie kosztowna. Dzięki tej właśnie mapie Brenta udało się White’owi dotrzeć już o zmroku do zachodniego wybrzeża wyspy, które na oko wyglądało zupełnie niedostępne.

Zanim noc zapadła, barka przybiła do brzegu w głębi zalesionej zatoki. Za dnia okazało się, że punkt zakotwiczenia jest świetnie chroniony przez las: rosnące nad brzegiem drzewa

opuszczały gałęzie nisko nad wodę, tak że łódź ukryta była doskonale przed badawczym okiem lotnika. Pozostała więc na miejscu.

W ciągu dnia rozbili obozowisko w lesie. Wybrzeże nie było łatwo dostępne — o parę kroków od linii przyływu wznosiło się stromym zboczem, poprzecinanym parowami i wąwozami, gęsto porośnięte wysoką trawą, krzewami i drzewami. Typowa dżungla, gdzie ciągną się na zmianę szerokie pasy trawy, zarośla i drzewa, ale właściwie skalista dżungla, jeżeli można to tak określić. Komando Brenta szybko znalazło doskonałe miejsce na założenie obozowiska, chronione ze wszystkich stron nieprzeniknioną na oko gęstwiną krzewów i kęp drzew liściastych — w głębi dżungli. Gdy jednak próbowali przedostać się dalej, okazało się, że gąszcza te wcale nie są tak niedostępne, jak się początkowo zdawało. Poprzez krzewy i zarośla doszli do dwóch bocznych, płytkich wąwozów. Jeden z nich kończył się niedaleko u podnóża stromego urwiska, pokrytego naprawdę nieprzebytą ścianą mangrowców, drugi po krótkim stosunkowo marszu zaprowadził ich do poprzecznego parowu, w którym wesoło szemrał potoczek. Odkrycie to było niezmiernie ważne dla załogi „Tanah”, gdyż w pobliżu obozu nie było wody. Przez chwilę pułkownik nosił się nawet z zamiarem przeniesienia całego obozu do parowu nad strumykiem, ale po namyśle odstąpił od tego planu. Wybrane miejsce na obóz odległe było od barki o parę minut drogi zaledwie, tymczasem do parowu nad wodą droga trwała dobre pół godziny. Stanowczo lepiej było nosić wodę do obozu, niż spuścić z oka barkę.

— Trochę tu będzie wilgotno — oceniał krytycznie teren Harry, gdy zabrali się do ustawiania namiotów w cienistym załomie skał.

— Reumatyzmu się boisz, stary włóczęgo? — śmiał się Connor, którego ruda głowa jarzyła się na tle ciemnej zieleni.

— Ty się go bać nie potrzebujesz, to wierzę — odciął Harry. — Tyle masz ognia na łbie, że starczyłoby i na osuszenie moczarów.

Przy rozbijaniu obozu pomagał także Dick Stanton, ale poruszał się jak błędny. Świadomość, że przedarli się tysiące mil po nieprzyjacielskich wodach, wprawiała go w stan oszołomienia, tamowała chwilami oddech w piersi. Orientował się już dokładnie, co Brent zamierza, ale kiedy z ust pułkownika bezpośrednio dowiedział się szczegółów, mimo wszystko tętna mocniej zabiły mu w skroniach.

Było to wieczorem, pierwszego dnia pobytu na Tekong Besar. Ludzie byli zmęczeni wykonaną w ciągu dnia pracą: wynieśli na brzeg wszystkie rzeczy, urządzili obóz z niezwykłą starannością, co wskazywało, że pułkownik ma zamiar zabawić tu czas dłuższy. Rozsiedli się wokoło ogniska obozowego — płomień odganiały chłód nocy i wilgoć kotliny, a wraz z nimi i dokuczliwe moskity. Nagle Brent poprosił o ciszę i zaczął mówić.

Nie był wybitnym mówcą, mówił zwięźle, rzeczowo, krótkimi zdaniami, ale treść tych słów była dostatecznie wstrząsająca — zbędna tu była wszelka sztuka krasomówcza dla wywarcia wrażenia na słuchaczach. Brent treściwie opisał siedemdziesięciodniowy bój o Malaje, zakończony upadkiem Singapuru — „największą tragedią armii brytyjskiej, jaką pamięta historia” — w określeniu premiera Winstona Churchilla. Przypomniał wielką ofensywę podjętą na początku tego roku przez Amerykanów i Sprzymierzonych, która zapoczątkowała wędrówkę po długiej, tysiące mil liczącej drabinie — od wyspy do wyspy. Pierwszy szczebel tej drabiny to Wyspy Salomona, ostatni zaś — wyspiarskie państwo japońskie wraz z siedzibą mikada, Tokio.

— Wojna jest w pełnym toku, koledzy, lecz szaleje ona na terenach odległych stąd o tysiące mil. A w tym wydartym nam Singapurze Japończycy czują się zupełnie bezpieczni. Pokażemy im, że to poczucie bezpieczeństwa jest złudne, że żołnierz brytyjski potrafi pokonać każdą przeszkodę. Zaatakujemy ich w samym sercu ich potęgi wojskowej, którą uważają za niezwalczoną i niezniszczalną. Pomścimy „Repulse” i „Prince of Wales”.

Skończył. Chwilę panowała cisza, którą mąciło tylko trzaskanie ognia, potem jednak zerwała się taka burza entuzjazmu, że musiał energicznie interweniować. Nie znali przecież jeszcze dalszych okolic obozu, a krzyk tylu gardeł słyszać było na pewno z odległości pół mili.

Tej nocy Dick Stanton długo nie mógł usnąć. Gdy mu się to wreszcie udało — sen przeniósł go w kłębowisko wstrząsających przeżyć. Słyszał wycie syren, widział długie, oślepiające wachlarze reflektorów krzyżujące się nad powierzchnią morza, rozplamionego krwawą łuną pożarów. Uciekał wraz z Harrym małym czółnem, wiosłował ostatkiem sił walcząc o życie. Zbawcze ciemności porośniętego lasem brzegu były już tak blisko, gdy nagle zalało go ostre, bezlitosne, raniące wprost oczy światło, mocniejsze niż światło słoneczne. Słyszał stuknięcie przybijającej do ich czółna łodzi... ze wszech stron wyciągały się ku niemu ręce nieprzyjaciół. Szarpnął się gwałtownie, próbując się wyrwać... Obudziło go głośne wymyślanie śpiącego tuż obok Harrego, który dostał cios w brodę.

— Co ciebie za diabli noszą, ty dzikusie? — urągał Harry. — Leżże spokojnie, pozwól się wyspać porządnym, zmordowanym całodzienną harówką ludziom.

Przeprosiwszy go, Dick położył się i znów starał się usnąć. Gdy po jakimś czasie zdrzemnął się — fantastyczne wizje senne powróciły. Tym razem był jasny dzień, Dick stał obok słupka ze związanymi rękami, twarzą w twarz z sięgającym właśnie po karabiny plutonem egzekucyjnym. Mały Japończyk o kamiennej twarzy, przybrany w mundur polowy, podszedł do niego pytając, najczystsza angielszczyzną, czy ma jeszcze jakieś życzenie. Odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Dopiero gdy zbliżył się do niego żołnierz z białą opaską i chciał zawiązać mu oczy — przemówił, domagając się, by pozwolono mu patrzeć do ostatniej chwili. Rząd karabinów powoli unosił się w górę, a Dick szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w nie bez zmrużenia powieki...

— No co? — ktoś mocno szarpnął go za ramię. — Będiesz tak spał do Sądnego Dnia? — zabrzmiał śpiewny głos Harrego.

Zerwał się gwałtownie. Przez żółtawą ścianę namiotu przebijał jasny dzień, z lasu dobiegały jazgotliwe pokrzykiwania papużek, gnieźdzących się w koronach drzew.

XXII

OBOZOWISKO W LESIE

Pełni temperamentu młodzi chłopcy oddziału Brenta oczekiwali, że atak na Singapur nastąpi niedługo, spotkało ich jednak niemiłe rozczarowanie. Minęło parę dni, a żadnej akcji nie podjęto. Brent w dalszym ciągu tak urządzał swe leśne obozowisko, jakby miał w nim przebywać lata całe. Dick w rozmowie z Harrym nie krył uczucia rozczarowania.

— Dwudziestu lat jeszcze nie skończyłeś, prawda? — pytał Harry mrużąc oczy w uśmiechu.

Dick poczerwieniał, ale przyznał się uczciwie, że przed paru dniami skończył właśnie osiemnaście lat.

— Szkoda, żeś nic nie gadał! — żałował Harry kpiąc w dalszym ciągu przyjaźnie. — Osiemnasta rocznica urodzin... Toż to szalona okazja do wielkiej uroczystości!... Ale wracając do tego siedzenia tutaj w dżungli... Ty i jeszcze z pół tuzina chłopaków, którym podobnie we łbie się pali, uważacie, że to niepotrzebne. Wyjaśnię ci pokrótce sytuację. Ta nasza historia w Pontianaku musi trochę przyschnąć, a dopiero później będziemy mogli zabrać się do roboty. To chyba rozumiesz?... Japończycy nie są przecież tacy głupi, by nie umieli powiązać jednej sprawy z drugą i wyciągnąć z tego wniosku, że owa nędzna barka, która umknęła sprzed nosa ich kontrtorpedowcom — lichy wie zresztą, kto to nas tam ganiał koło wyspy Rindzi — i ta, co wyrwała im z samego Pontianaku, to jedna i ta sama łódź. Domyślają się także, że załoga tej podejrzanej barki, znacznie w dodatku liczniejsza niż zwykle na łodziach tej wielkości, nie dla rozrywki płynie sobie na Wyspy Sundajskie... Nie

uważasz?... Jestem przekonany, że teraz specjalnie dokładnie przeglądają wszędzie brzegi. Jakiś czas jeszcze potrwa, zanim ich czujność przygasnie trochę. Jesteśmy tu dopiero trzy dni, a już w ciągu tego czasu nad tą zapomnianą przez Boga i ludzi wyspą przynajmniej ze sześć razy przeleciał samolot... Zauważyłeś to?

Dick skinął głową.

— I jeszcze jedna może być rzecz, na którą tu pułkownik wyczekuje... Ty jako marynarz łatwiej powinieneś się domyślić niż ja.

Chłopak spojrział na niego zdezorientowany. Aż naraz rozbłyły mu oczy:

— Wiatr! — krzyknął.

— Oczywiście, że wiatr! Trzeba będzie przecież jakoś się stąd wydostać... Ja przynajmniej mam ogromną ochotę jeszcze niejedną kawał urządzić Japończykom... Swoją drogą, jeśli ten nasz planowany uda się, to będzie fantastyczna historia!... Godny odpowiednik tego, cośmy Niemcom urządzili na Krecie. A sam przyznasz, że przy takim wschodnim wietrze niełatwo byłoby nam uciekać. Przydałby się nam solidny wicherek od zachodu. Jak myślisz, kiedy się go doczekamy?...

Dick namyślał się chwilę.

— Jest koniec września — zastanawiał się głośno. — Gdzieś w połowie lub pod koniec października od brzegów Indii zaczyna dmuchać monsun.

— O, właśnie! To nam się bardzo przyda! — kończył rozmowę uradowany Harry.

Wiadomo było, że w bezpośredniej okolicy obozu nie ma żywej duszy. Brent jednak nie zadowolił się tymi pozorami bezpieczeństwa. Teraz, gdy przedarli się już tak blisko celu, byłoby niewybaczalnym błędem zmarnować wszystko przez byle drobiazg. Nie zaniedbał więc niczego, co mogłoby zwiększyć ich bezpieczeństwo, i dać pewność, że nikt ich tu przedwcześnie nie wypatrzy. W pierwszym rzędzie należało skontrolować dalsze okolice obozu. W tym celu Brent wysłał w głąb wyspy patrol złożony z trzech ludzi, pod dowództwem Connora, napominając ich przy tym surowo, by poruszali się tylko pod osłoną lasu i by nikt ich nie mógł dostrzec na odsłoniętym terenie. Rzecz oczywista, że i strzelanie także było zabronione, nawet w najbliższym sąsiedztwie obozowiska, więc też broń wyruszającego patrolu Connora ograniczała się wyłącznie do myśliwskich toporków.

Wędrówka ich trwała pełne dwa dni; idąc poprzez dżunglę i gęste lasy natrafili na wschodnim wybrzeżu wyspy na mały barak. Była to sześćosobowa stacja straży latarniowca morskiego. W najdłuższym miejscu wyspa miała wszystkiego pięć mil długości, lecz mimo to wyprawa Connora nie była ani prosta, ani łatwa. Drogę musieli sobie przeważnie torować toporami; rzadko tylko natrafiali na ułatwiającą im posuwanie się ścieżynę, którą zwierz przemykał się do wodopoju. Siadów zwierzyny wszędzie było pełno — na mokradłach nad brzegami rzeczulek czytać można było jak w otwartej księdze: delikatne odbicia kopytek kozłów i jeleni krzyżowały się z mocniej odcisniętymi w wilgotnej ziemi śladami nóg dzików, szerokie ślady kopyt bawolich z delikatnymi, ledwie widocznymi wachlarzykami, jakie pozostawiały na błocie pazury drapieźnych ketów. Najwyraźniej był tu raj wszelkiej zwierzyny; myśliwskie serce Connora wiło się z męki, że nie wolno mu ani razu strzelić.

Przeszli wyspą wszerz i wzdłuż nie napotkawszy nigdzie śladów człowieka.

Najwidoczniej straż latarniowca nie interesowała się przechadzkami — o ćwierć mili od baraku rozpościerała się ziemia, na której nigdy nie stanęła noga japońskiego żołnierza.

Patrol Connora dotarł również do północnego i południowego wybrzeża wyspy.

Na północy natrafili wśród gęstych traw na ledwie już widoczne ślady ludzkich osad nadbrzeżnych. Żyli tu kiedyś ludzie; prawdopodobnie Japończycy przesiedlili ich stąd, może zresztą sami się wynieśli. Ich ryżowe poletka natychmiast zniszczyły dziki i inne zwierzęta, potem dżungla zalała je zieloną falą, wtargnęła pomiędzy ubogie chatki i pogrzebała je

bezapelacyjnie pod trawą, krzakami i lianami; tylko bardzo doświadczone oko mogło stwierdzić, że kiedyś — może nawet niedawno jeszcze — żyli tu ludzie.

Brent z zadowoleniem wysłuchał raportu Connora, lecz mimo to powtórzył zakaz używania broni palnej. Jego załoga natychmiast zabrała się do sporządzania łuków i strzał. Tak uzbrojeni chłopcy polowali w okolicznych lasach. Niektórzy z nich nabrali wielkiej wprawy w posługiwaniu się tą bronią; miała ona także i tę zaletę, że nie ploszyła hukiem zwierzyny, w obozie więc nie zabrakło nigdy świeżego mięsa.

— A mimo wszystko wolałbym nie spotkać tygrysa czy lamparta mając za całe uzbrojenie taką tylko zabaweczkę — rzekł Connor, gdy któregoś dnia Brent chwalił zręczność kilku łuczników.

— Np, przecież macie jeszcze topór, zawsze jakoś dacie sobie radę z takim zwierzakiem. Sądzę, że chyba w pobliżu obozu nie ma żadnych drapieźników. One mają świetny węch i zawsze wołają schodzić z drogi człowiekowi — twierdził Brent.

Bardzo prędko jednak okazało się, że nie miał racji.

Do najmniej przyjemnych zajęć obozowych należało noszenie wody. Piętnaście osób potrafi wypić sporo wody, zwłaszcza w klimacie tropikalnym, prócz tego woda potrzebna była i do gotowania, wobec czego należało przynieść codziennie dwie dziesięciogalonowe baryłki. Do strumienia było około dwadzieścia minut drogi. By łatwiej im było nieść lekkie zresztą beczułki, na tyczce zawieszono odpowiednie klamry, a tyczkę dwu idących gęsiego ludzi zakładało na ramię. Noszenie wody, tak jak i wszelkie inne prace obozowe, obowiązywało wszystkich na zmianę.

W dzień po powrocie Connora z patrolu nudny ten obowiązek spadł na Dicka Stantona i Terrence Ronneya.

Napełniwszy baryłkę w zagłębieniu, które specjalnie wygrzebali w płytkim strumieniu, założyli tyczkę na ramiona i ruszyli powoli w stronę obozu. Ścieżka, mocno zacieniona zielonym sklepieniem drzew, zionęła wilgotnym upałem, lekka baryłka kołysała się nieprzyjemnie. Szli już jakieś dziesięć minut, gdy naraz idący z tyłu Dick odniósł niemiłe wrażenie, że ktoś ich śledzi. Nie chciał wołać na Ronneya, by przystanął, szli bowiem w nogę, gdyż tak najlepiej niosło się im beczułkę we dwóch. Każde wypadnięcie z tempa miało zawsze ten skutek, że baryłka zsuwała się po tyczce, wpadając to na jednego, to na drugiego z niosących. Ale mimo to obejrzał się przez ramię. Na mroczej ścieżce, oświetlonej tylko zielonym odbłaskiem promieni słonecznych, przefiltrowanych przez gęste korony drzew, dostrzegł niewyraźny cień. Cień ten jednak tkwił nieruchomo w jednym miejscu, wobec tego Dick przekonany, że to istotnie cień, przestał się nim przejmować.

Po chwili jednak znów powróciło uczucie, że ktoś za nim idzie; Dick podenerwowany odwrócił się gwałtownie. Tyczka wraz z baryłką obsunęła się z ramienia, spadając uderzyła mocno Ronneya w łokieć, a baryłka z głuchym łoskotem spadła na ziemię. Oburzony Ronney nazwał Dicka niezdarą. Tamten nie próbował się nawet bronić: zdumiony wpatrywał się w długie, czarne zwierzę, które przypadłszy ciałem do ziemi czaiło się na nich o kilkadziesiąt stóp dalej.

— Terry, jakiś kot idzie za nami — rzucił zaniepokojony.

— Kot! Wielkie mi rzeczy! Ale to jeszcze nie racja rzucać baryłkę na ziemię!... — irytował się Ronney ostrożnie obmacując zbity łokieć.

Odwrócił się powoli i spojrzał: zwierzę z brzuchem przy ziemi czołgało się ku nim powoli. Ruchy jego były elastyczne i pełne gracji, cała sylwetka tak zgrabna, że nie mógł od niego oderwać wzroku. Stojący jednak bliżej zwierzęcia Dick pochwycił spojrzenie zielonkawych, jarzących się oczu i zmartwiało z przerażenia. Szybko powiódł okiem wokół. Z radością utkwiał spojrzenie w mocno pochylonej, idącej w poprzek ścieżki tuż nad ich głowami gałęzi potężnego baobabu.

— Szybko na górę! Skoczy na nas! — rzucił półgłosem.

Podskoczył, schwycił się obiema rękami, podciągnął i usiadł okrakiem na grubej gałęzi. W sekundę później Ronney znalazł się obok niego.

— Eh, ty wariacie, w taki upał każesz mi skakać na górę?... — wymyślał. — Jeśli to kot, to i tak potrafi wdrapać się na drzewo. I po diabła cały ten nasz wysiłek! Dużo to pomoże! Topór masz?...

Dick zaprzeczył ruchem głowy. Nie spuszczał oczu z dziwnego zwierzęcia, które powolnym, bezgłośnym krokiem zbliżało się do baryłki. Poruszało się z niesłychanym wdziękiem, a tak cichutko, że nie zaszeleściło nawet źdźbło trawy. Ta absolutna cisza, jaka towarzyszyła każdemu ruchowi zwierzęcia, działała na Dicka specjalnie deprymująco. Osłupiały przywarł nieruchomo do gałęzi i patrzył. Zwierzę obeszło beczulkę, parsknęło pogardliwie, zatrzymało się o parę kroków od drzewa i mrużąc zielonkawe oczy wpatrywało się w chłopców. To właśnie parsknięcie, którym wyraziło brak zainteresowania dla baryłki, wyrwało Dicka z odretwienia. Zbyt przypominało parsknięcie domowego kota — nie było w nim nic a nic demonicznego.

Tymczasem praktyczny Ronney zaczął wertować kieszenie, nie zwracając wcale uwagi, na to, co się pod nim dzieje.

— Mam tylko szczyryk i sznurek, a to jak na drapieżne koty trochę za mało, nie uważasz? — zagadał.

— Właż szybko wyżej, bo skacze na drzewo! — wykrztusił Dick, zręcznie jak linoskoczek przebiegając po gałęzi do pnia. Tam schwycił najbliższą nad sobą gałąź i szybko się na nią wdrapał.

Ronney opóźnił się trochę — głowa zwierzęcia, które już mocno wbiło pazury w gałąź, znalazła się tuż przy nim. Kopnął ją pogardliwym gestem. Ale drapieżnik uchylił się błyskawicznie, podciągnął tylne łapy na gałąź i przednią łapą dosięgnął uciekającego Ronneya. Rozdarł od góry do dołu miękką cholewę buta, kalecząc przy tym i skórę. Noga natychmiast oblała się krwią. Rozegrało się to w ciągu paru sekund; Dick tymczasem dostał się już na wyższą gałąź, przywarł do niej całym ciałem i otoczył nogami, podał obie ręce Ronneyowi i podciągnął go do siebie.

— Bestia, ale mnie urządziła! Co za jakieś wściekłe kocisko! — wymyślał Ronney oglądając zranioną nogę.

Dick rzucił na nią tylko krótkie spojrzenie i natychmiast znów całą uwagę skupił na kocie. Sytuacja przedstawiała się następująco: zwierzę stało na niższej, niemal poziomej gałęzi baobabu, bezpośrednio pod gałęzią, na której w odległości dwudziestu lub dwudziestu pięciu stóp od pnia kulili się obaj chłopcy. Chcąc dostać się do nich musiało wybrać: albo skoczyć w górę co najmniej piętnaście stóp, albo obejść wkoło — po gałęzi do pnia, stąd po pniu na ich gałąź. Kot zdawał się namyślać: stał spokojnie niby symbol wytworności i wdzięku, tylko długi ogon kołysał się rytmicznie na obie strony. Najwidoczniej nie miał ochoty skakać, chociaż to była najprostsza droga, bowiem do skoku brak mu było solidnego oparcia pod nogami. Dalsza zaś droga do pnia i w górę miała tę ujemną stronę, że musiałyby na pewien czas spuścić cel z oczu.

W trakcie tego namysłu Dick po cichu zażądał od Ronneya sznurka. Ukryty za gałęzmi i liśćmi tak, by kot nie widział jego ruchów, szybko zrobił pętlę na końcu sznurka. Stwierdził przy tym z radością, że sznurek jest niezbyt gruby, ale bardzo mocny. Węzłem marynarskim zręcznie przymocował drugi koniec sznurka do gałęzi, cichutko rozgarnął gałęzie i... rzucił pętlę.

Zwierzę wrzasnęło chrapliwie — wrzask ten w niczym nie przypominał demonicznego ryku tygrysa ani też miauknięcia zwykłego kota — i ze złością szarpnęło głowę, by pozbyć się leżącego na szyi dokuczliwego przedmiotu. Ale pętla nie spadła: przywarła do szyi jeszcze mocniej, zaczęła się zaciskać. Zwierzę już z trudem chwyciło powietrze. By się wyrwać, skoczyło w górę — chwila błogiej ulgi. Już miało wbić pazury w gałąź, na której siedziały te

dwa dziwaczne stworzenia, gdy nagle coś szarpnęło je w bok i... kot całym ciężarem runął w dół. Nie spadł jednak na ziemię — przytrzymał go sznur. Ostatnie gwałtowne ciosy łap, z których zwierzę nie zdawało już sobie sprawy, rozkołysały cielsko, jak wiszące na sznurze dziwaczne, czarne wahadło. Ruchy jego uspokajały się powoli, wreszcie ustały zupełnie.

— A co to, biliście się? — pytał Harry wskazując na nogę Ronneya, gdy powrócili do obozu.

— Nie, tylko mnie jakiś czarny kot tak poczęstował. A my za to powiesiliśmy go na gałęzi — odparł obojętnie Ronney szukając jodyny, by zdezynfekować ranę.

— Dziki kot... i do tego czarny? — Harry przyglądał im się z niedowierzaniem. — Słyszał pan kiedy o takim zwierzęciu, pułkowniku? — zwrócił się do Brenta, który oglądał ranę Ronneya.

— Nie, nie słyszałem. A tym bardziej o takim, które mogłoby tak człowiekowi rozwalić nogę. Na szczęście niezbyt głęboko. Za tydzień będziesz, chłopcze, zdrow jak ryba — odpowiedział pułkownik.

— Bardzo się cieszę, panie pułkowniku! A już się bałem, że nie wezmę udziału w naszej akcji! — szczerze uradował się Ronney.

Brent tylko uśmiechnął się nieznacznie.

Tymczasem Harry bez słowa wyszedł z obozu. Po kwadransie wrócił uginając się pod ciężarem dżwiganego na plecach cielska.

— Proszę bardzo, niech pan spojrzy, pułkowniku! A te cielątka powiadają, że to dziki kot!... — drwił rzucając na ziemię nieżywego drapieżnika.

— Pantera! Czarna pantera!... Jakaż wspaniała! — zdumiał się pułkownik.

— No, spodziewam się! To po prostu Bagheera i z seeoneeńskiej gromady! „Na wyłamanej kratce, dzięki której odzyskałam wolność!...” — cytował Harry z „Księgi Dżungli” Kiplinga. — A te smyki zdegradowały ją do roli dzikiego kota!

— To przecież nie moja wina, że u nas w Australii nie ma drapieżnych zwierząt — bronił się purpurowy ze wstydu Dick.

— Ale przyrody uczą was tam chyba, co? I jakieś ogrody zoologiczne też pewnie istnieją, prawda? — przygadywał dalej Harry. — Skocz no chłopcze po całówkę! — zwrócił się do Freda Harpera, który z zachwytem oglądał stalowe mięśnie pantery. — Długość grzbietu pełnych pięć stóp, wysokość w barkach dwie stopy i jeden cal, długość ogona trzy stopy i trzy cale — obliczał.

Dick nie mógł opanować śmiechu patrząc, jak Harry na klęczkach zdejmuje miarę z ciała zwierzęcia, jak gdyby miał mu szyć ubranie.

— Widział pan kiedy taki okaz, pułkowniku? — spytał podnosząc się Harry.

— Widziałem... Przed wielu laty, gdy byłem jeszcze podporucznikiem w dwudziestym pułku bengalskim — odpowiedział zamyślony Brent. — Przeżyłem wówczas niemiłą przygodę.

— To ciekawe! Musi nam pan pułkownik opowiedzieć o takim polowaniu na czarną panterę! — napierał się zaintrygowany Harry.

— Nie teraz — pułkownik kręcił głową — znajdzie się czas przy kolacji lub po jedzeniu. No, chłopcy, obciągnijcież ze skóry tę swą zdobycz! Piękne ma futro! — zachęcał Dicka i Ronneya.

Zabrali się do roboty. Harry oczywiście przygadywał im złośliwie, pragnąc się dowiedzieć, jak się tą skórą podziela.

— Właściwie skóra należy się Dickowi, to on schwycił panterę w pętlę — wycofywał się skromnie Ronney.

— Wiecie co chłopcy? Jeden niech weźmie skórę, a drugi ogon — kpił Harry.

— Rozegramy partię szachów o całą skórę — postanowił Dick.

Po kolacji Harry przypomniał Brentowi obietnicę opowiedzenia przygód z polowania na czarną panterę. Pułkownik ostatecznie się zgodził.

— Ale spotka was zawód — zastrzegął się z góry — nie umiem opowiadać barwnie. Przede wszystkim dla informacji naszych kolegów z Australii, szczęśliwej krainy bez dzikich zwierząt, muszę wyjaśnić, że tak lampart, jak czarna pantera to drapieżnicy, którzy w niczym nie ustępują tygrysowi, czasem nawet są od niego gorsi.

— Oczywiście! — wtrącił Harry. — Wleżą nawet na drzewo, a tygrys nigdy nie poniży się do tego stopnia.

— Nie tylko to — uśmiechnął się Brent. — Ale jest to niesłychanie bezczelny zwierz: potrafi w biały dzień wtargnąć do wsi po łup, ba, nawet kiedy mu się zechce to i na ulice miasta! Morduje na prawo i lewo wszystko co żyje, od ptaka aż po krowę. Bardzo rzadko, zupełnie wyjątkowo, kończy ucztę swą na sposób wegetariański zjadając oleiste owoce palm. Ludzi zasadniczo unika, jak każde zwierzę, czasem jednak odstępuje od tej zasady. O ile pamiętam, w Indiach Zachodnich przed pierwszą wojną światową ilość ludzi zabitych przez czarne pantery obliczano na dwieście do trzystu rocznie. Jaki to zuchwały zwierz najlepiej wam udowodni moja przygoda. Wspomniałem już, że służyłem kiedyś w dwudziestym pułku piechoty bengalskiej. Byłem wówczas młodym podporucznikiem i namiętym łowcą tygrysów — położyłem ich już dwanaście sztuk.

Pewnego dnia w kasynie oficerskim po kolacji zapytał mnie nasz pułkownik, ile lampartów mam już na rozkładzie.

— Ja tego nie strzelam, sire, to przecież tylko wielkie koty — odpowiedziałem lekceważąco.

Na to pułkownik wybuchnął śmiechem:

— Skoro to są wielkie koty, to może spróbuje pan jednego z nich schwytać! Oswoimy go tu sobie w jadalni! — ciągnął żartem.

A ja słowa jego wziąłem dosłownie. Zebrałem całą gromadę miejscowych łowców — nazywają się szikarowie — na wóz załadowałem stalowe siatki, klatkę i wyruszyliśmy w dżunglę. Nie trzeba było daleko szukać: przechodziliśmy przez wieś, gdzie niemal co dzień czarna pantera zbierała krwawe żniwo. Moi szikarowie, ludzie w każdym calu odważni, wytropili ją wśród skalistej dżungli, gdzie na drobnym szczyrku miała swe legowisko. Zaczęliśmy rozstawiać sieci wokoło... Naraz pantera poderwała się z legowiska, skoczyła jak strzała, zwała zagrodę z sieci, najbliższej stojącemu człowiekowi rozorała rękę tak, że w ciągu dwu dni, zanim zdołaliśmy przewieźć go do szpitala na amputację, zmarł w straszliwych męczarniach na zakażenie krwi... I sama zniknęła!

Zgniewało mnie to porządnie, ale ponieważ przypuszczałem że ten mój szikar jest tylko ranny, nie zrezygnowałem z zamiaru schwywania pantery żywcem. A szikarowie z całym spokojem szli za mną; wypadek na polowaniu traktują ze stoickim spokojem — jako mahometanie wierzą w fatum. Po raz drugi wytropili panterę: tym razem kryła się w gęstych zaroślach, a sprawowała się tak cicho, że udało nam się cały zagajnik otoczyć sieciami.

„No, teraz mam cię! Musisz przecież stamtąd wyleźć!” — mówiłem sobie uradowany. Kazałem ciskać w gąszcz kamieniami, kawałkami drzewa, wszystkim co było pod ręką. I chociaż podnieśliśmy przy tym szalony wrzask, zwierzę nie ruszyło się nawet.

— Słuchaj, Abdullahu — zwróciłem się wreszcie zniechęcony do prowadzącego nagonkę szikara — czyś ty się przypadkiem nie omylił? Tej pantery chyba tam nie ma!...

— Krzywdzisz mnie, serdar! Zaraz cię o tym przekonam! — odparł urażony i, zanim zdołałem go powstrzymać, wszedł z paru jeszcze ludźmi poza ogrodzenie z sieci.

Nie chcąc się dać zawstydzić, wszedłem i ja wraz z resztą ludzi. A pantera jakby tylko czekała na to — postanowiła załatwić z nami swoje porachunki. W najzupełniej nieoczekiwanym miejscu wypadła z gęstwiny, śmignęła niby piorun, przewróciła stojącego na jej drodze człowieka — w ciągu ułamka sekundy rozdarła mu klatkę piersiową tak, że

nieszczęśnik zmarł w parę sekund później z upływu krwi — runęła na stłoczoną gromadę ludzi i powaliła dwóch dalszych szikarów kalecząc ich poważnie. Zanim zdołałem sięgnąć po karabin, wymknęła się przez wąski otwór w sieciach, przez który wchodziliśmy...

Moi drodzy, zabiłem dwanaście tygrysów — niektóre z zasadzki, inne na polowaniu z nagonką — i nigdy nie byłem świadkiem żadnego wypadku. A tu podczas jednego polowania jedna czarna pantera zabiła mi dwóch ludzi, dwóch dalszych zaś poraniła tak ciężko, że nigdy już później nie mogli wyruszyć na łowy. Ten wypadek nauczył mnie respektu dla czarnej pantery... którą tu nasi dzielni chłopcy powiesili na gałęzi jak gdyby nigdy nie!

XXIII

W OBLICZU NIEPRZYJACIELA

Od miejsca zakotwiczenia „Tanah” do Singapuru odległość wynosiła zaledwie dwadzieścia jeden mil — przy sprzyjającym wietrze barka mogła ją przebyć w niecałe dwie godziny. Brent jednakże nie miał zamiaru docierać barką do samego celu, lub próbować wdrzeć się nią w głąb dobrze strzeżonego portu wojennego. Impreza taka była zbyt niebezpieczna, a rezultat mocno wątpliwy. Brent w całej swej grze chciał mieć wszelkie możliwe atuty w rękę, dlatego też czekał cierpliwie, aż nadejdzie okres takiej pogody, jaka będzie sprzyjała wykonaniu zadania. Wreszcie w drugiej połowie października doczekał się: piękne, jasne dni skończyły się, wystąpiły drobne, przelotne deszcze, wiejący dotąd stale od wschodu wiatr znikł zupełnie.

Pułkownik wiedział, że lada dzień nadejdzie oczekiwana zmiana pogody — nie omylił się w rachubach. Już w dwa dni później małe, chwilowe deszcze zmieniły się w gwałtowne, tropikalne ulewy, które ustawały tylko na krótko i wracały znowu w równie gwałtownej postaci.

— Mchem i pleśnią tu obrośniemy! — narzekał Harry, gdy pora deszczowa rozpoczęła się na dobre.

— Nie będziemy mieli czasu, Harry, zmienimy miejsce pobytu — zażartował pułkownik słysząc jego narzekania.

Na te słowa błysk radości rozjaśnił oczy Harrego.

Dwa dni deszcz lał już bez przerwy, gdy naraz od malajskich brzegów zerwał się wiatr. Na ten właśnie moment czekał Brent. Gdy dnia tego załoga zjadła przesiąknięty deszczem i prawie zimny obiad, ponieważ deszcz nieustannie zalewał im ogień, Brent kazał zwijać obóz i ładować wszystko na barkę. Przedtem jeszcze pod bieglým pędzlem Harrego łódź po raz trzeci zmieniła nazwę i port macierzysty. Nazywała się teraz „Bedawang” — Harry mruczał, że nazwa jest stanowczo za długa — a pochodziła z Makasaru na wyspie Celebes. Płynęła pod flagą tamtejszej firmy eksportowej „Ramon Pereira & Co.”

— Wątpię bardzo, czy wiele nam ta wspianiała dekoracja pomoże, jak przyjdzie co do czego!... Ta stara łajba zbyt dobrze już jest znana na tych morzach... Ale jako dzieło sztuki... — owszem, wcale nienajgorsze! — twierdził Harry z dumą wpatrując się w własne arcydzieło, którego nikt nie chciał pochwalić.

Wypłynęli późnym popołudniem; nisko wiszące, brzemienne deszczem chmury ledwie przepuszczały resztki dziennego światła. White zręcznie wyminął mielizny przy wyspie Wielki Tekong, potem na rozkaz Brenta zwrócił łódź na południowy wschód.

— Niech się pan trzyma w zasięgu widoczności latarni morskich na wyspie singapurskiej — polecił mu pułkownik. — Nie będzie ich co prawda zbyt wiele, na całym wybrzeżu wschodnim są wszystkiego dwa małe porty: Bedok i Siglap.

Barka schwyciła wiatr z prawego boku i szybko popłynęła w deszcz i zmrok. Na pokładzie panowało olbrzymie podniecenie; budziła je świadomość, że zbliża się decydujący moment. Zaczęły się gorączkowe dysputy na temat: jak dalej potoczą się fakty

i czy Brent ma zamiar wpłynąć barką do portu w Singapurze. A ich dowódca tymczasem stał na dziobie barki i przez nocną lornetę wpatrywał się w morze. Deszcz zmniejszył się trochę, ale padał nieustannie.

— Człowiek już nie wie, czy w łodzi siedzi, czy też pływa w morzu — mruczał smętnie Harry, wielbiciel pięknej słonecznej pogody.

Inni członkowie załogi nie przejmowali się zbyt słotą — przekładali wyraźnie odsłonięty dziób barki nad rufę, gdzie rozciągnięta była ochronna nieprzemakalna płachta.

W godzinę po wypłynięciu zauważyli małą latarnię morską wyznaczającą mielizny bedongskie, w pół godziny później pokazały się światła Siglapu. Brent spojrzawszy na zegarek uśmiechnął się zadowolony — na razie wszystko układało się zgodnie z planem. Wprawdzie szybkość barki nie była tak znaczna, jak pragnął, bowiem płynęli wiatrem bocznym, ale za to pochmurny dzień pozwolił wypłynąć dużo wcześniej, co w sumie dało jeszcze spory luz w czasie. Dotąd nie było także żadnego nie milego spotkania. Wprawdzie dwukrotnie zauważyli światła pozycyjne jakichś statków, zawsze jednak w odległości pół mili, a ponieważ płynęli bez świateł — był nawet zakaz palenia papierosów

— więc też nikt z tych statków nie mógł ich dostrzec. Światła Siglapu zniknęły za łukiem wybrzeża, barka płynęła znowu w absolutnych ciemnościach. Mimo to Brent nieustannie obserwował morze, chociaż nawet przez lornetę nocną niełatwo mu było dostrzec linię horyzontu. Odetchnął zadowolony, gdy wreszcie w kwadrans później zauważył dwa małe światełka, leżące pozornie tuż obok siebie. Prawe to latarnia morska pod fortem Canninga, lewe oznaczało przylądek Selintar, oba razem zaś wytyczały znaczną część rozległej singapurskiej redy. Światła rosły powoli i oddalały się od siebie. Zanim jeszcze Brent dał White'owi następne instrukcje, załoga zrozumiała, że ostateczny cel barki jest już blisko.

Barka zaczęła manewrować pod wiatr: musiała płynąć dokładnie na zachód — tak życzył sobie pułkownik. Praca przy mokrych żaglach w ciemnościach wcale nie była łatwa ani prosta, lecz obaj marynarze, którym ją White powierzył, wykonywali ją sumiennie i bez szemrania. Wszyscy czuli, że zbliża się wielki moment — na pokładzie zamilkłej barki zapanował jakiś nastrój skupienia, jaki zwykle ogarnia żołnierzy przed atakiem. Nawet najmłodszy żołnierz komanda odgadł już, że pułkownik nie wprowadzi barki do portu i że załoga zostanie podzielona na dwie części: jedna podejmie atak, druga oczekiwać będzie na tamtych w łodzi. W myślach każdego z nich dręczyła niepewność wielkiego oczekiwania: czy znajdzie się wśród tych szczęśliwców, których pułkownik wyśle do portu?...

Brent polecił White'owi w dalszym ciągu manewrować pod wiatr i czekać na sygnał do wykonania zwrotu w prawo, w kierunku na północ.

— To popłyniemy do brzegu, pułkowniku, a w takich ciemnościach... — zaczął White zaskoczony zmianą kursu.

— Właśnie o to chodzi — powtórzył Brent. — Dostaniemy się do wąskiego języka przybrzeżnego, który zamyka zatokę od strony wyspy Gaylang. To najdalej na wschód wysunięta część portu singapurskiego, ale większe jednostki tam nie kotwiczą, bo za płytko. Bez wątpienia będzie tam zupełnie pusto, kryjówka jak stworzona dla nas.

— A dno? — pytał White.

— Jest płytko, ale nie ma skał podwodnych. Wystarczy, jeśli pan każe sondować i płynąć powoli, damy radę i po ciemku.

Wyjął ze skrzyneczki sekstant, poprosił kogoś z załogi, by mu poświecił latarką elektryczną, starannie nastawił ruchome ramię na kąt, który wprawdzie dobrze pamiętał, ale dla pewności sprawdził jeszcze w notatniku, wreszcie unieruchomił go zakrętką. Gdy pod tym kątem dojrzy obie latarnie w porcie, wówczas barka znajdzie się dokładnie naprzeciwko już uprzednio z góry ustalonego punktu na brzegu. Przeszedł na dziób barki i nastawił lunetkę sekstantu na latarnię morską fortu Canninga. Świeciła jak gwiazda pierwszej wielkości, ale na razie w polu widzenia aparatu była sama. Ustawił sekstant w pozycji poziomej — o ile

pozwalalo na to kołysanie manewrującej nieustannie barki — i czekał. Wreszcie od lewej strony w polu widzenia ukazała się druga gwiazda, trochę mniejsza, która szybko posuwała się ku pierwszej. Było to odbicie światła latarni morskiej przyładka Selintar w lusterku ruchomym, powtórzone przez nieruchome lusterko na ramie sekstantu i przekazane do lunety. Gdy oba światła pokryją się, wówczas kąt, jaki tworzą promienie obu światel latarni w oku Brenta, będzie dokładnie taki sam, jaki z góry obliczył.

— Uwaga! Do zwrotu! — krzyknął Brent.

White powtórzył rozkaz ludziom przy żaglach. Manewrowali nieustannie, nie mieli więc większej trudności w wykonaniu zwrotu, gdy po chwili Brent zawołał:

— Zwrot!...

Barka skręciła i popłynęła wprost na odległy około dwie mile brzeg. Miała teraz wiatr boczny z lewej burty. White dla ostrożności zrefował grot, by zmniejszyć szybkość łodzi — przed nimi ciągnęła się mielizna, której nie znał, a postawiony na dziobie człowiek z sondą musi mieć czas zmierzyć głębokość i podać meldunek.

Tym razem ołowiankę miał w ręku Dick Stanton. Mierzył sumiennie, ale na razie dno było bardzo głęboko: odwinął całą linę z wszystkimi węzłami, długą na dwadzieścia nitów¹⁸, ale ciężarek nie dosięgnął dna. Nie trwało to długo — w dziesięć minut później Dick meldował piętnaście nitów. Głębokość zmniejszyła się już teraz szybko. Przy dwunastu nitach miał wrażenie, że z lewej i prawej strony zbliża się ku nim jakiś głębszy cień, coś jakby cyple łądu. Wrażenie to zmieniło się w pewność z chwilą, gdy po odwinięciu liny do dziewiątego węzła ciężarek dotknął dna. Barka pograżała się pomiędzy dwa cienie, które przesuwały się z obu stron poza jej rufę — niby szczęki olbrzymich obcęgów, gotowych zmiażdżyć drobną skorupkę. Wpłynęła do małej, przybrzeżnej zatoki. Dick czuł, że teraz dno podnosić się będzie bardzo szybko.

— Dziewięć nitów! Każę rzucić kotwicę, pułkowniku! — White sam czuwający przy sterze barki zwrócił się z pytaniem do Brenta.

— Może pan spokojnie poczekać do siedmiu — odparł Brent.

— Uwaga, Warren i Harper, przygotować kotwicę! — wołał White.

Obaj marynarze schwycili małą, stufuntową kotwicę i z dużym wysiłkiem dźwigali ją na nadburcie, gotowi w każdej chwili rzucić ją za burtę.

— Siedem nitów! — meldował Dick.

— Kotwicę rzuć! — zakomenderował White.

Woda plusnęła, bęben kotwiczny zaczął się odwijać, warkot jednak wnet umilkł, gdy Fred Harper unieruchomił bęben. Ostra łapa kotwicy zaryła się w dno. Barka szarpnęła lekko, zatrzymała się, potem powoli zaczęła obracać się do wiatru; gdy żagle stanęły w łopocie, kołysała się już tylko miękko na drobnej, odbitej od brzegów fali.

Stanton machinalnie zwijając linę sondy nie spuszczał z oka ciemności przed sobą. Zarosły bambusem i niskimi krzakami brzeg był bardzo niedaleko — mogły tam pod ochroną ciemności i drzew kryć się japońskie strażę, gotowe w każdej chwili otworzyć na nich ogień. Chłopak czuł rosnące podniecenie, daremnie starał się je opanować: krew szybko tętniła w skroniach, do uszu docierały jakieś dziwne, budzące się wśród nocy na łądzie dźwięki. Kiedy jednak spróbował je jakoś sprecyzować, stwierdził, że wszystko to było złudzenie nadmiernie pobudzonej wyobraźni. W istocie słychać było tylko plusk fali bijącej o burty i szum deszczu. Łąd pograżony był w cichym śnie słotnej nocy, która nawet nocnych drapieżców zagania do nor i gniazd.

— Wszyscy na rufę pod namiot! — odezwał się za rozmarzonym Dickiem cichy głos Brenta. Spokój w tym głosie rozproszył do reszty złudzenia wyobraźni i przywołał chłopaka do rzeczywistości.

Stłoczyli się pod namiotem na rufie wokół pułkownika. Było tam duszno, Brent kazał bowiem przerzucić przez żerdki boczne płachty, tak że niewielka przestrzeń osłonięta była

ze wszystkich stron, by nie można było dostrzec z brzegu bladego światła wiszącej lampy oliwnej.

Nie tracąc czasu Brent przystąpił od razu do rzeczy:

— Pojedziemy w trzech czółnach po dwóch ludzi — zaczął. — Pierwsze poprowadzę ja, drugie Harry Drone, trzecie Patrick Connor...

Z miejsca, gdzie wśród załogi stał White, odezwało się pełne rozczarowania westchnienie. Brent natychmiast zwrócił się w tę stronę:

— Wiem, co pana dręczy, White. Ale przyzna pan sam, że pańska obecność na barce jest nieodzowna. Tylko pan jeden z nas wszystkich może poprowadzić ją z powrotem do Australii.

— Ja przecież nic nie mówię, pułkowniku — odparł krótko White, ale ton jego głosu wyrażał znacznie więcej niż najwymowniejsze słowa.

Brent uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— W każdym czólnie jest jedno miejsce wolne. O te trzy wolne miejsca będziecie ciągnąć losy. Zastrzegam z góry, że do losowania stawać mogą tylko marynarze, ponieważ oni właśnie będą nam potrzebni.

Odpowiedział mu szmer rozczarowania wśród części załogi. Należał do nich także i Diemen. Ponieważ nie wiązała go dyscyplina, jak podkomendnych Brenta, pozwolił sobie zaprotestować głośno:

— Nie rozumiem, pułkowniku, dlaczego pan pozostałych wyklucza z losowania — mówił rozżalony. — Jestem przekonany, że każdy z nich potrafi wiosłować na kajaku, a tu przecież o nic więcej nie chodzi. Ja sam dwa razy zdobyłem pierwsze miejsce na mistrzostwach kajakowych w singlu, raz w Holandii, drugi raz na Borneo.

Brent wysłuchał go cierpliwie do końca.

— Nie chodzi tylko o wiosłowanie — odpowiedział łagodnie. — Będziemy mieli do czynienia ze statkami, dlatego potrzeba nam ludzi, którzy się doskonale w statkach orientują. Nigdy z góry nie wiadomo, co się może zdarzyć. Wiem, że to dla pana przykre, dla moich chłopców zresztą także i dlatego pójdę na pewne ustępstwa — jedyne zresztą możliwe: ponieważ Connor jest marynarzem, więc może zabrać ze sobą niefachowca, z tym zastrzeżeniem, że będzie to dobry wiosłarz. Macie więc jedno miejsce, o które losować będzie cała grupa nie-marynarzy. Zakładam przy tym, że sam wycofa się ten, kto nigdy nie siedział w kajaku.

Mała burza została zażegnana. Brent nie powiedział już ani słowa więcej. Losowanie odbyło się szybko przy pomocy wypisanych na kartkach i wrzuconych do czapki cyfr. Wygrywały trzy cyfry najniższe. Wyciągnęli je: Dick Stanton, Leslie Brown i Fred Harper. Fred jednak popadł dosłownie w rozpacz, gdy Brent mu oznajmił, że miejsca swego musi ustąpić Diemenowi, który wyciągnął najniższą cyfrę w grupie nie-marynarskiej.

— Pan daruje, pułkowniku, ale dlaczego właśnie ja, a nie Dick czy Brown? — bronił się rozżalony chłopak.

— Ponieważ, drogi Fredzie, masz cyfrę wyższą niż oni — odpowiedział Brent ze współczuciem — a ustaliliśmy przecież, że wygrywają cyfry najniższe. Niech ci to starczy za pociechę, że to jak w Piśmie Świętym: ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi...

Fred mruknął dosyć głośno, że żadna pociecha cyfry nie zmieni, ale oszedł pomagać ludziom napełniać powietrzem trzy długie smukłe czółna gumowe. Drone wraz z Brownem przygotowywali bomby zegarowe i aparaty do umocowywania w postaci gumowego uchwytu, który po usunięciu powietrza przy pomocy ruchomego tłoka przywiera szczelnie do każdej gładkiej powierzchni i trzyma tak mocno, jak przykuty łańcuchem.

— Po cztery do każdego czółna — zagadywał rozpromieniony Harry. — Jeśli nam się uda ulokować wszystkie, to będzie taka zabawa, jakiej jeszcze państwo Mikada nigdy nie widziało! Każda taka bomba zawiera dwadzieścia pięć funtów trinitrotoluolu, wystarczy

nawet na okręt liniowy. Panie pułkowniku, nie moglibyśmy tak zabrać tego trochę więcej? — zwrócił się z troską do Brenta.

Pułkownik zagryzł wargi, by się nie roześmiać.

— Moglibyśmy, gdybyśmy mieli... Tylko że nie udźwignęlibyśmy tego, Harry, a nasze czółna tym bardziej. Nie zapominajcie, że musimy przejść piechotą przez półwysep, za którym kotwiczymy.

— Wiem, ale to tylko trzysta stóp szerokości. Gdyby nie ten deszcz i ciemności, widać by stąd było aż na Malaje — mamrotał Harry.

Brent tymczasem poszedł wydać White'owi ostatnie instrukcje.

— Jest godzina dziesiąta pięćdziesiąt — porównał oba zegarki. — Wyprawa nasza w najgorszym wypadku potrwa trzy godziny. Poza ten termin nie będzie pan czekał ani minuty dłużej. Jeśli do godziny pierwszej pięćdziesiąt nie wrócimy, odpłynie pan bezwarunkowo. Postara się pan przeprowadzić barkę wraz z załogą do Portu Darwina i tam złoży pan meldunek, że zginęliśmy przy wykonywaniu zadania. No, bywajcie zdrowi!

— Bywajcie, panie pułkowniku! A wracajcie wszyscy! — White tłumiąc wzruszenie ścisnął rękę Brenta.

Wychyliwszy się przez burtę obserwował, jak jeden po drugim siadali do czółen. Ubrani byli tylko w spodenki kąpielowe; każdy z nich miał na plecach worek z nieprzemakalnego płótna, a w nim dwie bomby. Ostatni przeskoczył niską burtę barki Brent. Już miał szeptem dać rozkaz do odbicia, gdy White wychyliwszy się mocniej zapytał jeszcze, skąd może oczekiwać ich powrotu. Brent namyślał się chwilę.

— Postaramy się wrócić tą samą drogą, czyli przez półwysep, ale to nie jest pewne. Może się zdarzyć, że odpowiedniejsza będzie droga wzdłuż jego południowego brzegu, od strony morza.

Usiadł i dał rozkaz odpłynięcia. Wiosła zanurzyły się w wodę, śmigła czółna odbiły od barki.

Długo jeszcze później White spoglądał za nimi, chociaż cienie ich dawno przepadły w ciemnościach.

XXIV

OGNIE NAD PORTEM

Dick wolałby oczywiście płynąć w czółnie swego przyjaciela Harrego, ale załogi łódek wyznaczał Brent i jego wybrał do swego czółna. Wprawdzie było to czymś w rodzaju wyróżnienia, ale Dick bardzo był zawiedziony: nie płynął razem z Harrym, z którym w ciągu tych kilku tygodni zaprzyjaźnił się serdecznie. Przypomniawszy sobie, jaki mu się wydawał wstrętny, gdy spotkali się po raz pierwszy w ciężarówce... I potem przez cały czas podróży. Jakże się to wszystko później zmieniło!... Zanurzając cichutko wiosła w ciemną wodę zatoki wspominał przeżyte przygody i naraz uświadomił sobie, że nie łatwo mu będzie żegnać się z tymi ludźmi, gdy nadejdzie moment rozstania. Najchętniej zostałyby na stałe w komandzie pułkownika Brenta, chociaż wiedział, że to niemożliwe, bo skład takich specjalnych oddziałów wypadkowych Secret Service zmienia się od przypadku do przypadku jak układ figur na szachownicy. Stłumił westchnienie i mocniej zapatrzył się w ciemności.

Widział tylko jedno czółno — drugie zginęło gdzieś w ciemnościach, chociaż wiosłowali parę minut zaledwie i już zaryli się w piaszczysty brzeg. Brent dał umówiony sygnał — krzyk rozbudzonej papugi w gnieździe — obok z lewej strony nadeszła odpowiedź. To Drone z Brownem... Powtórzył sygnał raz jeszcze; nieco dalej w prawo zabrzmiał odzew Connora i Diemena. Zebrał się cały niewielki oddział, dwójkami wzięli łódki na ramiona. By nie pogubić się w ciemnościach, każdy z nich — z wyjątkiem Dicka — chwycił wolną ręką linę, której przedni koniec trzymał Brent, tylny zaś Harry. Drugą ręką przytrzymywali czółna.

Dick idąc przed Brentem rozgarniał niskie krzaki, w które weszli zaraz za linią przyływu. Miał rację Harry twierdząc, że przyładek jest bardzo wąski, ale przejście i tych trzystu, czterystu stóp szerokości trwało pełnych dwadzieścia minut — jak to pułkownik z góry przewidział. Ani śladu żadnej ścieżki; chociaż zarośla były stosunkowo rzadkie, a wielkie drzewa stały pojedynczo — posuwali się powoli, krok za krokiem. Chłopak nic nie widząc macał drogę nogą. Musiał także uważać, by nie zabrnąć w zbyt wysokie krzaki, gdyż ciemne gałęzie łatwo mogły poszarpać gumowe ścianki czółen. Strata byłaby niepowetowana, w konsekwencji oznaczałaby natychmiastowe wycofanie jednej załogi. Zadanie jego było więc najtrudniejsze. Powierzenie mu go stanowiło przejaw zaufania ze strony Brenta, bo było tu paru ludzi starszych od niego i bardziej doświadczonych. Świadomość tego zagłuszyła w nim niepokój, przywróciła jasność myślenia i rozwagę. Obliczał starannie każdy krok, skręcał to w lewo, to w prawo, ilekroć dotyk powiedział mu, że droga jest nieodpowiednia. Gdy wreszcie ciemności zrzędyły i skończyły się zarośla, Dick ogromnie się ucieszył.

Przed nimi leżała zatoka Gaylang, najbardziej na wschód wysunięta część portu w Singapurze. W prawo na ukos, za niezbyt szerokim zwierciadłem wody, widać było, przyciemnione pojedyncze światła budynków na wzgórzu. Nieco jaśniej oświetlony był szpital w północnej części miasta — poza tym cały port tonął w ciemnościach. Najwidoczniej Japończycy bali się nalotów fortów latających, chociaż jak dotąd zdarzały się one bardzo rzadko. Na redzie portu paliły się tylko niezbędne światła orientacyjne, mocno przyciemnione i osłonięte od góry, by nie wskazywały Celu lotnikom. Kilka takich świateł zauważyli także w nieznaczonej odległości na prawo — oznaczały one mielizny na wyspie Gaylang, zamykającej wschodni kraniec zatoki. Statków tu nie było — Brent zresztą wcale ich tu nie oczekiwał: wiedział, że na zakotwiczenie statków ta część zatoki nie posiada odpowiedniej głębokości. Trzeba więc będzie wypłynąć na wiosłach z zatoki Gaylang, w stronę fortu Canninga, gdzie na kotwicach stały statki o głębszym zanurzeniu.

Właśnie Brent miał wyjść wraz z całym oddziałem z ukrycia i kazać spuszczać czółna na wodę, gdy naraz poprzez szum deszczu dobiegł ich jakiś głośniejszy szmer. Pułkownik syknięciem nakazał ciszę i zaczął nasłuchiwać. Szmer przybliżał się wyraźnie, zmieniał się powoli w wyraźny żołnierski krok kilku ludzi.

— Nad brzegiem jest brukowana droga — szepnął Brentowi do ucha Harry.

Złożyli czółna w trawie i nadstawili ucha. Kroki zbliżały się. Teraz nawet niewprawne ucho Dicka ustaliło, że idzie dwóch ludzi. Pewnie patrol wojskowy. Co będzie dalej?... Brent stał spokojnie na miejscu — nie pozostawało nic innego, jak robić to samo. Lecz w miarę przedłużających się minut oczekiwania niecierpliwość chłopca rosła. Kroki słychać było tuż przed nimi, z ciemności wynurzyły się na chwilę dwie mgliste sylwetki, potem odgłos kroków zaczął się oddalać, aż ucichł zupełnie. Brent mimo to czekał. Minęło pięć minut. Głuchy tupot żołnierskich butów szedł znów od strony, w której patrol zniknął.

Było już jasne, że patrol pilnuje określonego odcinka drogi nadbrzeżnej — jeśli czółna mają być spuszczone na wodę, to trzeba się go pozbyć. Brent błyskawicznie ułożył plan. Tuż naprzeciwko, w miejscu gdzie przed chwilą przechodził patrol, ciemniały zarośla. Gdy tylko kroki wartowników ucichły, przycisnął się wraz z Harrym za zasłoną z krzaków. Umówili się, że wyższy wzrostem Harry weźmie na siebie dalszego, Brent zaś zajmie się bliższym wartownikiem.

— Pętłę na szyję, jak Thugowie¹⁹, i dobrze dociągnąć, pułkowniku — szepnął Harry sporządzając szybko dwie pętłe z cienkiego sznurka. — Łatwiej byłoby przydusić ich rękami, ale mają twarde życie jak koty. Nie wiem, czy by się to panu udało... — miał pewne wątpliwości.

Brent uśmiechnął się do siebie i bez słowa wziął pętłę. W chwili gdy opierał się ręką o ziemię, zawadził o spory kamień, podniósł go teraz szybko, a pętłę wsunął za spodnie.

Znowu zbliżały się kroki, mgliste cienie idących wartowników szybko przybierały wyraźne kształty. Gdy mijali krzaki, obaj zaczajeni mężczyźni skoczyli. Kamień pułkownika tak zgrabnie uderzył w miękką czapkę żołnierza, że ten nie wydawszy dźwięku zwał się na ziemię. Harremu przy większej odległości mniej sprzyjało szczęście: jego ofiara wydała chrapliwy okrzyk, szybko jednak ucichła, gdy cienki sznurek wpił się w nagą szyję.

Brent i Harry nie tracili czasu: szybko związali ręce i nogi obu żołnierzy — Harry proponował, by po prostu wrzucić ich do wody, ale Brent się nie zgodził — napchali im w usta tyle trawy, ile tylko się zmieściło i odciągnęli za nogi w krzaki, gdzie czekała reszta oddziału.

Szybko spuścili czołna na wodę, wsiedli i ostro robiąc wiosłami, kierowali się w stronę wyjścia z zatoki. Nie było tutaj tak ciemno, by mogli stracić się z oczu: czołna szły obok siebie, gdy po lewej ręce zjawilo się blade światło oznaczające cypel wydłużonego przylądka, zamykającego zatokę Gaylang od południa.

Tu Brent cichutko przywołał obie pozostałe łódki i szeptem udzielił ostatnich wskazówek.

Spotkanie z patrolem nieprzyjemnie pokrzyżowało im plany. Teraz wszystko zależało tylko od tego, czy w tej części półwyspu był tylko ten jeden patrol, czy też na obu punktach krańcowych swej trasy spotykał się on z następnymi. Przy tej drugiej ewentualności mogli im grozić niemiłe następstwa. Brent jednak był zdania, że ewentualność taką może już wykluczyć, inaczej bowiem w ciągu tych dziesięciu minut, gdy wiosłowali przez zatokę, już nastąpiłoby ogłoszenie alarmu. Pozostała otwarta tylko kwestia: jak często zmieniają się patrole i kiedy ten ostatni objął służbę. Tych dwóch niewiadomych Brent nie mógł ustalić, nie zastanawiał się więc nad nimi zbyt długo. Należało działać jak najszybciej i nie wolno było wracać drogą, którą przyszli.

Istniała tylko jedna możliwość powrotu: morzem, wzdłuż południowego brzegu półwyspu zamykającego zatokę. Światło, które właśnie ukazało się przed nimi, stanowić będzie punkt orientacyjny. Po wykonaniu zadania każde czołno kierować się będzie tym światłem nie czekając na dalsze łódki — postara się niepostrzeżenie ominąć cypel wraz z latarnią morską i dotrzeć wzdłuż południowego brzegu do barki. Omylić się nie podobna, chociaż noc będzie jeszcze ciemna, trzymać się należy blisko brzegu, na co nieznacznie zanurzone czołno śmiało może sobie pozwolić. Czołno płynąc stale przy brzegu dotrze na pewno do cypla z latarnią morską, który tworzy jedno z ramion zatoki, gdzie kotwicz barka. Morze jest spokojne, droga od latarni do barki nie potrwa dłużej jak kwadrans, przy bardzo ostrożnym wiosłowaniu najwyżej dwadzieścia minut. Gdy Brent udzielił wskazówek Harremu i Connorowi, czołna rozstały się i ruszyły na w skos przez ciemne wody w stronę fortu Canninga, gdzie widniały cienie gęsto kotwiczących statków.

Czołno Brenta pod naporem dwóch wiosł szybko mknęło przez zatokę. Rysujące się nad wodą sylwetki ciemniały, nabierały realnych kształtów. Zanurzające się bezgłośnie w wodę wiosła zwolniły tempo. W odległości kilku nitów przepłynęli obok jakiegoś mniejszego statku, na którego pokładzie wszyscy spali. Przed dziobem statku pułkownik skręcił w stronę wielkiego tankowca — oceniał go na dwanaście, trzynaście tysięcy ton. To była już zdobycz warta zachodu... Przemykające się jak cień czołno przywarło do wysokiej burty.

Na pokładzie tankowca ktoś czuwał, ale kroki słycać było gdzieś daleko, na końcu rufy. Brent, określiwszy przypuszczalny punkt położenia kotłowni, z pomocą Dicka przymocował gumowy uchwyt bomby tuż pod linią zanurzenia. Wiedział, że bomba nastawiona jest na godzinę drugą po północy. Spojrzał na zegarek: była za pięć dwunasta, czyli że wybuch bomby nastąpi za jakieś dwie godziny. Podpłynęli cicho do dziobu; Brent przy okazji odczytał białawy, wypisany wielkimi literami nad japońskimi znakami napis: „Sinkoka Maru”. Bardzo był z siebie rad: dobrze pamiętał tonaż tego statku — dokładnie dziesięć tysięcy dwadzieścia ton, niewiele się więc omylił.

Za przeznaczonym na zniszczenie tankowcem stały już tylko mniejsze statki, nie przekraczające tysiąca ton. Pułkownik był zdania, że szkoda na nie bomb — szukał bardziej wartościowych obiektów. Wreszcie znalazł: średniej wielkości statek transportowy, mniej więcej osiem tysięcy ton. Równie szybko i niepostrzeżenie jak przy tankowcu ulokowali swe narzędzie zagłady.

Gdy wypłynęli z głębokiego cienia, rzuciła im się w oczy charakterystyczna sylwetka okrętu wojennego! Brentowi aż dech zapało z wrażenia. Nieznaczny odbłask nikłych świateł portowego nabrzeża, odbity od nisko wiszących, czarnych chmur, tworzył bladą poświatę, na tle której rysowały się wyraźnie ciężkie wieże pancerne okrętu i sterzące poza burłę długie, smukłe lufy dział. Rozpoznać można było także kontury samolotu przy krótkim pasie startowym wraz z katapultą, szerokie tarcze reflektorów i liczne ciężkie karabiny maszynowe zwrócone lufami w niebo, gotowe do odparcia ataku nieprzyjacielskiego z powietrza.

Brent nie był co prawda marynarzem, ale znał na tyle typy charakterystycznych japońskich okrętów wojennych, że wiedział co ma przed sobą. Był to ciężki krążownik klasy „Mogami” lub „Mikuma”, które konwencja międzynarodowa określiła na osiem tysięcy pięćset ton, Japończycy drogą oszustwa przy budowie powiększyli do trzynastu tysięcy ton, włączając w uzbrojenie działa piętnastocalowe, w jakie wyposażony może być tylko okręt liniowy.

Dick rozgorączkowany wpatrywał się w tego wojennego kolosa i czekał niecierpliwie, co Brent postanowi. Z uczuciem głębokiego zawodu patrzył, jak Brent zawraca czółno i szybko się od niego oddala. Wiosłował bez entuzjazmu, oglądając się stale na krążownik, który przepadał już w ciemnościach. Naraz Brent zawrócił, i to tak gwałtownie, że czółno przechyliło się niebezpiecznie. Wracali. Całym wysiłkiem woli pohamował okrzyk radości. Już rozumiał, dlaczego Brent zatoczył tak wielkie koło: płynęli teraz poprzez głęboki cień, jaki rzucały na wodę mniejsze, kotwiczące za krążownikiem statki handlowe. Gdyby płynęli dalej poprzednią trasą, byłoby się dostali między krążownik i nabrzeże, gdzie docierało światło od lamp portowych — słabe wprawdzie, ale wystarczające dla wykrycia małej, poruszającej się łódki. Na krążowniku na pewno czuwała wachta, groziło więc niebezpieczeństwo, że zauważy czółno. Brent o tym wszystkim pamiętał — poruszał się wraz ze swą łódką ostrożnie, jak czyhający na swą ofiarę drapieżca.

Powoli przeciskali się między stojącymi na kotwicy statkami: na pokładach przeważnie panowała cisza nocna. W miejscach dobrze zacienionych zwiększali tempo. Dotarli w ten sposób do mniejszego tankowca, stojącego nieco w bok od krążownika, po stronie zewnętrznej licząc od portu. Przez chwilę Brent miał ochotę, by na nim przywiesić jedną z pozostałych bomb, potem jednak powiedział sobie, że na solidnie zbudowany krążownik jednej bomby mogłoby być mało i postanowił zachować obie. Zatrzymawszy czółno pod napisem dziobowym tankowca — czekał. Pozostawał im najgorszy odcinek drogi: pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp przestrzeni otwartej, między tankowcem i krążownikiem. Dostyc byłoby paru mocniejszych uderzeń wiosł — cień krążownika padał na połowę niemal całej tej długości — a jednak Brent się wahał.

Noc była cicha, deszcz szumiał i z pluskiem smagał powierzchnię morza, gdzieś w mieście zegar na wieży wybił godzinę kwadrans na pierwszą. Brent uświadomił sobie, że do ustalonego z Whitem terminu odpłynięcia barki pozostało już tylko półtorej godziny. Już miał wypłynąć z kryjącego ich cienia, gdy od strony mola portowego dobiegł warkot motorówki. Głos niósł się wyraźnie od przodu; oczywiście zwróci on uwagę wachtowych na krążowniku. Pułkownik odczekał jeszcze chwilę, potem syknął na Dicka. Czółno bezgłośnie skoczyło w stronę stalowego olbrzyma, przywarło do jego opancerzonej burty.

W pierwszej chwili Brent chciał zawiesić bombę jak zwykle: pod linią zanurzenia, aż naraz przyszło mu na myśl, że kryjące okręt płyty pancerne schodzą o parę stóp niżej. A jeśli

oprawę się działaniu miny lub przynajmniej osłabiają je tak dalece, że krążownik nie poniesie wielkiej szkody?...

Przemknęły mu przez myśl popisy Dicka w nurkowaniu, kiedy na atolu zmusił go do tego rekin. Przechyliwszy się do tyłu dotknął jego ręki. Dick rozumiejąc, że chce mu coś powiedzieć, nachylił się.

— Potrafilibyście zawiesić obie bomby pod wodą, gdzie kończy się pancierz? — szepnął mu do ucha.

Dickowi serce wezbrało radością. Czy potrafi?... Nawet i na samej stępce krążownika, gdyby tego było potrzeba! Skinął twierdząco głową. Wiszący ustami na jego uchu Brent z ruchu głowy wywnioskował, że chłopak plan jego przyjmuje z ochotą.

— Przywiążę was liną, żeby was woda nie zniosła zbyt daleko — ciągnął dalej. — A nie zapomnijcie sprawdzić, zanim wypuścicie bombę z ręki, czy uchwyt dobrze trzyma!

Z drugiej strony krążownika nad ich głowami słychać było głosy, potem skrzywienie żurawia podnoszącego na pokład motorówkę, która zapewne przywiozła kogoś z załogi. Hałasy te ogromnie były Brentowi na rękę, zagłuszały bowiem każdy szelest wywołany ruchem Dicka. Chłopak zsunąwszy się do wody, przytrzymał się jedną ręką czółna, drugą wziął bombę od pułkownika. Wciągnął głęboko powietrze w płuca, oparł rękę na gładkim pancierzu i powoli zaczął się zanurzać. Wreszcie ślizgająca się po przylepionych drobnych muszelkach i wodorostach ręka obsunęła się po zaokrąglonym brzegu płyty pancерnej. Tu kończył się pancierz krążownika. Upłynęło dopiero parę sekund — Dick miał przed sobą jeszcze dobrą minutę czasu, mógł więc śmiało zabrać się do roboty pod wodą.

Lewą ręką przycisnął szeroki lejek gumowy uchwytu do nieosłoniętej ściany kadłuba okrętu, prawą wysunął szybko uszczelniający tłok aż do końca przewodu i tu przymocował do odpowiedniej zatyczki. Mocno szarpnął uchwyt trzymając bombę, by nie upadła w wodę w wypadku, gdyby uchwyt nie trzymał. Ale uchwyt przywierał do ściany jak przykuty. Zadowolony ostrożnie puścił bombę — gdy zawisała na uchwycie, wynurzył się na powierzchnię jeszcze z zapasem powietrza w płucach. Szarpnął linę, którą trzymał pułkownik, dając znak, że już gotowe i prosi o drugą bombę. Naraz tuż nad ich głowami rozległy się kroki wachtowego, obchodzącego tę stronę pokładu.

Dick natychmiast znieruchomiał: tuląc się do burty krążownika przytrzymywał ręką czółno. Kroki zbliżały się wolno i nieubłaganie — Dick z wrażenia wstrzymywał oddech. Gdyby był sam, wachtowy na pewno by go nie zauważył, ale siedzącego w długiej łódce pułkownika dostrzeże bez wątpienia, jeśli choć lekko przechyli się za burtę... Cóż z tego, że przy panujących ciemnościach nie rozpozna, kto to?...

Podniósł wzrok — w oddalonej zaledwie o piętnaście stóp łódce nie było nikogo. Zdziwił się bardzo, ale równoczesny wstrząs czółna natychmiast wyjaśnił zagadkę. Brent pamiętał, że człowiek siedzący w łódce stanowi zbyt widoczny cel, dlatego też zsunął się do wody i przywarł do burty krążownika przy drugim końcu łódki podciągając ją ręką bliżej okrętu. Niziutkie czółno wraz z głowami obu mężczyzn przysłoniła całkowicie smuga cienia. Bez specjalnego oświetlenia nikt nie mógłby ich zauważyć, nawet mocno wychyliwszy się poza reling, który znajdował się na dość poważnej nad nimi wysokości przynajmniej czterdziestu stóp. Kroki wachtowego słychać było tuż nad ich głowami.

Zanim wachtowy przeszedł cały, dobrych pięćset stóp długi pokład wokół, Dick zdołał zawiesić i drugą bombę. Czółno szybko schroniło się w zbawczy cień gęsto zakotwiczonych statków.

„Jaka szkoda — mówił sobie Dick w duchu, gdy je mijali. — Można by tu tych bomb powawieszać”...

Gdy wyminęli ostatnie statki, Brent skierował łódkę na małą latarnię morską w zatoce półwyspu Gaylang. Dwukrotnie musieli zatoczyć wielkie koło, by uciec przed wpływającymi do portu olbrzymimi statkami, raz w ostatniej chwili zatrzymali się omal nie wpadłszy na kurs

motorówki pilota portowego, raz także o włos przemknęli pod jaskrawą smugą światła reflektora kutra strażniczego, patrolującego zatokę. Jak na krótką stosunkowo trasę trzech czwartych mili, jaka dzieliła ich od latarni morskiej, wrażeń było sporo. Ale na Dicku nie wywarły one większego wrażenia — przeciwnie: niezmiernie był zdziwiony, że tak poważna baza morska słabo jest strzeżona. Nagle przyszedł mu na myśl pola minowe, które kilku zagrodami zabezpieczały port. Rzucił zalęknione spojrzenie na toń morską i ogarnął go lekki niepokój. Po chwili jednak przypomniał sobie, że potężne gruszki z setkami funtów materiałów wybuchowych tkwią dobrych kilka stóp pod powierzchnią, ich czółno natomiast zanurza się zaledwie na stopę.

W chwili gdy szerokim łukiem mijali latarnię morską, a biały snop światła powoli przetoczył się półkolem nad głębią, wiosłujący na przedzie Brent spojrzął na zegarek. Było trzy na pierwszą, od ataku na patrol japoński przy brzegu półwyspu minęło już pięć kwadransów. Brent był przekonany, że dalsze dwa czółna powróciły już dawno, ponieważ przy krążowniku stracili dość dużo czasu. Światło latarni morskiej znów przetoczyło się powoli nad ich głowami i pobiegło na chwilę gdzieś daleko w morze. Od lądu ciągnął wiatr atakując ich od lewego boku, ale smukła łódka i mocno nachyleni, ostro wiosłujący w niej ludzie nie stanowili dla niego znacznego punktu oparcia. Fala szła niezbyt wysoka; normalnie budowana na stępce łódka, o mocno obłych burtach, nie miałyby żadnych trudności, ale lekkie filigranowe czółno nikło chwilami wśród fal zupełnie, a na głowy wiosłarzy zwały się całe góry słonej wody. Co prawda nie przejmowali się tym specjalnie, gdyż i tak deszcz nie ustał ani na chwilę, zresztą woda morska cieplejsza była nawet niż deszczowa.

Dick szalał wprost z radości i nadmiaru wrażeń. Jakże się wszystko szczęśliwie udało!... Zwłaszcza krążownik napawał go dumą. Cieszył się na myśl, jak będzie się tymi przeżyciami dzielił z Fredem Harperem i Terrym Ronneyem, którzy biedacy musieli zostać na barce. W porywie szlachetności postanowił nawet, że odda Terremu skórę czarnej pantery, chociaż uczciwie ją wygrał w trudnej partii szachowej. Gdy minęli latarnię morską, a smuga wędrującego światła już na dobre została za nimi, czółno dotarło do południowego brzegu półwyspu, dokąd nie dochodziło już żadne światło. Teraz dopiero przyszedł na myśl Dickowi pozostałe dwie łódki. Czy i tym także tak się szczęśliwie udało?... Jedno wiedział na pewno: żadnej z nich wróg nie wykrył, gdyż inaczej dawno już zarządzono by alarm w porcie.

Starając się przebić wzrokiem ciemną barierę lasu, obok którego właśnie przepływali, przypomniał sobie związany patrol na brzegu. Ale nigdzie ani promyczka światła — po drugiej stronie wąskiego półwyspu na razie wszystko było jeszcze w porządku. Nagle przed oczyma ich zjawiała się jakaś ciemna bryła — cypel półwyspu, za którym stała na kotwicy barka. Jeszcze parę minut wiosłowania i znów znajdą się wśród kolegów.

Brent głębiej zanurzył wiosła — czółno skręciło. Opłynęli wokoło niezbyt długi cypel i wiosłując już trochę wolniej wpłynęli do zatoki. Po chwili przybili do burty barki, gdzie przywitał ich cichy gwar radosnych głosów.

— A tamte czółna?... Już wróciły?... — padło pierwsze pytanie Brenta, zanim jeszcze on sam przeskoczył niskie nadburcie barki.

— Connor z Diemenem wrócili przed dwudziestoma minutami w porządku, Drone'a i Browna nie ma jeszcze — odpowiedział White.

Brent z troską zmarszczył czoło. Ubierając się, jednym uchem słuchał meldunku Connora, a drugim nieustannie łowił każdy szmer od strony portu. Dick tymczasem z entuzjazmem dzielił się wrażeniami z tłoczącą się wokół niego grupką kolegów.

Na czólnie Connora i Diemena wszystko szło gładko. Nie dotarlii tak dalego jak pułkownik, wcześniej skręcili pod nabrzeże portu. Natknęli się na cztery większe statki — Connor ocenił je łącznie na dwadzieścia cztery do dwudziestu sześciu tysięcy ton — które właśnie przy świetle lamp portowych ładowały towar. Dzięki temu załoga czółna miała ułatwioną pracę, cały bowiem ruch na statkach koncentrował się na burtach od strony

nabrzeża. Bez pośpiechu zawiesili bomby i nie natrafiwszy na żadne przeszkody powrócili przepisaną drogą.

Connor już kończył opowiadanie, gdy z drugiej strony półwyspu, tuż naprzeciwko nich rozległ się okrzyk.

— Znaleźli związany patrol! Teraz chyba ogłoszą alarm — odezwał się Brent do White'a spoglądając na zegarek. Było dwanaście minut po pierwszej.

— Co będziemy robić? — spytał White.

— Czekać! — brzmiała stanowcza, krótka odpowiedź Brenta.

Schwyciwszy nocną lornetę skierował ją na miejsce, gdzie przedzierali się przez półwysep z czółnami. Nie na wiele się to przydało: jeśli były tam nawet jakieś światła — a Brent nie wątpił, że Japończycy szczegółowo badają miejsce, gdzie doszło do ataku na patrol — gęsty wał kizewów i drzew nie przepuszczał ani promyczka. Zastanowiwszy się chwilę pułkownik doszedł do przekonania, że ogłoszenie alarmu odwlecze się jeszcze chwilę, ponieważ rozprawiający strażę podoficer, który wykrył napaść, na pewno sam alarmu zarządzić nie może. Z taką sprawą musi zwrócić się do swojego przełożonego, którym będzie jakiś sierżant, najwyżej podporucznik, a ten z kolei przekaze meldunek do dowództwa. Była więc nadzieja, że przez ten czas Harry i Brown jeszcze powrócą.

W napięciu oczekiwania powoli płynęły minuty; na pokładzie barki umilkły najcichsze nawet rozmowy. Wskazówka na fosforyzującym zegarku Brenta minęła już cyfrę dwadzieścia, gdy nagle ciemności rozdarła wąska smuga zielonej rakiety, za nią druga i trzecia. Ogniste kule z wysoka rzuciły jaskrawe światło na barcę, potem rozprysły się w drobne iskierki i znikły w ciemnościach. Równocześnie od strony, portu zabrzmiało przenikliwe wycie syreny.

— Co robić, pułkowniku? — pytał podenerwowany już trochę alarmem „White.

— Czekać — odparł po prostu Brent.

Niebo nad portem zajaśniało licznymi smugami reflektorów — pełzały powoli po powierzchni morza, najbardziej odległe kąty portu zalewały jaskrawym, dziennym światłem. Odbity przez chmury blask padał także na zatokę, w której kotwiczyła barka, oświetlając ją tak, że odległy o paręset stóp brzeg widny był jak na dłoni.

— Jesteście gotowi do wypłynięcia? — spytał Brent.

— Wypłynąć możemy każdej chwili — odpowiedział kapitan. — Wiatr jest dostatecznie silny. Gdy zajdzie potrzeba, poświęcimy nawet kotwicę.

Brent bez słowa skinął głową. I on tak samo jak wszyscy spoglądał to na brzeg, skąd każdej chwili wypaść mógł nieprzyjaciel, to na wyjście z zatoki, gdzie należało oczekiwać czółna Harrego. Ale tak z jednej, jak z drugiej strony nikt się nie zjawiał.

— Wyznaczony na odpłynięcie termin już minął, pułkowniku. Jest pierwsza pięćdziesiąt dwie — meldował White.

— Jeszcze chwilę poczekamy. Prawdopodobnie Harremu i Brownowi zegarki się spóźniają — próbował żartować Brent.

White oponował.

— I tak na razie nic się nie dzieje... — nie dokończył zdania.

W porcie rozległ się straszliwy huk, zaraz potem drugi i trzeci. Ogniste słupy strzeliły wysoko w niebo, oblewając i miejsce zakotwiczenia barki purpurowym blaskiem.

— Nasze bomby!... — zabrzmiały okrzyki tryumfu, które natychmiast skarcono.

Następowały dalsze wybuchy — dwa z nich stopiły się niemal w jeden, ale tak potężny, że fala powietrza zatrzęsała ścianami drzew i rozkołysała barcę.

— To krążownik!... Wyleciał w powietrze! — wołał rozpromieniony Dick. Szczęściem krzyk jego utonął w następnych wybuchach i nie sprowokował nagany Brenta za nieprzestrzeganie ciszy.

A pułkownik w tej chwili zajęty był czym innym. Liczył uważnie wybuchy — doliczył się wszystkich dwunastu. Wprawdzie bomby zegarowe wszystkie nastawione były na ten sam termin, ale niezbyt precyzyjne aparaty spowodowały, że wybuchy następowały po kolei.

— Dwanaście detonacji, więc Harry i Leslie zdążyli także powiesić swoje bomby — zwrócił się do White'a.

— Pułkowniku, światła w lesie przed nami! — meldował z dziobu Ronney.

— White, przygotować łódź do odbicia! — zakomenderował Brent przechodząc szybko na dziób.

W porcie tymczasem odezwały się syreny pożarowe. W lasku na wąskim półwyspie Gaylang wyraźnie migotały już światła.

Na rozkaz White'a Dick z ostrym nożem w ręku stanął przy linie kotwicznej. Serce mu się ścisnęło z rozpacz: odpłyną bez Harrego!... Żał mu było także i Browna, ale znacznie bardziej dręczył go los starego przyjaciela. Wspominał, jak to Harry wyrwał się, by biec mu na pomoc w przygodzie z rekinem, jak dzielnie wystąpił w jego obronie przeciwko łowcom głów. Ileż razy dawał mu głębokie dowody przyjaźni, co prawda na swój kpiarski sposób, ale zawsze ofiarnej, prawdziwej przyjaźni. Przełknął łzy i zacisnął zęby. Nic na to nie może poradzić — na pomoc Harremu biec mu nie wolno... I tak już pułkownik przedłużył czekanie ponad ustalony termin... Posunął się do ostateczności — kto wie nawet, czy rozsądnie...

Kilka światel pokazało się po tej stronie brzegu, tuż naprzeciwko barki, słychać było głosy większej grupki ludzi. Na łodzi zaległa grobowa cisza. Światła poruszały się nad samą ziemią.

„Musieliby być chyba ślepi — myślał Brent — gdyby nie zauważyli śladów naszych stóp w błocie na brzegu”. Spojrzał przez lornetę: ludzie z latarniami — mieli mocne, jasne świecące lampy acetylenowe — zaczęli się cofać, podnosić lampy w górę, by ich blask padł na wodę.

Wreszcie odezwały się nawoływania, skierowane wyraźnie pod adresem barki. Brent spojrzął na zegarek: osiem minut po drugiej.

— Postawić żagle! Przeciąć linę kotwiczną! Wszyscy padnij! — komenderował głośnie.

Sam stał pod masztem, na którym natychmiast podniósł się w górę żagiel. Grot schwycił wiatr. White odwrócił ster. Salwa wystrzałów, jaka padła w tej właśnie chwili, trafiła w miejsce, gdzie już nie było barki. Łódź szybko przepadła w ciemnościach. Strzały ze strony Japończyków ucichły.

Gdy barka mijała południowy cypel półwyspu, z ciemnej toni odezwało się wołanie:

— Ahoj, barka!...

Odpowiedział mu gromki okrzyk radości. Błysnęły latarki elektryczne, wskazujące cel dla czółna; ludzie przy żaglach szybko wykonali manewr i zatrzymali barcę. Po chwili na pokład wchodził Harry z obandażowaną ręką, za nim radosny jak zawsze Brown.

— Harry, jakże się cieszę, że was widzę! — wołał uszczęśliwiony Dick ściskając jego zdrową rękę.

— I ja bardzo się cieszę, chłopcze!... — normalny drwiący ton Harrego tym razem nie zdołał ukryć głębokiego wzruszenia starego wygi. — Zostawiłem im tam na pamiątkę dwa palce lewej ręki, ale sam zostać nie chciałem, chociaż oni wielką na to mieli ochotę! — tłumaczył Dickowi.

XXV

OSTATNI BÓJ

Barka szła pełnym wiatrem na wschód. Brent zabrał się do opatrywania rany Harrego — brak było dwóch palców: małego i serdecznego, oba ucięte równiutko tuż przy dłoni — a Harry tymczasem zaczął opowiadać ich przygody. Zapędzili się znacznie dalej niż pułkownik, ponieważ Harry uważał, że czasu mają aż za wiele. Jego zdaniem lepiej byłoby, gdyby jedno czółno nie wchodziło niepotrzebnie drugiemu w drogę.

— Ładny byłby kawał — opowiadał z humorem, gdy pułkownik lał jodynę na otwartą ranę — gdybyśmy tak nic o sobie nawzajem nie wiedząc zawiesili równocześnie dwie bomby, po jednej z każdej strony!

Przypuszczał, że w drodze do starego portu znajdą znacznie więcej statków. Nie omylił się: stało ich tam na kotwicy całe mnóstwo i to najrozmaitszych.

— Ledwieśmy się między nimi przepchali! — ciągnął z przesadą jak zwykle.

Zawiesili bomby na dwóch wielkich parowcach transportowych — z tych jeden co najmniej dwanaście tysięcy, drugi dziesięć tysięcy ton — i popłynęli dalej, oddalając się stale od barki. Szukali równie wielkich obiektów, ale już ich nie znaleźli; musieli zadowolić się ostatecznie mniejszymi, mniej więcej po sześć tysięcy ton każdy.

„Nic nie szkodzi — odezwał się wtedy Brown — i tak pewnie pobiliśmy rekord. Razem zrobiliśmy trzydzieści cztery tysiące ton! Wątpią, by się to Brentowi lub Connorowi udało!”

Mówił trochę głośniej niżby należało; posłyszał ich wachtowy na poławiaczu min, koło którego właśnie przepływali. Krzyknął na nich — Brown odpowiedział natychmiast po japońsku, że są ze statku „Tanaba Maru”, jadą na brzeg po kapitana. Wachtowy nie stawiał dalszych pytań, widocznie jednak nie wyzbył się podejrzeń, gdyż w chwilą później na poławiaczu min uruchomiono reflektor. Chwilą błędził po falach, wreszcie cały strumień światła spłynął na czołno. Bardzo się tam zapewne zdziwili, że łódka płynie nie do brzegu, lecz w przeciwną stronę — dosłownie ucieka z portu. Natychmiast poszły w ruch karabiny maszynowe. Zanim Brownowi udało się wymknąć z oślepiającego blasku i ukryć za jakimś samotnym, stojącym z dala od innych na kotwicy statkiem, kule wyrwały Harremu z ręki wiosło zabierając przy okazji i dwa palce. Kilka kul przebiło także przód gumowego czołna, ponieważ jednak jest ono podzielone wodoszczelnymi przegrodami na kilka komór, nie zatoneło. Ale z zanurzonym dziobem płynęli teraz znacznie wolniej, tym bardziej, że pracowało już tylko jedno wiosło. Wypadek miał miejsce w parę minut po godzinie dwunastej...

— Że też my nic nie słyszeliśmy! — dziwił się Brent. — Byliśmy przecież tak blisko!

— Pewnie wiatr zagłuszył hałas... A po drugie: tak blisko nas nie byliście, ponieważ zapędziliśmy się dosyć daleko, aż za fort Canninga, prawie pod selintarską latarnię morską... — przyznawał się ze wstydem Harry.

— No, to wcale nie było rozsądne! I przy dwóch wiosłach porządną mielibyście robotą, by na oznaczony termin powrócić na barkę — przerwał mu surowo Brent.

— Niech pan się nie gniewa, pułkowniku — starał się załagodzić sprawę Brown — bo i tak w gruncie rzeczy wszystko jest w porządku. Właściwie nic się nikomu nie stało — próbował udobruchać Brenta.

— Patrzcie go! Wszystko w porządku!... Nic się nikomu nie stało! — obruszył się teraz Harry. — Oczywiście, gdyby tak Japończyk tobie, a nie mnie odstrzelił dwa palce, ja twierdziłbym identycznie to samo!...

— Dziwna rzecz — przerwał ogólny wybuch śmiechu Brent — że zaraz po tej strzelaninie Japończycy nie zarządzą alarmu?

— Ja sobie to tym tłumaczę — odpowiedział Brown — że byli przekonani, iż nas zatopili. Spuścili łódkę na wodę i szukali przy świetle reflektorów...

— A znalazłszy rzecz prosta moje wiosło i mnóstwo krwi z moich palców, które naturalnie wyłowili, doszli do tego samego przekonania co Brown — przerwał mu Harry wywołując nowy wybuch śmiechu.

— Sądzą, że z bilansu możecie być zadowoleni. Kładźcie się spokojnie spać, by chociaż trochę zdrzemnąć się do rana — odezwał się od steru White.

Brent przyznając mu rację zaczął zaganiać do spania wszystkich, którzy nie mieli wachty. Sam jeszcze przy świetle latarki elektrycznej zapisał w notatniku krótki przebieg wydarzeń dnia i rezultaty zamachu na Singapur. Podsumowanie dało mu pełną satysfakcję:

siedemdziesiąt cztery tysiące ton rejestrowanych brutto statków handlowych i jeden ciężki krążownik trzynaście tysięcy ton.

* * *

Wstawał słotny świt, niebo przesłaniały gęste mgły. Barka już o sto mil od Singapuru płynęła na wschód, w kierunku na Wyspy Tabela. Gdy przed południem na północnej stronie nieba ukazały się myśliwce japońskie dalekiego zasięgu, skrzyła ku wysuniętej na południe grupie „Wysp Wataskich, czyli św. Ducha, i zanim jeszcze Japończycy zdążyli ją zauważyć, ukryła się przy jednej z nich. Przetrwała w ukryciu pełny tydzień, dopóki wywołany śmiałym atakiem na Singapur alarm nie uspokoił się trochę. Przez cały ten czas Harry zrzędził, że to jakieś strasznie podłe wyspy, na których nieustannie deszcz pada. Faktem było natomiast, że deszcze padały nad całym Oceanem Indyjskim lub przynajmniej nad jego znaczną częścią, ponieważ była to właśnie połowa jesiennej pory deszczowej. W pierwszych dniach listopada opuścili niegościnnie Wyspy Wataskie, które mimo wszystko dostarczyły im solidnej kryjówki. Drogą przez równik wpłynęli do cieśniny Karimata, dzielącej wielką wyspę Biliton od Borneo. Ten odcinek drogi wynosił około trzystu mil. Chociaż mieli dobry północno-zachodni wiatr, nie udało im się przepłynąć go w ciągu jednego dnia, na co liczył White, tym bardziej, że o zmierzchu pokazał się japoński torpedowiec. Dojrawszy go z daleka rzucili się do ucieczki — udało się ona jedynie dzięki temu, że właśnie słońce zaszło, a barka zbyt była daleko, by torpedowiec mógł dosięgnąć jej reflektorem.

Wypróbowanym sposobem ukryli się znowu na niezamieszkałych wyspach. Tym razem były to rafy koralowe Leman, około trzydzieści mil zaledwie odległe od Borneo.

— Pod samą lampą zazwyczaj bywa ciemno! Na myśl nie przyjdzie Japończykom szukać nas tutaj! — prorokował Harry. Jak się później okazało miał rację.

Odczekali tydzień, o zmroku przebili się przez zdradzieckie rafy koralowe, gęstą siecią otaczające wyspy. Gdy nadeszła noc, świetnym punktem orientacyjnym okazała się latarnia morska utrzymywana przez Japończyków na brzegu pobliskiej wielkiej wyspy Karimata. Wyspę tę wyminęli szerokim łukiem z prawej strony i gładko, przez nikogo nie zatrzymywani przemknęli się między wyspą a zachodnim brzegiem Borneo. O świcie mijali Przylądek Sambarski, za którym rozpościerało się już płytkie Morze Jawajskie.

Kierowali się na południowy wschód, na wyspy Baweany, lecz już do nich nie dotarli. Tuż przed południem wachtowi z masztu zameldowali okręt podwodny na kursie, nieco na prawo, w odległości półtorej do dwóch mil. Ponieważ kiosk dowódcy okrętu podwodnego, płynącego na powierzchni, leży niezbyt wysoko nad powierzchnią morza, nie posiada on więc zbyt rozległego pola widzenia. Brent liczył, że jeszcze może barki nie zauważono — kazał zwinąć żagle, by łódź była mniej widoczna. Ledwie wykonano rozkazy, a już z lekko falującego morza wzbil się w górę słup wody, po chwili zaś rozległ się słaby, stłumiony przez odległość huk wystrzału.

Harry zmarszczył brwi.

— Ostry strzał! Bez ostrzeżenia i bez sygnału: stać!... O, to niedobrze.

— Już nas tu zbyt dobrze na tych wodach znają, Harry — spokojnie zauważył Brent.

Skinieniem głowy zaaprobował rozkaz White'a postawienia żagli. Nie było sensu bawić się w chowanego. Japończycy wiedzieli już, z kim mają do czynienia. Jedyna nadzieja kryła się jeszcze w ucieczce. W największym pośpiechu stawiano oba żagle, gdy naraz drugi granat plusnął w morze po drugiej stronie łodzi, nie czyniąc nikomu krzywdy. Najwidoczniej Japończycy wstrzelowali się. Zanim jednak padł trzeci strzał, już barka nabrała pędu — White zręcznie skrzyła i następny granat poszedł w morze.

— Coś czuję, że zupełnie niepotrzebnie przemałowałem tą barkę na wyspie „Wielki Tekong! — ubolewał żartem Harry.

Brent uśmiechnął się w odpowiedzi i podszedł do White'a, który sam czuwał nad sterem.

— Co zamierzacie robić, Jimmy? — zapytał.

— Spróbuję dotrzeć do raf Hektora, pułkowniku, to już niedaleko. Wiatr mamy dobry, jeśli nie będę musiał zbyt manewrować, może mi się uda wydusić z tej barki chociaż piętnaście mil... A rafy powinny być nie dalej jak pięć, sześć mil... Oczywiście Japsy mają większą od nas szybkość — te ich nowe okręty podwodne potrafią robić na wodzie i dwadzieścia pięć węzłów... Ale mamy ze dwie mile przewagi. Gdy tak to wszystko w myślach zestawiam i obliczam, wychodzi mi wcale nie najgorszy rachunek prawdopodobieństwa...

Brent skinął głową.

— A dalej co? — rzucił pytanie.

— Wpłynąć między rafy okrętem podwodnym Japończycy nie odważą się, będzie tam dla nich za płytko. Więc by nas dostać, muszą wysadzić załogę w łódkach na ląd i atakować nas bezpośrednio. To sobie przynajmniej trochę postrzelamy — jakkolwiek na wybrnięcie z tej sytuacji niewiele mam nadziei. Zawsze lepsze to, niż dać się rozwalić bez obrony. No cóż, może lepiej wywiesić białą chorągiew? — dodał ironicznie.

Odpowiedź pułkownika zagłuszył gwar wśród tłoczącej się wkoło nich załogi, Brent głową tylko dał znak, że decyzję White'a pochwała, odszedł na dziób i oparłszy się łokciami o nadburcie zaczął obserwować okręt podwodny przez lornetę. Robił to z takim spokojem, jakby właśnie odbywały się zawody koleżeńskie połączone ze strzelaniem ślepymi nabojami. A tymczasem za jego plecami wśród skazanej na beczynność załogi wrzało. Wszyscy jej młodszy członkowie gorączkowo przygotowywali się do walki z Japończykami.

— Ot, rozgęgało się stado gęsi! — besztął ich Harry. — No, jak wy to sobie wyobrażacie? Zatrzymać barkę i czekać, aż nas rozwalą? Poczekajcie, aż się dostaniemy na rafy... o ile w ogóle się tam dostaniemy. Jakże my z naszymi pistoletami automatycznymi możemy porwać się na ich pięciocalowe szybkostrzelne działo?... Że też tego wasze ptasie mózgi nie mogą zrozumieć...

Na te — szydercze słowa gwar przycichł nieco, chociaż w sercach młodych chłopców burzyła się krew. Za nic nie chcieli się pogodzić z koniecznością bezsilnego zaciskania pięści.

White nie zważając na gwar tak spokojnie manewrował sterem, jak gdyby stał na pokładzie kontrtorpedowca. Początkowo kluczył bardzo zręcznie, potem jednak doszedł do przekonania, że lepiej nie tracić szybkości na zbędne uniki i sterować wprost na rafy. Decyzję tę ułatwił mu zresztą dowódca okrętu podwodnego własną głupotą, każąc strzelać z działa do barki, gdy okręt podwodny szedł całą siłą swych maszyn. Ponieważ kadłub okrętu podwodnego jest bardzo wąski, by mógł przy pływaniu pod wodą całą szybkością dobrze pokonywać opór wody, przy pływaniu nawodnym kołysze się mocno, skutkiem czego pokład artyleryjski nie jest tak spokojny, jakby sobie tego życzyli artylerzyści. Trafienie do celu, zwłaszcza niewielkiego, jest raczej kwestią przypadku lub szczęścia, niż sumiennych obliczeń. Nic więc dziwnego, że Japończycy niepotrzebnie marnowali granaty.

Okręt podwodny w polu widzenia lornety Brenta rósł z każdą chwilą. Widać już było wyraźnie postacie tłoczące się w kiosku dowódcy, stojących obok działa pod kioskiem ludzi. Teraz nadszedł moment, że okręt przestał rosnać, potężna fala wzdymająca się dwiema smugami od dziobu opadła. Brent odłożył lornetę — zbliżał się moment decydujący. A rafy były jeszcze daleko: mówiły mu o tym surowe zmarszczki na twarzy White'a. Dowódca okrętu podwodnego widząc niecelowość strzelania, zastopował maszyny przy pełnej szybkości. Dwa razy jeszcze White wykonał manewr, ale kolejny granat przeleciał nad głowami załogi barki z tak ogłuszającym gwizdem, że wszyscy pochylili się instynktownie. Zwaliał się maszt... Wszystko, co Dick zapamiętał z ostatniej chwili na barce, był rozkaz Brenta:

— Napelnić czołna gumowe!...

Potem rozległ się głuchy huk wystrzału i góra wody zwała go z nóg. Paru ruchami wypłynął na wzburzoną pociskiem powierzchnię morza — granat oderwał cały dziób łodzi. Dostrzegł tylko rufę barki znikającą szybko pod wodą i kilku pływających wokoło ludzi. Kanonada trwała dalej, ale teraz przyłączył się do niej jakiś warkot, którego Dick początkowo nie umiał sprecyzować. Płynął, by dostać się do najbliższego z kolegów. Rozpoznawszy w nim Harrego krzyknął — dryblas obejrzał się i uśmiechnął się drwiąco jak zwykle:

— Ostatni akt, przyjacielu!... Zaraz kurtyna spadnie...

Dick widząc, że zraniona ręka utrudnia Harremu pływanie, szybkim ruchem podpłynął bliżej.

— Popłynę na wznak, oprzyjcie się na mnie! — zaproponował.

Harry nie odpowiedział; wykręciwszy dziwacznie głowę rozglądał się, jakby czegoś szukał po niebie. Dick pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem i aż krzyknął z radości. Nad nimi krążyły trzy samoloty z białymi gwiazdami na skrzydłach. Jeden z nich pikował ostro w dół — motory warczały tak głośno, że Dick nie dosłyszał, co krzyczał Harry, chociaż płynęli tuż obok siebie. Odgadł raczej, że wołał, iż to B-29, latająca forteca. Mignęła im nad głowami i znikła gdzieś z tyłu. Powoli, wielkimi łukami spływał nad powierzchnię morza inny, trochę mniejszy samolot. Łoskot motorów był coraz głośniejszy. Latająca forteca oddaliła się tak znacznie, że Dick usłyszał już radosny okrzyk Harrego:

— O to, to!... Bardzo nam się to przyda...

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co przyjaciel miał na myśli, po chwili jednak przy opuszczającym się na wodę samolocie zauważył pływaki. To hydroplan PBY, niezbyt szybka maszyna, jaka towarzyszy czasem latającym fortecom, przystosowanym tylko do lądowania na ziemi. Na pokładzie zabiera znacznie mniejszą ilość bomb. Hydroplan wodował o jakieś sto jardów od obu płynących; w kilka chwil znaleźli się już przy nim. Harry płynął o własnych siłach, z dumą odmawiając przyjęcia zaofiarowanej przez Dicka pomocy.

— Ilu was było, chłopcy? — wołał na nich wesoło stojący na pływaku młody człowiek.

Zorientowawszy się z daleka, że Dick wspaniale radzi sobie w wodzie, nie zajmował się nim wcale, lecz pomagał wydostać się z morza Harremu.

— Piętnastu! Całe komando pułkownika Brenta! Wracamy z Singapuru — meldował z dumą Harry łapiąc oddech i otrzepując się z wody.

Młody lotnik aż gwizdnął ze zdumienia.

— Z Singapuru... To wam tam było ciepło, uf...

— Najcieplej było nam dzisiaj — odpowiedział już bez zainteresowania Harry szukając wzrokiem ludzi z barki. Ale potężny kadłub samolotu zasłaniał widok. — Gdzie reszta naszych? — pytał zaniepokojony.

— Pojechali koledzy w dwóch czółnach szukać ich, zostałem tu sam — odparł młodzik prowadząc ich do obszernego pomieszczenia w samolocie. — Piętnastu was było, powiadacie, kiedy Japy zaczęli strzelać?... Możemy was wszystkich zabrać, miejsca mamy dosyć i wagi także ubyło nam znacznie. Wszystkie bomby poszły na konwój. No, rozgośćcie się tutaj, żeby wam było wygodnie. — I zaczął znosić leżącemu na podłodze Harremu jakieś koce.

Dick nie mógł usiedzieć na miejscu. Zbiegł na skrzydło samolotu i obserwował bacznie latającą fortecę, która szybko nabierała wysokości. Wzrok chłopca opadł na morze i zaczął szukać okrętu podwodnego. Tam, gdzie widział go po raz ostatni, zauważył już teraz tylko wielką, tłustą plamę rozpływającą się powoli w szerokich kręgach. Odgadł, że B-29 bombami głębinowymi zatopiła okręt podwodny. W pierwszym uniesieniu radości na chwilę zapomniał o kolegach. Przypomniało mu ich jednak nawoływanie po drugiej stronie samolotu.

Wraca czółno ratunkowe. Wiezie rozbitków... Rozpoznał znajome głosy. Szybko przebiegł na drugą stronę samolotu i w uniesieniu witał Brenta, White'a, Harpera, Warrena, Browna, Ronneya i Wilkina. Po chwili przybiło i drugie czółno, wioząc Connora i trzech

dalszych członków załogi. Tylko ofiarny Hans Diemen i Ted Mc Carthy, trzydziestoletni sierżant szkockich górali, sympatyczny, małomówny człowiek, zniknęli w morzu na zawsze.

Samolot natychmiast po przybiciu drugiego czoła wzbił się w powietrze i krążył długo szukając, póki zapas benzyny starczył. Ale daremnie.

— Zginęli w obronie ojczyzny, a lepszej śmierci nikt życzyć sobie nie może! — rzekł Brent.

Samolot opuścił miejsce ostatniego boju i pomknął ku brzegom Australii...

Koniec

1 1) Drone — truteń, leń (ang.).

2 Kaliber podany w calach angielskich, jeden cal = 2,54 cm, dwanaście cali tworzy stopę.

3 Jap, Japs — pogardliwe określenie Japończyków

4 Wybalastować okręt podwodny to znaczy utrzymać go na pewnej głębokości w pozycji poziomej. Możliwe to jest podczas ruchu okrętu tylko przy pewnym ustawieniu obu par sterów głębinowych — przedniej i tylnej. Gdy któryś ze sterów głębinowych nie działa skutkiem zacięcia, okręt podwodny nie może się utrzymać stale na tej samej głębokości przy pomocy samego operowania balastem.

5 Perth — port na zachodnim brzegu Australii.

6 Komodor — funkcja wyższego oficera dowodzącego zespołem jednostek w marynarkach wojennych niektórych państw.

7 Brać namiar — określać przy pomocy odpowiednich obliczeń położenie geograficzne statku na morzu.

8 B-29 — bombowce, zwane „latającymi fortecami”.

9 Dnia 7 grudnia 1941 roku o świcie Japończycy bez wypowiedzenia wojny zaatakowali wielki amerykański port wojenny Pearl Harbour na Wyspach Hawajskich. Trwający dwie godziny atak wykonało 105 bombowców, dostawionych ukradkiem przy złej pogodzie na trzech lotniskowcach. Atak ten zadał ciężki cios amerykańskiej marynarce wojennej, Japończykom udało się wówczas zniszczyć lub przynajmniej na rok unieszkodliwić pięć największych okrętów liniowych: „Arizona”, „Oklahoma”, „California”, „Nevada” i „West Virginia”. Prócz tego z mniejszych jednostek: trzy kontrtorpedowce, poławiacze min, kanonierki i pływający dok. Osiem dalszych jednostek zostało uszkodzonych. Japończycy zniszczyli także ponad 500 samolotów amerykańskich, tracąc własnych 85. Amerykańskie straty w ludziach wynosiły 3303 ludzi. Nazwa „Pearl Harbour” stała się dla Amerykanów symbolem dla oznaczenia nieoczekiwanego, zdradzieckiego ataku.

10 Wołowina, przeważnie z domieszką wieprzowiny. Normalne angielskie i amerykańskie konserwy wojskowe, używane także przy wyprawach podróżniczych.

11 Atol — płaska wyspa koralowa w kształcie pierścienia otaczającego płytką laguną.

12 Średniowieczna wieża w Londynie, słynne więzienie.

13 Kopra — suszone jądra orzechów kokosowych, z których tłoczy się olej.

14 Galon — cztery i pół litra.

15 Sztil — (Flauta) cisza morską, bezwietrzna pogoda.

16 Pinta — ósma część galonu, trochę więcej jak pół litra.

17 Kabel — miara morską, kabel ang. = 203 m.

18 Nit, ang. Fathom (miara marynarska) = 183 cm.

19 Thugowie — sekta religijna dusicieli, którzy mordowali w Indiach w imię bogini Kali. Anglicy wytępiłi ich pod koniec XIX w.

??

??

??

??

Frantisek Behounek
Brenta

Komando Pułkownika

- 16 -